

MILAN KUNDERA

Księga śmiechu i zapomnienia



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

MILAN KUNDERA

Księga śmiechu i zapomnienia

Przełożyli
Piotr Godlewski
i Andrzej Jagodziński



Państwowy Instytut Wydawniczy

Część pierwsza

Stracone listy

1

W lutym 1948 roku przywódca komunistów Klement Gottwald wyszedł na balkon barokowego praskiego pałacu, by przemówić do setek tysięcy obywateli wypełniających Rynek Starego Miasta. Była to historyczna chwila w dziejach Czech. Chwila przełomowa, jakie zdarzają się raz, dwa razy na tysiąc lat.

Gottwalda otaczali jego towarzysze, tuż obok niego stał Clementis. Prószył śnieg, było chłodno, a Gottwald stał z gołą głową. Troskliwy Clementis zdjął swą futrzaną czapkę i włożył ją na głowę Gottwaldowi.

Wydział propagandy powielił w setkach tysięcy egzemplarzy fotografię balkonu, na którym Gottwald, w baranicy na głowie i z towarzyszami u boku, przemawia do narodu. Na tym balkonie rozpoczęły się dzieje komunistycznych Czech. Z plakatów, podręczników oraz muzeów znało tę fotografię każde dziecko.

W cztery lata później Clementisa oskarżono o zdradę i powieszono. Wydział propagandy natychmiast wykrobał go z dziejów i oczywiście również ze wszystkich fotografii. Od tego czasu stoi już Gottwald na balkonie bez niego. Tam, gdzie znajdował się Clementis, jest tylko pusta ściana pałacu. Z Clementisa pozostała jedynie czapka na głowie Gottwalda.

2

Jest rok 1971 i Mirek mówi: Walka człowieka z władzą jest walką pamięci z zapomnieniem.

Chce w ten sposób usprawiedliwić to, co jego przyjaciele nazywają nieostrożnością: starannie prowadzi dzienniki, przechowuje korespondencję, sporządza notatki ze wszystkich spotkań, na których rozpatrują sytuację i zastanawiają się, co robić dalej. Wyjaśnia im: Nie popełniam żadnego wykroczenia przeciw konstytucji. Ukrywać się i mieć poczucie winy, to byłby początek klęski.

Tydzień temu, gdy jako członek brygady budowlanej pracował na dachu nowo wznoszonego domu, spojrzął w dół i zakreśliło mu się w głowie. Zatoczył się i złapał za luźno położoną stalową belkę, spod której potem trzeba go było wyciągać. W pierwszej chwili rana wydawała się groźna, ale później, gdy okazało się, że to tylko banalne złamanie ręki, pomyślał z radością, że będzie miał parę tygodni zwolnienia i wreszcie pozałatwia sprawę, na które dotąd nie miał czasu.

Mimo wszystko ostatecznie przyznał rację ostrożniejszym kolegom. Konstytucja gwarantuje co prawda wolność słowa, ale prawo karze za wszystko, co można uznać za działalność na szkodę państwa. Człowiek nigdy nie może wiedzieć, kiedy państwo podniesie krzyk, że takie czy inne słowo przynosi mu szkodę. Postanowił więc mimo wszystko wywieźć kompromitujące materiały w bezpieczne miejsce.

Najpierw jednak chce załatwić tę sprawę ze Zdeną. Telefonował do niej, do jej miasta, ale nie mógł się dodzwonić. W ten sposób stracił cztery dni. Dopiero wczoraj udało mu się z nią porozmawiać. Obiecała mu, że dzisiaj po południu będzie na niego czekać.

Jego siedemnastoletni syn protestował – Mirek nie może przecież prowadzić wozu, kiedy ma jedną rękę w gipsie. Rzeczywiście nie było to łatwe. Złamana ręka huštała mu się na temblaku przed piersią, bezsilna i bezużyteczna. Zmieniając, bieg zawsze musiał puścić na chwilę kierownicę.

3

Ze Zdeną chodził dwadzieścia pięć lat temu i z owych czasów pozostało mu po niej jedynie kilka wspomnień.

Raz, kiedy się spotkali, ocierała sobie oczy chusteczką i pociągała nosem. Spytał ją, co się stało. Wyjaśniła mu, że wczoraj zmarł jakiś rosyjski mąż stanu. Jakiś Żdanow, Arbuzów czy Masturbow. Gdyby mierzyć ilością łez, śmierć Masturbowa wstrząsnęła nią bardziej niż śmierć własnego ojca.

Czy to w ogóle możliwe, że tak było? Czy tego płaczu nad Masturbowem nie wymyśliła sobie tylko jego dzisiejsza nienawiść? Nie, zdarzyło się to na pewno. Prawdą jest jednak, że bezpośrednich okoliczności, które sprawiły, że jej płacz był wiarygodny i prawdziwy, dziś już sobie nie wymyślał i wspomnienie przestało być podobne do prawdy, stało się karykaturą.

Wszystkie jego wspomnienia o niej były takie. Wracali razem tramwajem z mieszkania, w którym pierwszy raz się kochali. (Ze szczególną satysfakcją Mirek przekonywał samego siebie, że o ich spółkowaniach już zupełnie zapomniał i nie umiałby ożywić z nich w pamięci ani jednej sekundy.) Siedziała w kątku na ławce, tramwaj trząsał, a jej twarz była smutna, zapatrzona w siebie i zadziwiająco stara. Gdy pytał, czemu jest taka milcząca, dowiedział się, że nie była zadowolona z ich stosunku. Powiedziała, że kochał ją jak inteligent.

Słowo „inteligent” w ówczesnym żargonie politycznym było obelgą. Oznaczało człowieka, który nie rozumie życia i jest oderwany od ludu. Wszystkich komunistów, którzy zostali wtedy powieszani przez innych komunistów, obdarzano tym wyzwiskiem. W przeciwieństwie do tych, co pewnie stali na ziemi, bujali podobno w obłokach. Było więc na swój sposób sprawiedliwe, że za karę raz na zawsze usunięto im ziemię spod stóp i zawisli kawałek nad nią.

Ale co miała na myśli Zdena, zarzucając mu, że spółkuje jak inteligent?

Tak czy owak, nie była z niego zadowolona i tak samo jak potrafiła stosunek abstrakcyjny (sвій stosunek do nieznanego Masturbowa) wypełnić najkonkretniejszym uczuciem (zmaterializowanym w łzie), umiała również najkonkretniejszemu aktowi nadać znaczenie abstrakcyjne, a swe niezadowolenie określić w kategoriach politycznych.

4

Patrzy we wsteczne lusterko i zauważa, że za nim jedzie stale ten sam osobowy samochód. Nigdy nie wątpił, że jest obserwowany, ale dotychczas robili to z mistrzowską dyskrecją. Dziś zaszła zasadnicza zmiana: chcą, żeby o nich wiedział.

Mniej więcej dwadzieścia kilometrów za Pragą znajduje się wśród pól wielki płot, a za nim warsztat samochodowy. Ma tam dobrego znajomego i chce, by ten wymienił mu uszkodzony rozrusznik. Zatrzymał wóz przed bramą, zagrodzoną szlabanem w czerwono-białe pasy. Koło szlabanu stała gruba baba. Mirek czekał, kiedy podniesie szlaban, ale ona patrzyła tylko długo na niego i ani drgnęła. Zatrąbił – bez rezultatu. Wychylił się z okienka.

– To jeszcze pana nie zamknęli? – odezwała się baba.

– Nie, jeszcze mnie nie zamknęli – odparł Mirek. – Czy może pani podnieść ten szlaban?

Jeszcze kilka długich chwil patrzyła na niego obojętnie, po czym ziewnęła i odeszła do portierni. Rozwaliła się tam za stołem i więcej już na Mirka nie spojrzała.

Wysiadł więc z wozu, przeszedł obok szlabanu i odnalazł w warsztacie znajomego mechanika. Mechanik wrócił z nim i sam uniósł szlaban (baba nadal siedziała obojętnie w portierni), żeby Mirek mógł wjechać na podwórze.

– Widzisz, co masz z tego, że tak często pokazywałeś się w telewizji – rzekł mechanik. – Teraz zna cię z widzenia byle baba.

– A kto to jest? – spytał Mirek.

Dowiedział się, że najazd armii rosyjskiej, która zajęła Czechy i wszędzie wprowadzała swoje porządki, pobudził ją do niezwykłej aktywności. Widziała, że ludzie stojący wyżej od niej (a wyżej od niej stał cały świat) wskutek najdrobniejszego posądzenia pozbawiani są władzy, pozycji, pracy i chleba, i podnieciło ją to do czynu: sama zaczęła donosić.

– Więc jak się to dzieje, że ciągle jest portierką? Dlaczego jej nie awansowali?

Mechanik roześmiał się:

– Nie zliczy do pięciu. Nie mogą jej awansować. Mogą tylko jeszcze raz potwierdzić jej prawo do donoszenia. To cała jej nagroda.

Następnie podniósł maskę i zajrzał do silnika.

Nagle Mirek zorientował się, że dwa kroki od niego stoi jakiś mężczyzna. Rzucił na niego okiem: miał szarą marynarkę, białą koszulę z krawatem i brązowe spodnie. Nad grubą szyją i nalaną twarzą falowały ondulowane siwe włosy. Stał i patrzył na mechanika pochylonego pod uniesioną maską.

Mechanik również po chwili go zauważył, wyprostował się i powiedział:

– Szuka pan kogoś?

Mężczyzna z grubą szyją i ondulowanymi włosami odpowiedział:

– Nie. Nikogo nie szukam.

Mechanik znów pochylił się nad silnikiem i rzekł:

– Na placu Waclawa w Pradze stoi człowiek i rzyga. Jakiś przechodzień patrzy na niego i smętnie kiwa głową: „Żebyś pan wiedział, jak ja pana rozumiem...”

Zamordowanie Salvadora Allende szybko przesłoniło pamięć o rosyjskiej inwazji na Czechy, krwawa masakra w Bangladeszu kazała zapomnieć o Allendem, wojna na Pustyni Synajskiej zagłuszyła płacz Bangladeszu, masakra w Kambodży pozwoliła zapomnieć o Synaju i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej, aż do całkowitego zapomnienia wszystkich o wszystkim.

W czasach, gdy historia toczyła się jeszcze pomału, jej niezliczone epizody były łatwe do zapamiętania i tworzyły powszechnie znane *tło*, na którym rozgrywał się pasjonujący spektakl: osobiste przygody poszczególnych ludzi. Dzisiaj czas idzie szybkim krokiem. Wydarzenie historyczne, w ciągu nocy zapomniane, już nazajutrz błyszczą świeżością, wskutek czego w ustach opowiadającego o nim nie jest tłem, lecz zaskakującą *przygodą*, rozgrywającą się na tle powszechnie znanej banalności prywatnego życia człowieka.

Żadnego wydarzenia dziejowego nie można z góry uważać za znane powszechnie, toteż o wypadkach, które zdarzyły się kilka lat temu, muszę opowiadać, jakby minęło od nich tysiąclecie: W roku 1939 wkroczyło do Czech wojsko niemieckie i państwo Czechów przestało istnieć. W roku 1945 wkroczyło do Czech wojsko rosyjskie i kraj ponownie nazywał się niepodległą republiką. Ludzie byli zachwyceni Rosją, która przegnała z kraju Niemców, a ponieważ w czeskiej partii komunistycznej widzieli jej wierne ramie, przenieśli swoją sympatię na nią. Wskutek tego w lutym roku 1948 komuniści doszli do władzy nie wśród krwi i przemocy, lecz przy wiwatach mniej więcej połowy narodu. I teraz proszę o uwagę: połowa, która wiwatowała, była tą aktywniejszą, rozumniejszą i lepszą.

Tak, proszę bardzo, zaprzeczajcie, jeżeli chcecie, lecz komuniści byli rozumniejsi. Mieli olśniewający program. Plan zupełnie nowego świata, w którym wszyscy znajdują swoje miejsce. Ci, co byli przeciw nim, nie mieli żadnych wielkich snów, jedynie parę zasad moralnych, wyświechtanych i nudnych, z których chcieli sporządzić łąty na podarte portki takich stosunków, jakie istniały dotychczas. Nic więc dziwnego, że entuzjaści i realizatorzy olśniewających planów z łatwością zwyciężyli zwolenników kompromisów i ostrożności i zaczęli szybko urzeczywistniać swój sen, sprawiedliwą idyllę dla wszystkich.

Podkreślam jeszcze raz: *idyllę dla wszystkich*, albowiem wszyscy ludzie od niepamiętnych czasów marzą o idylli, o ogrodzie, w którym śpiewają słowiki, o krainie harmonii, gdzie świat nie występuje przeciwko człowiekowi, a człowiek przeciwko innym ludziom, gdzie – przeciwnie – świat oraz wszyscy ludzie stworzeni są z jednego materiału, a ogień, który płonie na niebie, jest tym samym, co ten, który goreje w ludzkich duszach. Wszyscy są tam nutami wspaniałej fugi Bacha, a kto nie chce być nutą, zostanie wyłącznie czarną kropką, zbędną i pozbawioną znaczenia, którą wystarczy złapać i rozgnieść na paznokciu jak pchłę.

Już na samym początku niektórzy ludzie zdali sobie sprawę z tego, że ich charakter nie nadaje się do idylli, i chcieli opuścić kraj. Ponieważ jednak istotą idylli jest to, że stanowi świat dla wszystkich, ci, którzy chcieli emigrować, dali się poznać jako wrogowie idylli i zamiast za granicę musieli pójść za kratki. Wkrótce powędrowały tam za nimi następne tysiące i dziesiątki tysięcy, a wreszcie również wielu komunistów, jak na przykład minister spraw zagranicznych Clementis, który kiedyś pożyczył czapkę Gottwaldowi. Na ekranach kin trzymali się za ręce nieśmiali kochankowie, zdrada małżeńska była surowo karana przez obywatelskie sądy społeczne, słowiki śpiewały, a ciało Clementisa kołysało się niby dzwon zwiastujący nowy poranek ludzkości.

I wtedy ci ludzie, młodzi, rozumni i radykalni, doznali nagle osobliwego uczucia, że wypuścili w świat czyn, który zaczął żyć własnym życiem, przestał być podobny do ich wyobrażeń i nie przejmował się tymi, co go zrodzili. Ci młodzi i rozumni zaczęli przeto krzyczeć na swój czyn, nawoływać go, napominać, gonić i ścigać. Gdybym miał pisać powieść o pokoleniu tych ludzi utalentowanych i radykalnych, dałbym jej tytuł *W pościgu za straconym czynem*.

6

Mechanik zamknął maskę, a Mirek spytał go, ile jest winien.

– Gówno – odparł mechanik.

Mirek siada za kierownicą, jest wzruszony. Wcale nie ma ochoty jechać dalej. Wolałby zostać z mechanikiem i opowiadać sobie z nim kawały. Mechanik zajrzał do wozu i klepnął Mirka po ramieniu. Następnie ruszył w stronę portierni, by podnieść szlaban.

Kiedy Mirek przejeżdżał koło mechanika, ten ruchem głowy wskazał mu samochód zaparkowany przed wjazdem do stacji obsługi.

Pochylony przy otwartych drzwiach aula stał tam mężczyzna z byczym karkiem i ondulowanymi włosami. Patrzył na Mirka. Facet siedzący za kierownicą obserwował go również. Wpatrywali się w niego obaj beczelnie i bezwstydnie, więc Mirek mijając ich starał się patrzeć na nich w taki sam sposób.

Wyprzedził ich i zobaczył w lusterku, jak mężczyzna wsiada do samochodu, po czym wóz łukiem zawraca, żeby móc nadal jechać za nim.

Pomyślał, że te kompromitujące materiały mimo wszystko powinien był chyba wywieźć już wcześniej. Gdyby zrobił to zaraz pierwszego dnia swej choroby, nie czekając, aż dodzwoni się do Zdeny, może przewiozłby je jeszcze nie narażając się na niebezpieczeństwo. Tylko że on nie umiał myśleć o niczym innym, niż o podróży do Zdeny. Właściwie myśli o niej już kilka lat. W ostatnich tygodniach czuje jednak, że dłużej już zwlekać nie może, ponieważ jego los zbliża się do finału – i musi zrobić wszystko, by los ten był doskonały i piękny.

7

Kiedy w dawnych czasach rozszedł się ze Zdeną (chodzili ze sobą prawie trzy lata), odurzyło go poczucie niezmierniej swobody. I nagle wszystko zaczęło mu iść jak z płatka. Wkrótce ożenił się z kobietą, której uroda rozbudziła w nim pewność siebie. Potem owa piękność umarła i został sam z synem, w poniekąd kokietyjnej samotności, która zapewniła mu podziw, zainteresowanie i opiekę wielu innych kobiet.

Odnosił również wielkie sukcesy jako naukowiec – i te sukcesy chroniły go. Państwo go potrzebowało, toteż mógł sobie pozwalać na różne złośliwostki pod jego adresem nawet w czasach, gdy jeszcze niemal nikt na to się nie odważał. W miarę tego, jak ci, którzy ścigali swój czyn, uzyskiwali coraz większe wpływy, on także coraz częściej ukazywał się na ekranie telewizyjnym i stał się znaną postacią. Gdy po wkroczeniu Rosjan odmówił odwołania swych poglądów, wylano go z pracy i otoczono szpiczlami. Nie złamało go to. Był zakochany w swoim losie i wydawało mu się, że nawet jego marsz ku zagładzie jest wzniosły i piękny.

Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie powiedziałem, że był zakochany w samym sobie, tylko – że w swoim losie. A to dwie absolutnie różne rzeczy. Jego życie jak gdyby usamodzielniało się i nagle miało swe całkowicie własne interesy, nie pokrywające się z interesami Mirka. Nazywam to przemianą życia w los. Los ani myślał kiwnąć palcem dla Mirka (dla jego szczęścia, bezpieczeństwa, dobrego samopoczucia i zdrowia), za to Mirek gotów jest zrobić wszystko dla swego losu (żeby był wielki, jasny, piękny, żeby miał styl i rozumiały sens). Czuje się odpowiedzialny za swój los, jego los zaś nie czuje się odpowiedzialny za niego.

Do swego życia miał stosunek jak rzeźbiarz do swojej rzeźby albo powieściopisarz do powieści. Jednym z niezwykłych praw pisarza jest prawo do przerabiania swojego dzieła. Jeżeli nie podoba mu się początek, może napisać go raz jeszcze lub skreślić. Ale istnienie Zdeny kwestionowało prawa autorskie Mirka. Zdena obstawała przy tym, że pozostanie na pierwszych stronach powieści i wykreślić się nie da.

8

Lecz właściwie dlaczego tak strasznie się jej wstydzi? Najłatwiejsze jest wyjaśnienie następujące: Mirek bardzo prędko zaczął należeć do tych, którzy przystąpili do ścigania własnego czynu, podczas gdy Zdena wciąż dochowuje wierności ogrodowi, w którym śpiewają słowiki. W ostatnim okresie należała nawet do tych dwóch procent narodu, które witały rosyjskie czołgi.

Tak, to prawda, ale nie sędzę, żeby to wyjaśnienie było przekonujące. Gdyby chodziło tylko o to, że witała rosyjskie czołgi, wymyślałby na nią głośno i publicznie i nie wypierałby się znajomości z nią. Zdena zawiniła wobec niego czymś znacznie gorszym. Była brzydka.

Ale co miało za znaczenie, że była brzydka, jeśli nie sypiał z nią już ponad dwadzieścia lat?

Miało: wielki nos Zdeny nawet z oddali rzucał cień na jego życie.

Przed laty miał piękną kochankę. Pewnego razu odwiedziła miejsce pracy Zdeny i wróciła zdeglustowana:

– Słuchaj, jak mogłeś chodzić z tą straszną babą?

Oświadczył, że znał ją tylko przelotnie, i stanowczo zaprzeczył, jakoby łączyły go z nią jakiekolwiek stosunki o charakterze intymnym.

Nie była mu bowiem nieznana wielka tajemnica życia: Kobiety nie szukają pięknych mężczyzn. Kobiety szukają mężczyzn, którzy mieli piękne kobiety. Mieć szkaradną kochankę – to zatem fatalny błąd. Mirek stara się zatrzeć wszelkie ślady po Zdenie, a ponieważ ci, co kochali słowiki, im dalej, tym bardziej go nienawidzili, miał nadzieję, że Zdena, która pilnie robiła karierę działaczki partyjnej, szybko i chętnie o nim zapomni.

Ale mylił się. Mówiła o nim zawsze, wszędzie i przy każdej okazji. Gdy nieszczęsnym przypadkiem spotkał ją w towarzystwie, nigdy nie omieszkła wyskoczyć z jakimś wspomnieniem, jednoznacznie świadczącym, że kiedyś byli sobie bliscy.

Wściekał się.

– Jeśli tak nienawidzisz tej baby, powiedz mi, dlaczego z nią chodziłeś? – spytał go kiedyś przyjaciel, który ją znał.

Mirek zaczął tłumaczyć mu, że był wtedy głupim dwudziestoletnim smarkaczem, a ona miała o siedem lat więcej. Była szanowana, podziwiana, wszechmocna! Znała wszystkich w Komitecie Centralnym partii! Pomagała mu, pchała go do przodu, poznawała z ważnymi osobami!

– Byłem karierowiczem, bałwanie! – krzyczał. – Rozumiesz, agresywnym młodym karierowiczem! Dlatego uczepliłem się jej i było mi obojętne, że jest paskudna!

9

Mirek nie mówił prawdy. Chociaż opłakiwała śmierć Masturbowa, dwadzieścia pięć lat temu Zdena nie miała żadnych poważniejszych powiązań i nie mogła pomóc w karierze ani sobie, ani komukolwiek innemu.

Więc po co zmyśla? Dlaczego kłamie?

Trzymając jedną ręką kierownicę, widzi we wstecznym lusterku samochód tajniaków i nagle czerwieni się. Naszło go całkiem niespodziewane wspomnienie:

Gdy po ich pierwszym stosunku wypomniała mu, że zachowywał się nazbyt inteligencko, następnego dnia chciał naprawić złe wrażenie i zademonstrować nieokiełznaną, niepowstrzymaną namiętność. Nie, nieprawda, że zapomniał o wszystkich ich kopulacjach! Tę właśnie widzi teraz przed sobą z całą wyrazistością: Poruszał się na niej udając dzikość, wydawał z siebie przeciągły warkotliwy dźwięk, jak pies, który walczy z kapciem swojego pana, i patrzył przy tym (z niejakim zdumieniem) na nią, leżącą pod nim niebywale spokojnie, cicho, nieomal obojętnie.

W samochodzie słyszy ten swój warkot sprzed dwudziestu pięciu lat, nieznośny odgłos swej podległości i niewolniczej gorliwości, odgłos swego ferworu i zdolności przystosowania, swej śmieszności i nędzy.

Właśnie, tak to jest: Mirek gotów jest przedstawiać się jako karierowicz, byle tylko nie musiał przyznać się do prawdy: chodził z brzydulą, bo na romans z ładną zabrakło mu śmiałości. Nie oceniał siebie na więcej niż Zdenę. Ta słabość, ta nędza – to była tajemnica, którą ukrywał.

W samochodzie słyszy wściekły warkot namiętności i dźwięk ten stanowi dla niego dowód, że Zdena jest jedynie magicznym obrazem, który chciałby uszkodzić, aby zniszczyć w nim swoją zniechęconą młodość.

Zatrzymał się przed jej domem. Wóz, który jechał za nim, stanął także.

10

Wydarzenia historyczne naśladują się przeważnie nawzajem bez talentu, ale wydaje mi się, że w Czechach historia zainscenizowała eksperyment, jakiego jeszcze nie było. Nie przeciwstawiła się tam – jak każą stare recepty – jedna grupa ludzi (klasa, naród) innej, lecz ludzie (jedno ich pokolenie) zbuntowali się przeciw własnej młodości.

Starali się dogonić i okiełznać swój własny czyn i omal im się to udało. W latach sześćdziesiątych ich wpływy stale rosły i na początku roku 1968 decydowali już niemal o wszystkim. Ten ostatni okres nazywa się powszechnie Praską Wiosną: strażnicy idylli musieli wymontować z prywatnych mieszkań mikrofony, granice były otwarte, nuty z partytury wielkiej fugi Bacha rozbiegły się i każda zaczęła śpiewać po swojemu. To była niewiarygodna radość, to był karnawał!

Rosja, która pisze wielką fugę dla całej kuli ziemskiej, nie mogła pozwolić, żeby gdzieś rozbiegły się jej nuty. Dnia 21 sierpnia 1968 roku wysłała do Czech półmilionową armię. Pociągnęło to za sobą opuszczenie kraju przez około 120 000 Czechów, a z tych, co pozostali, około 500 000 musiało odejść ze

swojej pracy do warsztatów zagubionych wśród pól i lasów, do taśm produkcyjnych prowincjonalnych fabryk, za kierownice ciężarówek, czyli tam, skąd już nikt nie usłyszy nigdy ich głosu.

Żeby zaś nawet cień przykrych wspomnień ponownie nie wyrwał kraju z odrodzonej idylli, należało i Praską Wiosnę, i przybycie rosyjskich czołgów, tę plamę na świetlanej historii, uczynić niczym. Dlatego dziś już w Czechach nikt nie przypomina rocznic 21 sierpnia, a nazwiska ludzi, którzy powstali przeciw własnej młodości, wyskrobuje się starannie z pamięci kraju, jak błąd ze szkolnego zadania.

Również Mirka tak wyskrobano. Jeżeli teraz zbliża się po schodach do drzwi mieszkania Zdeny, to właściwie jest tylko białą plamą, tylko kawałkiem ograniczonej pustki, unoszącej się w górę spiralą klatki schodowej.

11

Siedzi naprzeciw Zdeny, ręka kołysze się mu na temblaku. Zdena patrzy w bok, unika jego wzroku i mówi spieszenie:

– Nie wiem, dlaczego przyjechałeś. Ale cieszę się, żeś przyjechał. Rozmawiałam z towarzyszami. To przecież nonsens, żebyś do końca życia pracował jako robot na budowie. Wiem to z całą pewnością, partia nie zamknęła jeszcze przed tobą drzwi. Stale jeszcze jest czas.

Zapytał, co powinien zrobić.

– Musisz poprosić ich o audiencję. Ty sam. Musisz sam uczynić pierwszy krok.

Wiedział, o co chodzi. Zawiadamiają go, że ma jeszcze ostatnie pięć minut, żeby głośno oświadczyć, że odrzeka się wszystkiego, co mówił i robił. Zna te transakcje. Skłonni są sprzedać ludziom przyszłość za ich przeszłość. Będą go zmuszać, żeby przemówił skruszonym głosem w telewizji i wyjaśnił narodowi, że mylił się, kiedy mówił przeciwko Rosji i słowikom. Będą go zmuszać, by odtrącił od siebie swoje życie i stał się cieniem, człowiekiem bez przeszłości, aktorem bez roli, żeby zmienił w cień również swe odtrącone życie, tę rolę porzuconą przez aktora. Wtedy, przemienionemu w cień, pozwolą mu żyć.

Patrzy na Zdenę: dlaczego mówi tak spieszenie i niepewnie? Dlaczego patrzy w bok, unika jego wzroku?

Jest to dlań aż zbyt jasne: Zastawiła na niego sidła. Działa na polecenie partii albo policji. Ma za zadanie namówić go do kapitulacji.

12

Ale Mirek się myli! Nikt nie polecił Zdenie, by z nim pertraktowała. Ach nie, dziś żaden z władców nie udzieliłby już Mirkowi audiencji, nawet gdyby nie wiem jak o to prosił. Jest już za późno.

Jeżeli Zdena mimo to nakłania go do zrobienia czegoś w jego sprawie i twierdzi, że przekazują mu to towarzysze z najwyższych instancji, kieruje nią wyłącznie bezradne i niesprecyzowane pragnienie, żeby mu jakoś pomóc. Jeśli przy tym mówi tak spieszenie i unika spojrzenia mu w oczy, to nie dlatego, że trzyma w ręku sznur zastawionych sidła, lecz – że ma ręce zupełnie puste.

Czy Mirek ją w ogóle kiedykolwiek rozumiał?

Zawsze myślał, że Zdena jest tak zaciekle wierna partii, ponieważ jest polityczną fanatyczką.

Nie była to prawda. Pozostała wierna partii, ponieważ kochała Mirka.

Gdy ją rzucił, nie pragnęła niczego więcej, jak tylko dowieść, że wierność jest wartością nad wszystkie inne. Chciała dowieść, że on jest *we wszystkim* niewierny, a ona *we wszystkim* wierna. To, co wyglądało na fanatyzm polityczny, było tylko pretekstem, parabolą, manifestacją wierności, zaszyfowanym wyrzutem zawiedzionej miłości.

Wyobrażam sobie, jak pewnego sierpniowego ranka zbudził ją przeraźliwy huk samolotów. Wybiegła na ulicę i tam wstrząśnięci ludzie powiedzieli jej, że rosyjskie wojsko zajęło Czechy. Wybuchła histerycznym śmiechem. Rosyjskie czołgi przyjechały ukarać wszystkich niewiernych! Wreszcie zobaczy upadek Mirka! Wreszcie zobaczy go na kolanach! Wreszcie będzie mogła pochylić się nad nim jako ta, która wie, co to wierność, i pomóc mu.

Zdecydował się brutalnie przerwać rozmowę zmierzającą w niewłaściwym kierunku:

– Wiesz, że kiedyś wysłałem do ciebie masę listów. Chciałbym je zabrać.

Uniosła ze zdumieniem głowę:

– Listy?

– Tak, moje listy. Musiałem wysłać ci ich wtedy co najmniej setkę.

– Tak, twoje listy, ja wiem – mówi.

I nagle już wcale nie ucieka ze wzrokiem, i patrzy mu śmiało w oczy. Mirek ma nieprzyjemne uczucie, że zagląda mu w głąb duszy i doskonale wie, czego on chce i dlaczego chce tego.

– Listy, tak, twoje listy – powtarza. – Niedawno znów je czytałam. Mówiłam sobie, jak to możliwe, że byłeś zdolny do takiej eksplozji uczuć.

I jeszcze kilkakrotnie powtarza te słowa, *eksplozja uczuć*, i nie mówi ich szybko, z pośpiechem, ale powoli i rozważnie, jakby mierzyła do celu, do którego chce trafić, i nie spuszcza zeń oczu, jakby chciała podkreślić, że udało się jej nie spuścić.

13

Na piersiach kołysze mu się ręka w gipsie, a twarz pali go, jakby dostał policzek.

Ach tak, jego listy musiały być okropnie sentymentalne. Jakżeby nie! Musiał jej przecież za wszelką cenę dowieść, że tym, co go z nią wiąże, nie jest jego słabość i nędza, ale miłość! I naprawdę tylko bezgraniczna namiętność mogła usprawiedliwić związek z tą brzydulą.

– Napisałeś mi, że jestem twoją współbojowniczką, pamiętasz?

Jeżeli to w ogóle możliwe, czerwieni się jeszcze bardziej. To niesamowicie śmieszne słowo *bój*. Co było ich bojem? Wysiadywali na nie kończących się zebraniach, dostawali odcisków na pośladkach, ale w chwili, kiedy wstawali z krzeseł, żeby wygłosić jakąś wielce radykalną opinię (wroga klasowego trzeba ukarać jeszcze surowiej, tę czy ową myśl sformułować jeszcze bardziej nieustępliwie), mieli uczucie, że podobni są do postaci z heroicznym obrazów: on wali się na ziemię z pistoletem w rękę i krwawą raną na piersi, a ona, również ze spluwą w dłoni, kroczy naprzód, tam, dokąd on dojsz już nie zdołał.

Wtedy jeszcze cerę miał całą w spóźnionych pryszczach okresu pokwitania, więc by nie było ich widać, przywdział na twarz maskę buntu. Opowiadał każdemu, że na zawsze zerwał ze swoim ojcem, który był chłopem. Wzgardził wiekową wiejską tradycją, tą nieustanną obawą o swą ziemię i majątność. Przedstawiał scenę kłótni i dramatyczne odejście z domu. Nie było w tym żdźbła prawdy. Kiedy dzisiaj ogląda się za siebie, nie widzi nic oprócz legend i kłamstw.

– Wtedy byłeś innym człowiekiem niż dzisiaj – mówi Zdena.

A on wyobraził sobie, jak wywozi tę paczkę listów. Zatrzymuje się przy najbliższym śmietniku, z obrzydzeniem bierze listy w dwa palce, jakby to był papier usmarowany gównem, i ciska je do śmieci.

14

– Na co ci te listy? – spytała. – Dlaczego właściwie chcesz je zabrać?

Nie mógł jej powiedzieć, że chce wyrzucić je na śmietnik. Nadał swemu głosowi ton melancholii i zaczął opowiadać, że jest w wieku, gdy człowiek ogląda się za siebie.

(Gdy to mówił, było mu nieprzyjemnie, zdawało mu się, że jego bajka nie brzmi przekonująco, i wstydył się.)

Tak, ogląda się wstecz, bo dzisiaj już zapomniał, jaki był, gdy był młody. Wie, że poniósł klęskę. Chciałby zatem zobaczyć, skąd wyszedł, by móc sobie lepiej uzmysłwić, w którym miejscu popełnił błąd. Dlatego pragnie wrócić do swej korespondencji ze Zdeną, w której tkwi tajemnica jego młodości, początków i punktu wyjścia.

Kręciła głową:

– Nigdy ci ich nie oddam.

– Chciałbym je tylko wypożyczyć – kłamał.

Uparcie kręciła głową.

Myślał, że gdzieś w jej mieszkaniu, może tuż obok, są jego listy, które Zdena w każdej chwili może dawać komu chce do czytania. Wydawało mu się nie do zniesienia, że kawał jego życia został w jej rękach; miał ochotę wyrzucić ją w głowę ciężką szklaną popielniczką, stojącą na dzielącym ich stoliku, i listy zabrać. Miast to zrobić, wyjaśniał jej raz jeszcze, że ogląda się za siebie i chce wiedzieć, skąd wyszedł.

Uniosła na niego oczy i spojrzeniem zmusiła go do zamknięcia:

– Nie oddam ci ich nigdy. Nigdy.

15

Kiedy odprowadzała go przed dom, oba wozy stały zaparkowane jeden za drugim. Tajniacy spacerowali po przeciwległym chodniku. Teraz zatrzymali się i wlepili w nich oczy.

Pokazał ich jej:

– Ci dwaj panowie śledzą mnie przez całą drogę.

– Rzeczywiście? – powiedziała z niedowierzaniem i w jej głosie słycać było specjalnie podkreśloną ironię. – Wszyscy cię prześladowają?

Jak może być tak cyniczna i wmawiać weń, że dwaj mężczyźni, którzy przyglądają się im demonstracyjnie i bezczelnie, są tylko przypadkowymi przechodniami?

Jest tylko jedno wytłumaczenie. Bierze udział w ich grze. W grze polegającej na tym, że wszyscy udają, jakoby żadna tajna policja nie istniała i nikt nie był prześladowany.

Tymczasem tajniacy przeszli przez jezdnię i nie krępując się Mirkiem i Zdeną wsiedli do swego samochodu.

– No to trzymaj się – powiedział Mirek i już na nią nie spojrzął.

Usiadł za kierownicą. W lusterku zauważył, że wóz tajniaków rusza za nim. Zdeny nie widział. Nie chciał jej widzieć. Nie chciał jej widzieć już nigdy.

Nie wiedział więc, że stała na chodniku i długo za nim patrzyła. Na jej twarzy malował się niepokój.

Nie, nie było cynizmem, że nie chciała w ludziach na przeciwległym chodniku widzieć szpicli. Ogarnął ją lęk przed sprawami, które ją przerastały. Pragnęła ukryć prawdę przed nim oraz przed sobą.

16

Pomiędzy nim a autem tajniaków wyrósł nagle czerwony sportowy wóz prowadzony przez szalonego kierowcę. Mirek dodał gazu. Wjeżdżali właśnie do małego miasteczka. Szosa skręcała. Uświadomił sobie, że w tej chwili prześladowcy nie widzą go i skręcił w boczną uliczkę. Zapiszczały hamulce, chłopiec, który zamierzał akurat przejść przez jezdnię, ledwie uskoczył. W lusterku widać było, jak na głównej szosie mignął czerwony samochód. Lecz wóz prześladowców jeszcze nie przejechał. Mirkowi udało się szybko skręcić w kolejną przecnicę i w ten sposób definitywnie zniknąć im z pola widzenia.

Opuścił miasto szosą biegnącą w zupełnie inną stronę. Rzucił okiem w lusterko. Nikt za nim nie jechał, droga była pusta.

Wyobraził sobie nieszczęsnych tajniaków, jak go szukają i boją się, że szef natrze im uszu. Zaśmiał się głośno. Zmniejszył szybkość i rozejrzał się po okolicy. Właściwie nigdy nie patrzył na krajobraz. Zawsze jechał dokąds, ażeby coś załatwić i omówić, więc przestrzeń świata stała się dla niego czymś negatywnym, stratą czasu, przeszkodą, która hamowała jego działania.

Kawałek przed nim powoli opadają ku ziemi dwa przegowane, czerwono-białe szlabany. Przystaje.

Nagle czuje straszne znużenie. Po co w ogóle do niej jechał? Po co chciał zwrotu tych listów?

Gnębi go cały bezsens, śmieszność, dziecinność tej podróży. Nie skłoniły go do niej żadna głębsza myśl ani praktyczny interes, jedynie przemożne pragnienie. Pragnienie, by sięgnąć ręką daleko w przeszłość i wyróżnić tam pięścią. Pragnienie rozcięcia nożem obrazu własnej młodości. Namiętne pragnienie, którego nie potrafił poskromić i które pozostanie już nie zaspokojone.

Czuł niezmiernie znużenie. Już chyba nie będzie mógł usunąć kompromitujących materiałów ze swojego mieszkania. Depczą mu po piętach i już go nie opuszczają. Jest za późno. Tak, na wszystko jest już za późno.

Z daleka usłyszał sapanie pociągu. Przy budce dróżnika stała kobieta w czerwonej chustce na głowie. Pociąg nadjeżdżał, powolny osobowy, z jednego wagonu wychylał się stary wieśniak z fajką i spluwał przez okno. Potem odezwał się stacyjny dzwonek, kobieta w czerwonej chustce podeszła do szlabanów i zaczęła kręcić korbą. Szlabany uniosły się, Mirek ruszył. Wjeżdżał do wsi będącej jedną długą ulicą, na której końcu znajdowała się stacja: mały, niski, biały budynek, przy nim drewniany płot, przez sztachety widać było peron i szyny.

17

Okna stacji zdobią doniczki z begoniami. Mirek zatrzymał auto. Siedzi za kierownicą i patrzy na ten dom, okno i czerwone kwiatki. Z dawno zapomnianego czasu wyłania mu się obraz innego białego domu, którego parapety czerwieniły się kwiatami begonii. To mały hotel w górskiej wsi, są letnie wakacje. W

oknie wśród kwiatów ukazuje się wielki nos. A dwudziestoletni Mirek patrzy w górę na ten nochal i czuje w sobie bezgraniczną miłość.

Chce szybko nacisnąć gaz i ująć temu wspomnieniu. Ale tym razem ja nie dam się oszukać i przywołuję to wspomnienie ponownie, by je zatrzymać. Powtarzam więc: W oknie pośród begonii widać twarz Zdeny z ogromnym nosem, a Mirek czuje w sobie bezgraniczną miłość.

Czy to możliwe?

Tak. A czemuż by nie? Czyżby słaby nie mógł darzyć brzyduli autentyczną miłością?

Opowiada jej, jak zbuntował się przeciw reakcyjnemu ojcu, ona oburza się na inteligentów, obydwoje mają odciski na pupach od wysiadania na zebraniach i spacerują trzymając się za ręce. Chadzają na zebrania, donoszą na współobywateli, kłamią i kochają się. Ona płacze z powodu śmierci Masturbowa, on warczy na jej ciele jak wściekły pies i jedno nie może żyć bez drugiego.

Wyskrobywał jej fotografię ze swego życia nie dlatego, że jej nie kochał, ale dlatego, że kochał. Wymazał ją razem ze swoją miłością do niej, wyskrobał jak partyjny wydział propagandy wyskrobał Clementisa z balkonu, na którym Gottwald wygłaszał swe historyczne przemówienie. Mirek jest takim samym fałszerzem historii jak partia komunistyczna, jak wszystkie partie polityczne, jak wszystkie narody, jak człowiek. Ludzie krzyczą, że chcą zbudować lepszą przyszłość, lecz to nieprawda. Przyszłość to tylko obojętna pustka, która nikogo nie obchodzi, podczas gdy przeszłość pełna jest życia – jej oblicze drażni nas, podnieca, obraża, chcemy więc zniszczyć ją albo przemałować. Ludzie chcą być panami przyszłości tylko po to, żeby móc zmieniać przeszłość. Walczą o dostęp do laboratoriów, w których retuszuje się fotografie oraz pisze na nowo życiorysy i dzieje.

Jak długo stał przy tej stacji?

I co oznaczało to zatrzymanie?

Nie oznaczało nic.

Wyskrobał je natychmiast z myśli, wobec czego w tej chwili nic już nie wie o białym domku z begoniami. Już znowu szybko jedzie pośród zieleni i nie rozgląda się. Przestrzeń świata znów jest tylko przeszkodą, która zmniejsza tempo jego działań.

18

Samochód, któremu zdołał ująć, był zaparkowany przed jego domem. Obaj mężczyźni stali opodal.

Zatrzymał wóz za ich autem i wysiadł. Uśmiechali się do niego niemal wesoło, jakby ucieczka Mirka była tylko miłą zabawą, która wszystkim dostarczyła przyjemnej rozrywki. Kiedy mijali ich, mężczyzna z byczym karkiem i ondulowanymi siwymi włosami roześmiał się i skinął mu głową. Mirka zaniepokoiła ta poufałość, stanowiąca zapowiedź, że w przyszłości będą związani jeszcze silniej.

Twarz mu nie drgnęła, spokojnie wszedł do domu. Otworzył kluczem drzwi mieszkania. Najprzód zobaczył syna, jego spojrzenie pełne było skrywanego niepokoju. Nieznajomy mężczyzna w okularach podszedł do Mirka i wylegitymował się:

– Chce pan zobaczyć zezwolenie prokuratora na przeszukanie mieszkania?

– Tak – odparł Mirek.

W mieszkaniu byli jeszcze dwaj inni nieznajomi mężczyźni. Jeden stał przy biurku, na którym piętrzyły się stosy papierów, zeszytów i książek. Brał te rzeczy po kolei do ręki, podczas gdy drugi siedział przy stole i pisał, co mu pierwszy dyktował.

Mężczyzna w okularach wyjął z portfela złożony papier i podał go Mirkowi:

– Tu ma pan nakaz prokuratorski, a tam – wskazał na obu mężczyzn – przygotowujemy dla pana wykaz zabezpieczonych przedmiotów.

Na ziemi walało się mnóstwo papierów i książek, drzwi szafy były otwarte, meble poodsuwane od ścian.

Syn nachylił się do Mirka i rzekł:

– Przyszli w pięć minut po twym odjeździe.

Mężczyźni przy biurku spisywali skonfiskowane rzeczy: listy przyjaciół Mirka, dokumenty z pierwszych dni okupacji rosyjskiej, teksty analizujące sytuację polityczną, notatki ze spotkań oraz trochę książek.

– Niezbyt troszczy się pan o spokój swych przyjaciół – odezwał się mężczyzna w okularach i skinął w stronę zakwestionowanych materiałów.

– Nie ma tu nic, co byłoby sprzeczne z konstytucją – powiedział syn i Mirek wiedział, że są to jego, Mirka, słowa.

Mężczyzna w okularach odrzekł, że o tym, co jest sprzeczne z konstytucją, a co nie, zadecyduje sąd.

Ci, którzy przebywają na emigracji (jest ich sto dwadzieścia tysięcy), ci, których zmuszono do milczenia i wypędzono z zajmowanych stanowisk (jest ich pół miliona) giną jak kondukt rozpływający się we mgle, nie widziani i zapomniani.

Więzienie natomiast, chociaż ze wszystkich stron otoczone murami, stanowi rzeźnię oświetloną scenę historii.

Mirek wie to od dawna. Obraz więzienia wabił go nieodparcie przez cały ostatni rok. Tak musiało wabić Flauberta samobójstwo pani Bovary. Nie, dla powieści swojego życia nie mógłby wyobrazić sobie lepszego zakończenia.

Chcieli wymazać z pamięci życie setek tysięcy ludzi, żeby został tylko jeden jedyny nieskalany czas nieskalanej idylli. Ale on położy się na tej idylli całym swoim ciałem jak plama. Zostanie na niej, jak czapka Clementisa przetrwała na głowie Gottwalda.

Dali Mirkowi do podpisu wykaz zabezpieczonych przedmiotów, a następnie kazali jemu i synowi iść z sobą. Po rocznym areszcie śledczym odbył się sąd. Mirka skazano na sześć lat, jego syna na dwa, a około dziesięciu jego przyjaciół otrzymało kary między rokiem a sześcioma latami więzienia.

Część druga

Mama

1

Był okres, gdy Marketa nie lubiła swej teściowej. Działo się to wtedy, kiedy mieszkała u niej z Karelem (teść jeszcze wtedy żył) i codziennie stykała się z jej lochami i humorami. Nie wytrzymała tego długo i wkrótce się wyprowadzili. *Jak najdalej od matki*, takie wtedy wymyślili hasło. Przenieśli się do miasta na drugim końcu kraju, więc mogli widywać się z rodzicami Karela zaledwie raz do roku.

Potem nagle pewnego dnia teść zmarł i matka została sama. Spotkali się na pogrzebie; była cicha, biedna i wydawało im się, że jakby zmaląła. Obydwojgu krążyło po głowie zdanie: *mamo, nie możesz sama tutaj zostać, zabierzemy cię do nas*.

Zdanie to mieli na końcu języka, lecz nie zostało wypowiedziane. Tym bardziej że na spacerze, w dzień po pogrzebie, mama – choć taka biedna i malutka – wypomniała im wszystkie winy, jakie popełnili, z zaciętością, która wydawała im się niestosowna.

– Jej już nic nie jest w stanie zmienić – powiedział Karel do Markety, kiedy oboje siedzieli w pociągu. – To smutne, ale podtrzymuję to, co powiedziałem: jak najdalej od matki.

Ale lata mijały i jeśli nawet mama rzeczywiście się nie zmieniła, to zmieniała się chyba Marketa, bo nagle doszła do wniosku, że wszystko, czym kiedyś teściowa wyrządziła jej krzywdę, to były właściwie niewinne głupstwa i że prawdziwe błędy popełniała właśnie ona, przywiązując zbyt wielką wagę do połajanek matki. Traktowała wtedy teściową tak, jak dziecko traktuje osobę dorosłą, tymczasem teraz role się zmieniły: Marketa jest dorosła, a mama z tej ogromnej odległości wydawała jej się malutka i bezbronna jak dziecko. Kierując się uczuciem wyrozumiałości i współczucia, zaczęła z nią nawet korespondować. Staruszka bardzo szybko się do tego przyzwyczaiła, sumiennie odpowiadała na każdy list i domagała się dalszych twierdząc, że tylko listy Markety pozwalają jej znosić samotność.

Zdanie, które zrodziło się podczas pogrzebu ojca, znów w ostatnim czasie zaczęło krążyć w ich głowach. I znów syn poskromił łaskawość synowej, więc zamiast powiedzieć: *mamo, przeprowadź się do nas*, zaprosił ją tylko na tydzień do siebie.

Była Wielkanoc, ich dziesięcioletni syn wyjeżdżał na ferie. Z końcem tygodnia – w niedzielę – miała przyjechać Ewa. Cały tydzień więc – oprócz niedzieli – byli skłonni poświęcić mamie. Powiedzieli jej: możesz posiedzieć u nas od soboty do soboty. W niedzielę mamy coś umówionego. Chcemy gdzieś jechać. Nie powiedzieli nic konkretnego, bo nie chcieli zbyt wiele opowiadać o Ewie. Karel jeszcze dwukrotnie powtórzył jej przez telefon: od soboty do soboty. W niedzielę mamy coś umówionego, chcemy gdzieś jechać. A mama odpowiedziała: dobrze, dzieci, jesteście bardzo dobrzy, naturalnie, wyjadę jak tylko będziecie chcieli. Żeby choć na chwilę uciec od mojej samotności.

Ale w sobotę wieczorem, kiedy Marketa chciała się z nią umówić, o której trzeba jechać na dworzec, mama zwyczajnie, po prostu oznajmiła jej, że wyjeżdża w poniedziałek. Marketa spojrzała na nią zdziwiona, a mama kontynuowała:

– Karel mi mówił, że w poniedziałek macie coś umówionego, gdzieś chcecie jechać, więc ja już w poniedziałek rano pojadę.

Naturalnie Marketa mogła powiedzieć: *nie mamo, pomyliłaś się, my chcemy już jutro jechać*, ale nie znalazła na to odwagi. Nie potrafiła na poczekaniu wymyślić dokąd się wybierają. Zrozumiała, że znaleźli bardzo kiepską wymówkę, więc nic nie odpowiedziała i pogodziła się z tym, że mama zostanie u nich na niedzielę. Pocieszała się, że pokój chłopięcy, w którym ją ulokowali, jest na drugim końcu mieszkania, więc mama nie będzie im przeszkadzać.

– Daj spokój, nie złość się – napominała Karela. – Zobacz, jak ona wygląda. To biedactwo. Aż mi się serce ściska.

2

Karel z rezygnacją wzruszył ramionami. Marketa miała rację; mama rzeczywiście się zmieniła. Była ze wszystkiego zadowolona, za wszystko wdzięczna. Karel na próżno oczekiwał jakiegoś wybuchu, konfliktu.

Któregoś dnia w czasie spaceru spojrzała przed siebie i powiedziała: – Co to za piękna biała wioska? – Nie była to wioska, tylko przydrożne słupki. Karela opanował żal, jak bardzo pogorszył się mamie wzrok.

Ale ta wada wzroku wyrażała coś bardziej istotnego: to, co dla nich było wielkie, dla niej było małe; co dla nich było słupkami, dla niej było domami.

Mówiąc dokładnie, cecha ta nie była tak całkiem nowa. Tylko że kiedyś ich złościła. Na przykład pewnego dnia ich kraj zajęły czołgi sąsiedniego państwa. To był taki szok i taki wstrząs, że jeszcze długo potem nikt nie był w stanie myśleć o niczym innym. Był sierpień, a w ich sadzie właśnie dojrzewały gruszki. Mama już tydzień wcześniej zaprosiła pana aptekarza, żeby je zebrał. A pan aptekarz nie tylko nie przyszedł, ale nawet nie przeprosił. Mama nie mogła mu tego wybaczyć, Marketę i Karela zaś doprowadzało to do wściekłości. Wszyscy myślą o czołgach, a ty myślisz o gruszkach – wypominali jej. Potem wyprowadzili się, wciąż bolejąc nad jej małostkowością.

Ale czy rzeczywiście czołgi są ważniejsze niż gruszki? Kiedy czas upływał, Karel zaczął dochodzić do wniosku, że odpowiedź na to pytanie wcale nie jest taka oczywista, jak mu się zawsze wydawało. Zaczął wręcz po cichu sympatyzować z mamy perspektywą, w której na pierwszym planie znajduje się wielka gruszka, a gdzieś daleko za nią czołg, malutki jak biedronka, która lada chwila ma się poderwać i zniknąć na horyzoncie. Ależ tak, przecież mama ma rację: czołg jest śmiertelny, a gruszka – wieczna.

Kiedyś mama chciała wiedzieć wszystko o swoim synu i miała mu za złe, gdy ukrywał przed nią swoje życie. Tym razem postanowił sprawić jej przyjemność i opowiadał szczegółowo o tym, co robią, co im się przydarzyło i jakie mają plany. Szybko jednak zorientował się, że mama słucha go raczej przez uprzejmość i że w tę opowieść wplata swoją: o pudelku, którego na czas nieobecności podrzuciła sąsiadce.

Kiedyś uznaliby to za egocentryzm lub małostkowość, ale dziś wiedział, że to nie tak. Upłynęło więcej czasu, niż przypuszczał. Mama odłożyła marszałkowską buławę swego macierzyństwa i odeszła w inny świat. Gdy byli na spacerze, zerwał się wiatr. Trzymali ją z obu stron pod ręce i właściwie nieśli, bo inaczej wiatr porwałby ją jak piórko. Karel oszołomiony czuł w rękach znikomy ciężar jej ciała i rozumiał, że matka należy do królestwa innych istot; mniejszych, lżejszych, istot z łatwością unoszonych przez wiatr.

3

Ewa przyjechała po południu. Na dworzec wyjechała po nią Marketa, bo ona właśnie uważała Ewę za swego gościa. Nigdy nie lubiła przyjaciółek Karela. Ale z Ewą było inaczej. Poznała ją bowiem wcześniej niż Karel.

Stało się to mniej więcej przed sześciu laty. Wybrali się z Karem na urlop do znanego uzdrowiska. Marketa co drugi dzień chodziła do sauny. Któregoś dnia, gdy tam siedziała spocona wśród kilku innych pań na drewnianej ławeczce, do środka weszła wysoka, naga dziewczyna. Uśmiechnęły się do siebie, choć się jeszcze nie znały, ale po chwili dziewczyna zagadnęła Marketę. Była niezwykle bezpośrednia, Marketa zaś – wdzięczna za przejawy sympatii. Szybko się zaprzyjaźniły.

Marketa była oczarowana oryginalnością Ewy; już choćby samym faktem, że natychmiast zaczęły rozmawiać! Jakby właśnie tam się umówiły! Ewa wcale nie traciła czasu, zaczynając rozmowę od tego, że sauna jest zdrowa i że jest ich mało, lecz natychmiast zaczęła mówić o sobie jak ludzie, którzy poznają się z ogłoszenia i w pierwszym liście starają się opisać przeszłemu partnerowi w skondensowanej formie, kim są i o co im chodzi.

Kim więc jest Ewa według słów Ewy? Ewa jest wesołym łowcą mężczyzn. Nie poluje jednak na nich w celu matrymonialnym. Poluje tak, jak mężczyźni polują na kobiety. Jej zdaniem miłość nie istnieje, jedynie przyjaźń i sensualizm. Dlatego ma wielu przyjaciół: mężczyźni nie obawiają się, że chce ich zapędzić do ślubu, a kobiety, że chce im odbić męża. Zresztą, gdyby kiedyś wyszła za mąż, jej mąż też byłby przyjacielem, któremu pozwalałaby na wszystko, nie oczekując niczego w zamian.

Kiedy o tym wszystkim powiedziała, oświadczyła Marcecie, że jest świetną sztuką, co jest rzeczą bardzo cenną, bo jej zdaniem niewiele kobiet ma naprawdę ładne ciało. Ten komplement wypowiedziała z taką szczerością, że Marketa ucieszyła się bardziej, niż gdyby wyszedł z ust mężczyzny. Dziewczyna całkowicie ją zawojowała. Marketa miała wrażenie, że znalazła się w królestwie szczerości, i umówiła się z Ewą za dwa dni o tej samej porze w saunie. Później poznała z nią Karela, lecz on został w tej przyjaźni zawsze tym drugim.

– Jest u nas matka Karela – powiedziała Marketa przepraszająco wioząc ją z dworca. – Przedstawię cię, jako swoją kuzynkę. Mam nadzieję, że ci to nie będzie przeszkadzać.

– Przeciwnie – odparła Ewa i poprosiła, by Marketa przekazała jej kilka podstawowych informacji o rodzinie.

4

Mama wprawdzie nigdy nie interesowała się zbytnio rodziną synowej, ale słowa: kuzynka, bratanica, ciocia, wnuczka – sprawiały jej przyjemność: był to bowiem krąg dobrze znanych pojęć.

I znów potwierdziło się to, co już wiedziała od dawna: jej syn jest niepoprawnym dziwakiem. Jakby matka mogła im przeszkadzać, kiedy spotykają się z krewną! Przecież ona rozumie, że chcą sobie porozmawiać sami. Ale żeby z tego powodu wyrzucać ją o dzień wcześniej to przecież bzdura. Na szczęście już ona ma na nich sposób. Po prostu stwierdziła, że pomyliły jej się dni, i niemal bawiła się patrząc, jak grzeczna Marketa nie potrafi jej powiedzieć, że powinna wyjechać już w niedzielę.

Tak, musi przyznać, że są teraz dla niej lepsi niż wcześniej. Kilka lat temu Karel bezlitośnie powiedziałby jej, że musi wyjechać. Tym małym fortelem wyrządziła im wczoraj nawet przysługę. Przynajmniej nie będą musieli mieć wyrzutów sumienia, że niepotrzebnie wyrzucali matkę o dzień wcześniej do jej samotności.

Oprócz tego bardzo się cieszy, że poznała nową osobę z rodziny. To bardzo sympatyczna dziewczyna. (Strasznie jest do kogoś podobna. Ale do kogo?) Przez całe dwie godziny musiała odpowiadać na jej pytania. Jak mama się czesała, kiedy jeszcze była panną? Nosiła warkocz. No tak, to było jeszcze za Austro-Węgier. Stolicą był wtedy Wiedeń. Mama chodziła do czeskiego gimnazjum i była patriotką. Miała ochotę zaśpiewać im niektóre pieśni patriotyczne, jakie wtedy śpiewali. Albo wiersze! Na pewno jeszcze wiele z nich umiałaby na pamięć. Zaraz po wojnie (oczywiście po pierwszej wojnie światowej, w 1918 roku, kiedy powstała niepodległa republika; mój Boże, ta kuzynka nie wie, kiedy powstało nasze niepodległe państwo!) mama recytowała wiersz na uroczystej imprezie w szkole. Świątowano z powodu odzyskania wolności! I nagle, wyobraźcie sobie, przed ostatnią zwrotką zrobiło jej się pusto w głowie i nie wiedziała, co dalej. Milczała, pot wystąpił jej na czoło, myślała, że ze wstydu zapadnie się pod ziemię. A tu nagle, nieoczekiwanie rozległy się brawa! Wszyscy sądzili, że wiersz się skończył i nie poznali, że brakuje ostatniej zwrotki! Ale mama i tak wstydziła się tak bardzo, że uciekła do ubikacji, zamknęła się tam, aż przyszedł po nią sam pan dyrektor i długo się do niej dobijał, prosił, żeby nie płakała, żeby wyszła, że przecież wszystkim bardzo się podobało.

Kuzynka śmiała się, a mama popatrzyła na nią uważnie: – Pani mi kogoś przypomina, tylko nie mogę sobie przypomnieć kogo...

– Ale przecież po wojnie już nie chodziłaś do szkoły – zaoponował Karel.

– Ja chyba lepiej wiem, kiedy chodziłam do szkoły – odparła mama.

– Przecież robiłaś maturę w ostatnim roku wojny. To było jeszcze za Austro-Węgier.

– Wiem lepiej, kiedy robiłam maturę – złościła się mama. Ale już w tej chwili wiedziała, że Karel się nie myli. Rzeczywiście, robiła maturę w czasie wojny. Więc skąd jej się wzięło to wspomnienie o uroczystości po wojnie? Mama nagle straciła pewność siebie i umilkła.

W tej krótkiej ciszy rozległ się głos Markety. Zwróciła się do Ewy, a jej słowa nie dotyczyły mamej recytacji ani 1918 roku.

Mama poczuła się opuszczona w swych wspomnieniach, zdradzona przez nagły brak zainteresowania i przez zawód, jaki sprawiła jej własna pamięć.

– No, bawcie się dobrze, dzieci, jesteście młodzi, macie sobie co opowiadać – powiedziała do nich i niezadowolona odeszła do pokoju wnuka.

5

Kiedy Ewa stawiała mamie jedno pytanie za drugim, Karel obserwował ją z wielką sympatią. Znał ją już dziesięć lat i zawsze taka była. Bezpośrednia i odważna. Poznał ją (mieszkał jeszcze wtedy z Marketą u rodziców), niemal tak samo błyskawicznie, jak kilka lat później zrobiła to jego żona. Pewnego dnia dostał do pracy list od nieznanym dziewczyny. że go zna z widzenia i że zdecydowała się napisać do niego, ponieważ o ile jej się jakiś mężczyzna podoba, to konwenanse nie mają dla niej żadnego znaczenia. Karel jej się podoba, a ona jest kobietą-łowcą. Łowcą niezapomnianych doświadczeń. Nie uznaje miłości. Tylko przyjaźń i sensualizm. Do listu dołączona była fotografia nagiej dziewczyny w wyzywającej pozie.

Karel najpierw bał się odpowiedzieć, bo myślał, że ktoś robi mu kawał. Ale nie dawało mu to spokoju. Wreszcie napisał do dziewczyny na podany adres i zaprosił ją do mieszkania swego przyjaciela. Przyszła Ewa – długa, chuda i źle ubrana. Wyglądała jak wyrośnięty podłotek ubrany w strój babci. Usiadła na wprost niego i mówiła, że o ile jakiś mężczyzna jej się podoba, to konwenanse nie mają dla

niej żadnego znaczenia. Ze uznaje tylko przyjaźń i sensualizm. Na jej twarzy malował się wysiłek i niepewność, a Karel poczuł raczej coś w rodzaju braterskiego współczucia niż pożądania. W końcu powiedział sobie, że szkoda każdej okazji. – To wspaniale – dodał jej otuchy – kiedy spotyka się dwoje łowców.

Były to pierwsze słowa, które wreszcie przerwały skwapliwe wyznania dziewczyny, i Ewa natychmiast poczuła się pewniej, jakby z niej spadł ciężar sytuacji, której bohaterko sama stawiała czoło niemal przez piętnaście minut.

Powiedział, że wspaniale wygląda na zdjęciu, które mu wysłała i spytał (prowokującym głosem łowcy), czy podnieca ją, kiedy pokazuje się nago.

– Jestem ekshibicjonistką – odparła takim samym tonem, jakby informowała, że jest tenisistką.

Powiedział wtedy, że chciałby ją obejrzeć.

Uradowała się i spytała, czy ma w domu adapter.

Tak, adapter był, lecz przyjaciel miał u siebie tylko muzykę klasyczną: Bacha, Vivaldiego i opery Wagnera. Karelowi wydało się dziwne, żeby dziewczyna miała się rozbierać przy ariach Izoldy. Ewa też była niezadowolona z płyt. – Nie ma tu żadnego popu?

– Nie, nie było popu. Nie było wyjścia, w końcu musiał puścić fortepianową suitę Bacha. Usiadł w kącie pokoju, żeby mieć dobry widok.

Ewa starała się poruszać do taktu, ale po chwili stwierdziła, że przy tej muzyce nie da rady.

– Rozbieraj się i nie gadaj – krzyknął na nią surowo.

Niebiańska muzyka Bacha wypełniała pokój, a Ewa posłusznie kontynuowała kręcenie biodrami. Nietaneczność muzyki czyniła jej pracę szczególnie uciążliwą i Karelowi zdawało się, że droga od pierwszego zdjęcia sweterka do ostatniego zdjęcia majteczek musi jej się wydawać nieskończenie długa. Fortepian rozbrzmiewał w pokoju, Ewa kręciła się w tanecznych podrygach i zrzucała na ziemię poszczególne części swego stroju. Ani razu przy tym nie spojrzała na Karela. Była maksymalnie skoncentrowana na sobie i własnych ruchach jak skrzypek, który gra z pamięci szczególnie trudną kompozycję i nie może się wytrącić ze skupienia, spoglądając na publiczność. Kiedy była zupełnie naga, odwróciła się, oparła o ścianę i wsunęła rękę między nogi. Karel też błyskawicznie zdjął ubranie i obserwował z zachwytem drżące plecy onanizującej się dziewczyny. To było wspaniale, nic więc dziwnego, że od tej poty Karel nie dał powiedzieć na Ewę złego słowa.

Poza tym była jedyną kobietą, której nie irytowała miłość Karela do Markety. – Twoja żona powinna zrozumieć, że ją kochasz, ale że jesteś łowcą i że to polowanie nie jest dla niej groźne. Tylko że tego żadna kobieta nie zrozumie. Nie, żadna kobieta nie zrozumie mężczyzny – dodała smutno, jakby sama była tym nie zrozumianym mężczyzną.

Potem zaproponowała Karelowi, że zrobi wszystko, by mu pomóc.

6

Pokój wnuka, do którego odeszła mama, był oddalony zaledwie o sześć metrów i odizolowany dwiema cienkimi ścianami. Cień mamy był stale obecny i Marketa czuła się przygnębiona.

Na szczęście Ewa była rozmowna. Od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni, zdarzyło się wiele nowości: przeprowadziła się do innego miasta, a przede wszystkim – wyszła za mąż za mądrego starszego pana, który w niej znalazł niezastąpioną przyjaciółkę, albowiem, jak wiemy, Ewa posiada wielki dar zawierania przyjaźni, podczas gdy nie uznaje miłości z jej histerią i egoizmem.

Zmieniła też pracę. Nieźle zarabia, ale musi się napracować. Jutro też tam powinna być rano.

– Co takiego? To kiedy chcesz jechać? – przestraszyła się Marketa.

– O piątej rano mam ekspres.

– O Boże, Ewo, więc musisz wstać o czwartej! To straszne! – i odczuła w tej chwili może nie złość, ale jakąś gorycz, że matka Karela u nich została. Przecież Ewa mieszka daleko, ma mało czasu, a mimo to przeznaczyła tę niedzielę dla Markety, która nie może się jej poświęcić tak, jak sobie to wyobrażała, bo cień matki Karela stale się tu płacze.

Marketa wpadła w zły humor, a ponieważ jedna przykrość zwabia zaraz następną, zadzwonił telefon. Karel podniósł słuchawkę. Jego głos był niepewny, odpowiedzi podejrzanie lakoniczne i wieloznaczne. Markecie wydawało się, że specjalnie dobiera słowa, aby ukryć sens zdań. Była przekonana, że z jakąś kobietą umawia się na spotkanie.

– Kto to był? – spytała. Karel odpowiedział, że koleżanka z sąsiedniego miasta, która ma w przyszłym tygodniu przyjechać i chciałaby z nim przedyskutować jakieś sprawy. Od tej chwili Marketa nie odezwała się ani słowem.

Czy była tak bardzo zazdrosna?

Przed laty, w pierwszym etapie ich związku, niewątpliwie tak. Ale lata mijały i to, co dziś przeżywała jako zazdrość, było tylko zwykłym przyzwyczajeniem.

Powiedzmy to jeszcze inaczej: Każdy związek miłosny opiera się na niepisanych zasadach, które kochankowie nieopatrznie ustanawiają w czasie pierwszych tygodni miłości. Działają jeszcze jakby we śnie, lecz jednocześnie – nie zdając sobie z tego sprawy – jak nieubłagani adwokaci spisują szczegółowe warunki umowy. O kochankowie, bądźcie ostrożni w czasie tych pierwszych niebezpiecznych dni! Jeśli będziecie podawać temu drugiemu śniadanie do łóżka, trzeba to będzie robić zawsze, jeśli nie chcecie później zostać posądzeni o brak miłości i zdradę!

W związku Karela i Markety już w czasie pierwszych tygodni zostało zdecydowane, że Karel będzie Marketę zdradzał, a ona się z tym pogodzi, ale jednocześnie Marketa będzie miała prawo czuć się lepszą, a Karel zacznie czuć się wobec niej winny. Nikt nie wiedział lepiej od Markety, jak smutno jest być tym lepszym. Została lepszą tylko dlatego, że nie pozostało jej nic lepszego do wyboru.

Marketa w głębi duszy wiedziała, że sama w sobie ta rozmowa telefoniczna jest bez znaczenia. Lecz nie chodziło tu o to, czym *była*, ale co *wyrażała*. W wymownym skrócie zawierała całą sytuację jej życia: robi wszystko tylko dla Karela. Troszczy się o jego matkę. Zapoznaje go ze swą najlepszą przyjaciółką. Oddaje mu ją. Tylko dla niego i jego przyjemności. I po co to wszystko robi? Po co się stara? Po co jak Syzyf wtacza pod górę ten kamień? Żeby nie wiem co robiła, Karel i tak duchem jest gdzie indziej. Umawia się na spotkanie z inną kobietą i stale jej ucieka.

Kiedy chodziła do gimnazjum, była nie do poskromienia, rozbrykana i wręcz za bardzo pełna życia. Stary profesor matematyki lubił się z nią przekomarzać: – Ciebie, Marketo, nikt nie upilnuje! Z góry współczuję twojemu mężowi! – Ona śmiała się z dumą, słowa te brzmiały bowiem jak szczęśliwa wróżba. A potem nagle, sama nie wie w jaki sposób, przypadła jej zupełnie inna rola, wbrew oczekiwaniom, wbrew jej woli i chęci. I wszystko przez to, że nie była ostrożna w czasie tego tygodnia, gdy nieświadomie spisywali umowę.

Już nie ma ochoty stale być tą lepszą. Lata małżeństwa spadły na nią jak ciężki worek.

7

Marketa stawiała się coraz bardziej zgorzkniała, a na twarzy Karela pojawiła się złość. Ewa wpadła w panikę. Czuła się odpowiedzialna za ich szczęście małżeńskie i starała się zwiększoną gadatliwością rozproszyć chmury, które wypełniły pokój.

Było to jednak ponad jej siły. Karel, zirytowany tak oczywistą niesprawiedliwością, milczał jak zaklęty. Marketa nie potrafiła zapanować nad swym rozgoryczeniem ani znieść gniewu męża, wstała więc i wyszła do kuchni.

Ewa tymczasem starała się przekonać Karela, żeby nie psuł wieczoru, z którego się wszyscy tak bardzo cieszyli. Lecz Karel był nieprzejednany: – Kiedyś przychodzi chwila, że człowiek już nie może dalej. Ja jestem tym zmęczony! Stale o coś mnie oskarża. Już nie mam ochoty wciąż czuć się winny! Przez taką głupotę! Taką bzdurę! Nic, nic. Już nie mogę na nią patrzeć. W ogóle nie mogę na nią patrzeć. – Powtarzał w kółko to samo i wcale nie chciał słyszeć próśb Ewy.

Zostawiła go więc samego i poszła do Markety, która tkwiła w kuchni i wiedziała, że stało się coś, co nie powinno się stać. Ewa tłumaczyła, że ten telefon wcale nie uzasadnia jej podejrzeń. Marketa w głębi duszy wiedziała, że tym razem nie ma racji, lecz odpowiadała: – Ale ja już dłużej nie mogę. Jest stale to samo. Rok za rokiem, miesiąc za miesiącem, stale tylko nowe baby i nowe kłamstwa. Ja już jestem zmęczona. Zmęczona. Już nie mam ochoty.

Ewa zrozumiała, że z obojgiem małżonków jest równie trudna rozmowa. Doszła do wniosku, że ten niejasny zamiar, z którym tu przyjechała i o którego słuszności nie była całkiem przekonana, jest odpowiedni. Jeśli ma im pomóc, nie może się bać samodzielnego działania. Ci dwoje kochają się, lecz potrzebują, by ktoś zdjął z nich brzemień, jakie niosą. Żeby ich oswobodził. Dlatego plan, który tu przywiozła, nie leży tylko w jej własnym interesie (tak, to oczywiste, że leżał przede wszystkim w jej interesie i tym właśnie trochę się martwiła, bo względem przyjaciół nie chciała postępować jak egoistka), lecz również w interesie Markety i Karela.

– Co mam robić? – spytała Marketa.

- Idź do niego. Powiedz, żeby się nie gniewał.
- Ale ja na niego nie mogę patrzeć. W ogóle nie mogę na niego patrzeć.
- To spuść wzrok. Będzie tym lepszy efekt.

8

Wieczór jest uratowany. Marketa uroczyście wyciąga butelkę i podaje ją Karelowi, żeby jak starter na olimpiadzie rozpoczął ostatni bieg. Wino leje się do trzech kieliszków, a Ewa tanecznym krokiem podchodzi do gramofonu, nastawia płytę i przy dźwiękach muzyki (tym razem nie jest to Bach, lecz Ellington) nadal krąży po pokoju.

– Myślisz, że mama już śpi? – pyta Marketa.

– Może lepiej byłoby pójść powiedzieć jej dobranoc – radzi Karel.

– Jak pójdziesz jej powiedzieć dobranoc, to znów się rozgada i następną godzinę mamy z głowy. Wiesz, że Ewa wcześniej rano wstaje!

Markecie wydaje się, że dziś i tak stracili za dużo czasu. Bierze przyjaciółkę za rękę i zamiast do mamy wychodzi do łazienki.

Karel zostaje w pokoju tylko z muzyką Ellingtona. Cieszy się, że chmura sprzeczki rozplynęła się, lecz wieczór nie sprawia mu radości. Ta mała przygoda z telefonem uświadomiła mu to, do czego nie chciał się przyznać: jest zmęczony i niczego mu się nie chce.

Już przed wielu laty Marketa zmusiła go, by kochał się wspólnie z nią i z jego kochanką, o którą ona była zazdrosna. Wtedy po tej propozycji aż zakręciło mu się z podniecenia w głowie! Lecz wieczór ten nie dał mu zbyt wielkiej przyjemności. Wręcz odwrotnie, było to dość męczące! Dwie kobiety całowały się i obejmowały przed jego oczami, ale ani na chwilę nie przestały być rywalkami skrupulatnie obserwującymi, której z nich bardziej się poświęca i dla której jest czulszy. Odmierzał ostrożnie każde słowo, ważył każde dotknięcie i był bardziej dyplomatą niż kochankiem, trwożliwie oględnym, czujnym, grzecznym i sprawiedliwym. A i tak mu się nie udało. W pewnej chwili w trakcie zabawy rozplakała się kochanka, później zaś Marketa popadła w głębokie milczenie.

Gdyby mógł uwierzyć, że Marketa domagała się ich małych orgii z czystej zmysłowości – jako ta gorsza z nich dwojga – z pewnością by się z tego cieszył. Lecz ponieważ już od początku zostało ustalone, że tym gorszym jest on, widział w jej rozwiązłości jedynie bolesne samozaparcie, szlachetne pragnienie zaspokojenia jego skłonności poligamicznych i przemienienie ich w składnik szczęścia małżeńskiego. Jest na zawsze napiętnowany spojrzeniem na ranę jej zazdrości, którą rozdrapał w początkach ich związku. Kiedy widział, jak całuje się z inną kobietą, miał ochotę klęknąć i błagać ją o przebaczenie.

Ale czyż rozpustne zabawy mogą być pokutą?

Kiedyś więc wpadł na pomysł, że jeśli zabawy we troje mają być wesołe, nie może mieć Marketa poczucia, że spotyka swą rywalkę. Musi przyprowadzić swoją własną przyjaciółkę, która nie zna Karela i nie jest nim zainteresowana. Dlatego właśnie wymyślił to chytre spotkanie Markety i Ewy w saunie. Plan się udał: obie kobiety stały się przyjaciółkami, sojuszniczkami, spiskownicami, które go gwałciły, figlowały z nim, bawiły się jego kosztem i wspólnie go pożądały. Karel miał nadzieję, że Ewie uda się wybić Markecie z głowy ból miłości i on stanie się w ten sposób wolny i niewinny.

Teraz jednak dochodzi do wniosku, że tego, co przed laty ustalono, nie da się w żaden sposób zmienić. Marketa jest wciąż taka sama, a on nadal pozostaje oskarżonym.

Po co więc w ogóle poznawał Ewę z Marketą? Po co się z nimi kochał? Każdy inny uczyniłby już z Markety kobietę wesołą, zmysłową i szczęśliwą. Każdy z wyjątkiem Karela. Czuł się jak Syzyf.

Jak Syzyf? Czy to nie do niego przed chwilą porównywała się Marketa?

Właśnie, przez tyle lat obydwójce stali się bliźniakami; mieli ten sam słownik, te same wyobrażenia i identyczny los. Oboje temu drugiemu podarowali Ewę, aby uczynić go szczęśliwym. Obojgu zdawało się, że pchają kamień pod górę. Oboje są zmęczeni.

Karel usłyszał plusk wody z łazienki i śmiechy obu kobiet. Pomyślał w tym momencie, że nigdy nie był w stanie żyć tak, jak chciał, mieć takie kobiety, jakie chciał, i posiadać je w taki sposób, w jaki chciał. Miał ochotę uciec dokądś, gdzie mógłby sam stworzyć własny los, po swojemu i bez spojrzenia kochających oczu.

A właściwie nawet nie zależało mu, by tworzyć jakiś los; pragnął po prostu być sam.

Nie było to rozsądne, że Marketa, zbyt wtedy niecierpliwa i pozbawiona przenikliwości, nie chciała iść powiedzieć mamie dobranoc, będąc przekonana, że ona śpi. Myśli mamy w czasie pobytu u syna nabrały większej ruchliwości, a dziś wieczorem szczególnie nie mogły się uspokoić. Przyczyną była ta sympatyczna krewna, która stale mamie przypominała kogoś z jej młodości. Kto to mógł być?

Wreszcie na to wpadła: Nora! Oczywiście, prawie identyczna figura, te same ruchy ciała, poruszającego się po świecie na wspaniałych, długich nogach.

Norze brakowało uprzejmości i skromności, a mama często była dotknięta jej zachowaniem. Teraz jednak o tym nie myśli. Ważniejsze dla niej, że tu niespodziewanie znalazła część swej młodości, pozdrowienie sprzed półwiecza. Cieszy się, że wszystko, co przeżyła, jest stale przy niej, otacza ją w jej samotności i mówi do niej. Chociaż nigdy nie lubiła Nory, teraz cieszy się, że ją tu spotkała, na dodatek zupełnie przemienioną, wcieloną w kogoś, kto wobec niej jest miły i uprzejmy.

Kiedy tylko na to wpadła, chciała natychmiast do nich biec. Ale powstrzymała się. Wiedziała doskonale, że jest tutaj tylko dzięki fortelowi, a ci dwoje wygodnicy chcieli być ze swą krewną sami. Niech więc sobie opowiadają własne tajemnice. Ona tu w pokoju wnuka wcale się nie nudzi. Ma robotkę, ma coś do czytania, a przede wszystkim ma o czym myśleć. Karel zabił jej ćwieka. Tak, miał całkowitą rację, oczywiście, że zdawała maturę jeszcze podczas wojny. Poplątało jej się. Ta historia z recytacją i zapomnianą ostatnią zwrotką zdarzyła się co najmniej pięć lat wcześniej. Pan dyrektor rzeczywiście dobijał się do drzwi ubikacji, gdzie zamknęła się płacząc. Tylko, że miała wtedy najwyżej trzynaście lat i działo się to na szkolnej uroczystości przed Bożym Narodzeniem. Na scenie stała przystrojona choinka, dzieci śpiewały kolędy, a potem ona deklamowała wierszyk. Przed ostatnią zwrotką zrobiło jej się pusto w głowie i nie wiedziała, jak dalej.

Mama wstydzi się za swoją pamięć. Co Karelowi powiedzieć? Przyznać, że jej się pomyliło? I tak o niej myśli, że już jest staruszką. Są dla niej mili, to prawda, ale mama zauważyła, że traktują ją jak dziecko, z jakąś wyrozumiałością, która jej się nie podoba. Gdyby teraz przyznała Karelowi absolutną rację i powiedziała, że pomyliła dziecięcą uroczystość bożonarodzeniową ze zgromadzeniem politycznym, to on znów urósłby o kilka centymetrów, a ona poczułaby się jeszcze mniejsza. Nie, nie; nie sprawi im tej przyjemności.

Powie im, że ona rzeczywiście występowała na tej uroczystej imprezie po wojnie. Była już wprawdzie po maturze, ale dyrektor pamiętał ją jako najlepszą recytatorkę, więc poprosił swą byłą uczennicę, żeby przyszła powiedzieć wiersz. To dla niej wielkie wyróżnienie! Ale mama na nie zasłużyła! Była patriotką! Oni nawet nie mają pojęcia, jak to było, kiedy po wojnie rozpadły się Austro-Węgry! Jaka radość i euforia! Ile pieśni i sztandarów! Znów miała ochotę pobiec do syna i synowej, aby opowiadać im o świecie swej młodości.

Czuła się zresztą niemal w obowiązku iść do nich. Wprawdzie obiecała, że nie będzie przeszkadzała, ale to tylko połowa prawdy. Drugą połową jest fakt, że Karel nie rozumiał, jak mogła po maturze deklamować wiersz na uroczystości w gimnazjum. Mama jest starszą panią i pamięć już jej tak nie służy, nie potrafiła więc tego od razu synowi wytłumaczyć. Teraz jednak przypomniała sobie wreszcie, jak to było, nie może więc udawać, że zapomniała o pytaniu syna. Byłoby to niegrzeczne. Pójdzie do nich (i tak na pewno nie rozmawiają o niczym ważnym) i przeprosi, że przeszkadza: nie, nie chce im zawracać głowy i na pewno już by nie przychodziła, gdyby Karel nie pytał, w jaki sposób mogła występować na gimnazjalnej uroczystości, skoro już była po maturze.

Potem usłyszała, że ktoś otwiera i zamyka drzwi. Przycisnęła ucho do ściany. Słyszała dwa kobiece głosy i nowe trzaśnięcie drzwiami. Później śmiech i plusk cieknącej wody. Pomyślała sobie, że obie dziewczyny szykują się już do spania. Jest więc najwyższy czas, jeśli ma z nimi jeszcze chwilę pogadać.

10

Pojawienie się mamy, to była ręka, którą podał Karelowi z uśmiechem wesoły Bóg. Im przyszła w gorszym momencie, tym bardziej mu to odpowiadało. Nie musiała się wcale usprawiedliwiać. Karel od razu zasypał ją serdecznymi pytaniami, co robiła przez całe popołudnie, czy nie było jej smutno i czemu do nich nie przyszła.

Mama tłumaczyła mu, że młodzi ludzie zawsze mają swoje sprawy, a starsza osoba powinna o tym wiedzieć i nie przeszkadzać.

Ale już było słychać, jak do drzwi zbliżają się obie rozszczebiotane dziewczyny. Pierwsza pojawiła się Ewa, ubrana w granatową koszulkę sięgającą dokładnie do miejsca, gdzie kończyło się przyrodzenie. Kiedy zobaczyła mamę, przestraszyła się, ale już nie mogła się cofnąć; musiała się do niej uśmiechać i iść dalej przez pokój w kierunku fotela, w którym chciała jak najszybciej schować swą niezbyt dobrze okrytą nagość.

Karel wiedział, że zaraz za nią idzie Marketa, i przeczuwał, że jest ubrana w strój wieczorowy, co w ich wspólnym języku oznaczało korale wokół szyi i czerwoną aksamitną wstążkę wokół pasa. Wiedział, że powinien coś zrobić, zapobiec jej wejściu i uchronić w ten sposób mamę od szoku. Ale co miał zrobić? Czy miał krzyknąć: *nie wchodź tutaj?* Albo: *ubierz się, jest tu mama?* Może zresztą dałoby się wymyślić lepszy sposób zatrzymania Markety, lecz Karel miał do zastanowienia się jedną lub dwie sekundy, a przez ten czas kompletnie nic nie przyszło mu do głowy. Co więcej, opanowała go jakaś euforyczna obojętność, która pozbawiła go przytomności umysłu. Nie zrobił więc nic i Marketa stanęła na progu pokoju. Była rzeczywiście goła, tylko w koralach i wstążce wokół pasa.

Dokładnie w tym samym momencie mama spojrzała na Ewę i powiedziała z bardzo miłym uśmiechem: – Na pewno chcecie już spać, a ja wam tu zawracam głowę. – Ewa, która kątem oka widziała Marketę, zaprzeczyła; powiedziała to niemal krzyżąc, jakby chciała swoim głosem zakryć ciało przyjaciółki. Ta wreszcie zorientowała się w sytuacji i cofnęła się do przedpokoju.

Kiedy po chwili wróciła ubrana w długi szlafrok, mama znów powtórzyła to, co powiedziała przed chwilą do Ewy: – Marketo, zawracam wam tu głowę, a wy pewnie już chcecie się położyć.

Marketa już, już miała jej przytaknąć, ale Karel wesoło pokręcił głową: – Ależ skąd, mamu, bardzo się cieszymy, że jesteś tu z nami. – I w ten sposób mama wreszcie mogła im opowiedzieć, jak to było z jej występem na uroczystej manifestacji po pierwszej wojnie światowej, kiedy rozpadły się Austro-Węgry i pan dyrektor zaprosił byłą uczennicę gimnazjum, żeby przyszła zadeklamować wiersz patriotyczny.

Obie młode kobiety nie wiedziały, o czym mama mówi, ale Karel słuchał jej z zaciekawieniem. Trzeba jednak uprecyzjnić to stwierdzenie. Otóż sama historyjka o zapomnianej zwrotce niezbyt go interesowała: słyszał ją wielokrotnie i tyle samo razy zapominał. To, co go zafascynowało, nie było historyjką opowiadaną przez mamę, ale mama opowiadająca historyjkę. Mama i jej świat, podobny do wielkiej gruszki, na której jak biedronka przycupnął rosyjski czołg. Drzwi ubikacji, w które wali poczciwa pięść pana dyrektora, znalazły się na pierwszym planie i nie było zza nich w ogóle widać pożądlivej niecierpliwości dwóch młodych kobiet.

Karelowi bardzo się to podobało. Spojrzał z zadowoleniem na Ewę i Marketę. Ich nagość z irytacją czaiła się pod koszulką i szlafrokiem. Z tym większą ochotą zadawał Karel coraz to nowe pytania: na temat pana dyrektora, gimnazjum, pierwszej wojny światowej, a na koniec poprosił mamę, żeby powiedziała im ten patriotyczny wiersz, z którego zapomniała ostatnią zwrotkę.

Mama zamyśliła się, a potem bardzo skupiona zaczęła recytować wiersz, który wygłaszała na uroczystości szkolnej, kiedy miała trzynaście lat. Nie był to więc wiersz patriotyczny, lecz strofki o bożonarodzeniowej choince i Gwieździe Betlejemskiej, ale wady tej nikt nie zauważył, nawet ona sama. Myślała tylko o tym, czy przypomni sobie ostatnią zwrotkę. I pamiętała ją. Gwiazda Betlejemska świeciła, a Trzej Królowie doszli do żłóbka. Mama była upojona tym sukcesem, śmiała się i z niedowierzaniem kręciła głową.

Ewa zaczęła bić brawo. Kiedy mama spojrzała na nią, przypomniała sobie nagle to najważniejsze, co chciała im powiedzieć:

– Wiesz, Karel, kogo mi przypomina wasza kuzynka! Norę!

11

Karel spojrzął na Ewę i nie mógł uwierzyć, że dobrze słyszy:

– Norę? Panią Norę?

Pamiętał doskonale z czasów dzieciństwa przyjaciółkę mamy. Była to olśniewająco piękna kobieta, wysoka, o wspaniałej, władczej twarzy. Karel jej nie lubił, bo była zbyt dumna i nieprzystępna, lecz jednocześnie nigdy nie potrafił oderwać od niej wzroku. Jakież może być podobieństwo między nią a wesołą Ewą?

– Tak – kontynuowała mama – Nora! Tylko jej się przypatrz! Ta wysoka sylwetka! Ten sam sposób chodzenia! I twarz!

– Ewo, wstań – powiedział Karel.

Ewa bała się wstać, bo nie była pewna, czy krótka koszulka w dostateczny sposób zakrywa jej przyrodzenie. Lecz Karel tak bardzo nalegał, że ostatecznie musiała go posłuchać. Stała i rękami przyciśniętymi do ciała dyskretnie obciągała koszulę. Karel obserwował ją z napięciem i nagle istotnie wydało mu się, że jest podobna do pani Nory. Podobieństwo to było odległe, trudne do uchwycenia, pojawiało się tylko w krótkich błyskach, które natychmiast znikwały, a które Karel chciał zatrzymać, bo marzył, żeby widzieć w Ewie piękną panią Norę.

– Odwróć się tyłem – polecił jej.

Ewa nie miała ochoty się odwracać, bo myślała wciąż o tym, że pod koszulą jest całkiem naga. Karel jednak obstawał przy swoim, mimo że teraz protestowała również mama: – Przecież nie możesz pani tak ćwiczyć, jak jakiegoś rekruta!

– Nic, nie; chcę, żeby odwróciła się tyłem – upierał się Karel, więc Ewa ostatecznie musiała go usłuchać.

Nie zapominajmy, że mama bardzo źle widziała. Słupki wydawały jej się wioską, Ewa wcielała się w panią Norę. Ale wystarczyło zmrużyć oczy i Karel także mógł uznać słupki za domki. Czyż przez cały tydzień nie zazdrościł mamie perspektywy? Przymykał powieki i zamiast Ewy widział przed sobą dawną piękność.

Miał związane z nią wyjątkowe i tajne wspomnienia. Gdzieś chyba w wieku czterech lat mama i pani Nora wzięły go do jakiegoś uzdrowiska (nie ma pojęcia, gdzie to było) i kazały mu czekać w pustej szatni. Stał tam cierpliwie opuszczony, wśród damskich ubrań. Polem do pomieszczenia weszła wysoka, wspaniała, naga kobieta, odwróciła się do dziecka plecami i wyciągnęła ręce do wieszaka na ścianie, na którym wisiał jej płaszcz kąpielowy. Była to Nora.

Nigdy nie zapomniał tego napiętego nagiego ciała, widzianego z tyłu. Był wtedy mały, patrzył z dołu, z żabiej perspektywy, tak jakby dziś patrzył na pięciometrową rzeźbę. Znajdował się tuż przy niej, a jednak był niezwykle oddalony. Oddalony podwójnie. Oddalony w przestrzeni i w czasie. To ciało unosiło się wysoko nad nim, a jednocześnie dzieliła go niepokonywalna odległość lat. To podwójne oddalenie przyprawiło wtedy chłopca o zawrót głowy. Poczul je teraz znowu ze zwiększoną intensywnością.

Patrzył na Ewę (stała wciąż tyłem do niego) i widział panią Norę. Była od niego odległa o dwa metry i jedną czy dwie minuty.

– Mamo – powiedział. – Bardzo nam było miło, że przyszedłaś tu z nami pogadać. Ale dziewczyny chcą już chyba spać.

Mama skromnie i posłusznie odeszła, a on natychmiast opowiedział obu kobietom swoje wspomnienie z panią Norą. Ukucnął przed Ewą i odwrócił ją tyłem do siebie, aby mógł podążać śladami tamtego spojrzenia sprzed lat.

Zmęczenie minęło mu całkowicie. Powalił ją na ziemię. Leżała na brzuchu, on kucnął u jej pięt; ślizgał się wzrokiem po jej nogach aż do pośladków, a potem zwałił się na nią, żeby się z nią kochać.

Czuł się tak, jakby ten skok na jej ciało był skokiem przez ogromną odległość czasową, skokiem chłopczyka, który z wieku dzieciństwa rzuca się w wiek męski. Kiedy kołysał się na niej, do tyłu i do przodu, wydawało mu się, że wykonuje stale ten sam ruch od dzieciństwa do dorosłości i z powrotem; od chłopczyka, który bezradnie patrzy na wielkie ciało kobiety, do mężczyzny, który to ciało przygniata i poskramia. Ten ruch, który zazwyczaj mierzy z górą piętnaście centymetrów, posiadał długość trzydziestu lat.

Obie kobiety dostroiły się do jego dzikości, a on wkrótce przeszedł od pani Nory do Markety, potem znów do pani Nory i z powrotem. Kiedy trwało to już bardzo długo, musiał chwilę odpocząć. Czuł się wspaniale, był silny jak nigdy dotąd. Opadł na fotel i patrzył na obie kobiety leżące przed nim na szerokim tapczanie. W tej krótkiej chwili dla złapania oddechu nie widział przed sobą pani Nory, lecz dwie swoje stare przyjaciółki, świadków jego życia, Marketę i Ewę, i czuł się jak wielki szachista, który właśnie pokonał partnerów na dwóch szachownicach. To porównanie bardzo mu się spodobało i nie potrafił się opanować, żeby nie wyrazić go głośno: – Jestem Bobby Fischer! Jestem Bobby Fischer! – krzyczał ze śmiechem.

12

Podczas gdy Karel wykrzykiwał, że czuje się jak Bobby Fischer (który mniej więcej w tym czasie wygrał szachowe mistrzostwa świata w Islandii), Ewa i Marketa leżały do siebie przytulone na tapczanie. Ewa szepnęła swej przyjaciółce do ucha: – Zgoda?

Marketa odpowiedziała, że zgoda i wessała się w jej wargi.

Kiedy przed godziną były same w łazience, Ewa poprosiła ją, żeby czasami w rewanżu ona przyjechała do niej w odwiedzin. Zaprosiłaby ją chętnie z Karelem, ale Karel i mąż Ewy są zazdrośni i nie zniosą obecności innego mężczyzny.

Markecie w pierwszej chwili wydało się niemożliwe wyrażenie zgody, więc nic nie odpowiedziała, tylko śmiała się. Gdy w kilka minut później siedziała w pokoju, a wokół królowała gadanina matki Karela, propozycja Ewy, która początkowo wydała się jej nie do przyjęcia, teraz obsesyjnie powracała. Widmo męża Ewy unosiło się wśród nich.

Kiedy jednak później Karel wykrzykiwał, że jest czteroletnim chłopcem, kucał i oglądał od spodu stojącą przed nim Ewę, Markecie zdawało się, jakby naprawdę stał się czterolatkiem, jakby uciekł przed nią do swego dzieciństwa, a one dwie zostały tu same z jego niezwykle sprawnym ciałem, tak mechanicznie przydatnym, że wydawało się wręcz bezosobowym, pustym, w które można tchnąć jakąkolwiek duszę. Choćby i duszę męża Ewy, tego doskonale nieznanego mężczyzny bez twarzy i bez formy.

Marketa poddawała się temu mechanicznemu ciału mężczyzny, potem patrzyła, jak to ciało wciska się pomiędzy nogi Ewy, ale starała się nie widzieć twarzy, aby mogła myśleć, że jest to ciało nieznanego. To był bal maskowy. Karel nałożył Ewie maskę Nory, sobie maskę dziecka, a Marketa oddzieliła mu głowę od ciała. Został korpus mężczyzny bez głowy. Karel zniknął i stał się cud: Marketa była wolna i wesoła!

Czyżby w ten sposób potwierdzały się podejrzenia Karela, że ich małe domowe orgie były aż do tej pory dla Markety tylko przejawem samozaparcia i przyczyną zmartwień?

Nie, to by było zbyt duże uproszczenie. Marketa naprawdę, ciałem i zmysłami, pożądała kobiet, które uważała za kochanki Karela. Pragnęła ich także w myślach: posłuszna przepowiedni starego profesora matematyki, chciała choć w ramach nieszczęsnej umowy być swawolna, pełna inicjatywy i zaskakiwać Karela.

Kiedy jednak naga znalazła się wśród nich na szerokim tapczanie, zmysłowe fantazje ulatniały się z jej głowy, a każde spojrzenie na męża wtłaczało ją na powrót do roli tej, która jest lepsza i której wyrządza się krzywdę. Nawet kiedy była z Ewą, którą lubiła i nie była o nią zazdrosna, to jednak obecność zbyt kochanego mężczyzny ciążyła jej i tłumiła zmysłowe rozkosze.

W chwili kiedy pozbawiła jego ciało głowy, poczuła nieznaną i upojną muśnięcie wolności. Anonimowość ciał to był ten nagle odnaleziony raj. Z zadziwiającą radością wyganiała z siebie swoją zranioną i zbyt czujną duszę, stając się czystym ciałem: bez przeszłości i bez pamięci, lecz za to tym bardziej wrażliwym i spragnionym. Delikatnie głaskała twarz Ewy, podczas gdy ciało bez głowy podrygiwało na niej szaleńczo.

Potem nagle bezgłowe ciało zaprzestało ruchów i głosem, który jej nieprzyjemnie przypominał Karela, wypowiedziało idiotyczne zdanie: – Jestem Bobby Fischer! Jestem Bobby Fischer!

Było to tak, jakby budzik obudził ją ze snu. I właśnie w tej chwili przytuliła się do Ewy (jak rozbudzony śpioch tuli się do poduszki, aby się schować przed mętnym światłem dnia), Ewa spytała: *zgoda?* ona przytaknęła i przyssała się do niej. Zawsze ją lubiła, lecz dziś pokochała ją wszystkimi zmysłami, dla niej samej, dla jej ciała i skóry, i była upojona tą cielesną miłością jak nagłym objawieniem.

Leżały potem na brzuchach obok siebie, z lekko uniesionymi pośladkami, a Marketa czuła na swej skórze, że to niesłychanie sprawne ciało już w nich utkwilo wzrok i za chwilę znów zacznie się z nimi kochać. Starła się nie słyszeć głosu, który twierdził, że widzi piękną panią Nore, starała się być tylko niesłyszącym ciałem, które tuli się do słodkiej przyjaciółki i do pewnego mężczyzny bez głowy.

Kiedy już się wszystko skończyło, Ewa w ciągu sekundy usnęła. Marketa zazdrości jej tej animalnej zdolności, chce ją wdychać z jej ust, zasnąć w rytm jej oddechu. Przytuliła się do niej i zamknęła oczy, żeby wyprowadzić w pole Karela; ten, przekonany, że obie usnęły, poszedł położyć się do sąsiedniego pokoju.

Rano o wpół do piątej otworzyła drzwi do jego sypialni. Spojrzyła na nią zaspany.

– Spij, sama się zajmę Ewą – powiedziała i pocałowała go czule. Przewrócił się na drugi bok i już spał.

W samochodzie Ewa znów spytała: – Więc zgoda?

Marketa nie była już tak pewna jak wczoraj. Tak, chciałaby naruszyć te stare, niepisane umowy. Chciałaby przestać być tą lepszą. Ale jak to zrobić, żeby nie zniszczyć ich uczucia? Jak to zrobić, skoro tak bardzo kocha Karela?

– Nie bój się powiedziała Ewa – on na to nigdy nie wpadnie. U was wszystko jest ustalone raz na zawsze i to ty jesteś osobą, która podejrzewa, a nie on. Nie musisz się w ogóle bać, żeby coś takiego mu przyszło do głowy.

13

Ewa podsypia w kiwającym się przedziale, Marketa wróciła z dworca i znów śpi (za godzinę musi wstać i szykować się do pracy), teraz więc kolej na Karela, żeby odprowadzić mamę do pociągu. Ranek ten stoi pod znakiem pociągów. Za następne kilka godzin (obydwoje małżonkowie będą już wtedy w pracy) wysiądzie z pociągu ich syn, żeby postawić definitywną kropkę w tej historii.

Karel wciąż jeszcze przeżywa piękno nocy. Wie doskonale, że z dwóch czy trzech tysięcy spotkań miłosnych (właściwie, ile razy się w życiu kochał?) w pamięci zostają tylko dwa, trzy ważne i niezapomniane, reszta zaś to jedynie powroty, imitacje, powtórzenia i wspomnienia. Wie także, że wczorajszy wieczór należy właśnie do tych dwóch, trzech wielkich, i jest z tego powodu przepiękny jakąś szczególną wdzięcznością.

Wiezie mamę samochodem na dworzec, a ona przez całą drogę mówi.

Co mówi?

Przede wszystkim mu dziękuje: Czuła się u syna i synowej bardzo dobrze.

Po drugie, robi mu wymówki: Wyrządzili jej wiele przykrości. Kiedy jeszcze mieszkał z Marketa u niej, zachowywał się wobec matki opryskliwie, a czasem wręcz ordynarnie, i ona z tego powodu bardzo się martwiła. To prawda, przynajmniej, że tym razem byli wobec niej wyjątkowo serdeczni, inni niż dawniej. Cieszy się, że się zmienili. Ale dlaczego musieli się zmienić tak późno?

Karel słucha długiej litanii zarzutów (zna je już na pamięć), lecz nie jest ani trochę poirytowany. Obserwuje matkę kątem oka i znów jest zaskoczony, jaka jest malutka. Jakby całe życie było procesem nieustannego zmniejszania się.

Ale cóż to właściwie jest za zmniejszanie?

Czy jest to rzeczywiście zmniejszanie się człowieka, który porzuca swe dorosłe wymiary i poprzez starość i śmierć podejmuje długą wyprawę do tych tajemniczych dali, gdzie staje się już tylko nicością bez wymiarów?

Czy też zmniejszanie to jest złudzeniem optycznym powodowanym przez fakt, że mama się oddala, że jest gdzieś indziej niż on, że w ten sposób widzi ją z wielkiej odległości, z której wygląda jak owieczka, latka, jak motyl?

Kiedy mama na chwilę przerwała swą litanie wyrzutów, Karel spytał: – Co właściwie się dzieje z panią Norą?

– Wiesz, to już staruszka. Prawie całkiem ślepa.

– Spotykacie się czasem?

– Jak to? Czyżbyś nie wiedział? – powiedziała mama z urazą w głosie. Obie kobiety już dawno się rozstały, obrażone, skłócone i nigdy sobie nie wybaczą. Karel powinien o tym pamiętać.

– A nie wiesz, gdzie myśmy byli z nią na wakacjach, kiedy byłem małym chłopcem?

– Jakżebym miała nie wiedzieć – odparła mama i wymieniła nazwę jednego z czeskich uzdrowisk. Karel dobrze je znał, ale nigdy nie wiedział, że właśnie tam znajdowała się szatnia, w której widział nagą panią Norę.

Miał przed oczami łagodne pagórki w okolicach tego uzdrowiska, łąki, na których dzwoniąc dzwoneczkami pasły się owce i drewnianą kolumnadę o rzeźbionych słupach. Teraz w duchu (jak twórca kolaży, który wycina fragmenty jednego obrazka i przykleja je na innym) umieścił w tym pejzażu nagą postać pani Nory, a przez głowę przeleciała mu myśl, że piękno jest iskrą, która zapala się, gdy mimo odległości lat zetkną się nagle z sobą dwa różne pokolenia. że piękno jest burzeniem chronologii i buntem wobec czasu.

Po brzegi napełniony był tym pięknem i poczuciem wdzięczności za nie. Wtem niespodziewanie powiedział: – Mamo, rozmawialiśmy z Marketa, czy nie zechciałabyś się do nas przeprowadzić. Bez żadnych kłopotów możemy wymienić mieszkanie na trochę większe.

Mama pogłaskała go po ręce: – Bardzo jesteś dobry, Karelu.

Bardzo dobry. Cieszę się, że to mówisz. Ale wiesz, mój pudełek już się tam przyzwyczaił. Mam też znajome sąsiadki.

Potem wsiadają do pociągu i Karel wybiera mamie przedział. Wszystkie wydają mu się zbyt przepiękne i niewygodne. Ostatecznie usadza ją w pierwszej klasie i biegnie po konduktora, żeby mu

dopłacić różnicę w cenie biletów. Trzymając portfel w ręku, wyciąga z niego stówę i wciska mamie do kieszeni, jakby ona była małą dziewczynką, którą wysyłają daleko w świat, a mama bierze tę stówę bez zdziwienia, naturalnie, jak uczennica przyzwyczajona, że dorośli od czasu do czasu wcisną jej jakieś pieniądze.

A potem już pociąg rusza, mama stoi w oknie, Karel na peronie i macha jej długo, długo, aż do ostatniej chwili.

Część trzecia

Aniołowie

1

Nosorożec jest sztuką Eugena Ionesco, w której wszyscy ludzie, opętani pragnieniem upodobnienia się do siebie, stopniowo zmieniają się w nosorożce. Gabriela i Michaela, dwie amerykańskie dziewczyny, z grupą zagranicznych studentów analizowały wspomnianą sztukę na wakacyjnym kursie w małym miasteczku nad Morzem Śródziemnym. Pani profesor Rafael właśnie je lubiła najbardziej z całej grupy, ponieważ stale wpatrywały się w nią z napięciem i pieczołowicie notowały każde jej słowo. Dziś zadała im, by na następne zajęcia przygotowały wspólny referat.

– Nie bardzo wiem, jak to rozumieć, że ludzie zmienili się w nosorożce – stwierdziła Gabriela.
– Musisz to traktować jako symbol – wyjaśniła Michaela.
– To prawda – odparła Gabriela – literatura składa się ze znaków.
– Nosorożec jest właśnie znakiem – oświadczyła Michaela.
– No dobrze, ale nawet jeśli przyjmujemy, że oni nie zmienili się w prawdziwe nosorożce, tylko w znak, to dlaczego stali się właśnie tym, a nie innym znakiem?
– Tak, to rzeczywiście jest problem – powiedziała smutno Michaela; obie dziewczyny wracające właśnie do internatu milczały przez dłuższą chwilę.

Pierwsza odezwała się Gabriela: – Nie sądzisz, że to może być symbol falliczny?

– Co? – spytała Michaela.
– No, ten róg – wyjaśniła Gabriela.
– Faktycznie! – Michaela ucieszyła się, lecz po chwili dodała z wahaniem: – Ale dlaczego wszyscy mieliby zmieniać się w symbol fallusa? Mężczyźni i kobiety?

Dziewczyny, zdążając w kierunku internatu znów na chwilę zamilkły.

– Coś mi przyszło do głowy – nagle wykrzyknęła Michaela.
– Co? – zaciekała się Gabriela.
– Zresztą pani Rafael też to delikatnie zasugerowała – ciągnęła dalej Michaela, trzymając w napięciu swą przyjaciółkę.
– No to powiedz wreszcie! – nie mogła doczekać się Gabriela.

– Autor chciał wywołać efekt komiczny!

Ta myśl tak bardzo zafascynowała Gabrielę, że skoncentrowana na niej przestała myśleć o wszystkim innym i zwolniła kroku. Obie dziewczyny niemal stanęły w miejscu.

– Ty sądzisz, że symbol nosorożca ma wywołać komiczne wrażenie? – spytała.

– Jasne! – Michaela uśmiechnęła się z dumą odkrywcy.

Dziewczyny patrzyły na siebie oczarowane własną odwagą, a duma unosiła kąciaki ich ust. I nagle obie wydały z siebie wysoki, krótki, modulowany dźwięk, którego nie sposób opisać słowami.

2

„Śmiech? Czy ktokolwiek jeszcze interesuje się śmiechem? Mam na myśli śmiech prawdziwy, który nie ma nic wspólnego z żartem, wyśmiewaniem się czy śmiesznością. Śmiech – niezmierny i pełna rozkosz, rozkosz czysta...”

Powiedziałam do swojej siostry albo ona do mnie: chodź, będziemy się bawić w śmiech. Położyłyśmy się obok siebie na łóżku i zaczęło się. Naturalnie najpierw było tylko udawanie. Śmiech wymuszony. Śmiech śmieszny, że musiałyśmy się śmiać. Potem przyszedł śmiech prawdziwy, śmiech pełny i porwał nas w nieprawdopodobny trans. Śmiech wybuchający, cykliczny, rozkołysany, wyzwolony, wybuchy śmiechu: wspaniałe, dumne i szalone... Śmiałyśmy się aż do nieskończoności śmiechu z naszego śmiechu... Ach, śmiech! Śmiech rozkoszny, rozkosz śmiechu; śmiać się, to znaczy żyć tak głęboko...”

Cytuję ten tekst z książki, która nosi tytuł *Głos kobiety*. Napisała ją w 1974 roku jedna z najbardziej zagorzałych feministek, które wywarły tak wielki wpływ na klimat naszych czasów. Praca ta jest mistycznym manifestem radości. Występując przeciwko męskiej żądzy erotycznej, która skazana na przemijające momenty erekcji jest w fatalny sposób związana z gwałtem, niszczeniem i upadkiem, przeciwstawia jej autorka kobiecą radość, przyjemność, rozkosz zawartą w jednym francuskim słowie *jouissance*, która jest słodka, wszechobecna i nieustająca. Dla kobiety, o ile jej osobowość nie uległa alienacji, wszystko jest przyjemnością: „jedzenie, picie, oddawanie moczu, defekacja, słuchanie, dotykanie czy po prostu bycie.” To wyliczanie rozkoszy ciągnie się przez całą książkę jak przepiękna

litania. „Jakie to szczęście żyć: widzieć i słyszeć, pić, jeść, oddawać mocz, defekować, zanurzać się w wodzie i obserwować niebo, śmiać się i płakać.” I jeśli akt miłosny jest piękny, to dlatego, że stanowi „sumę poszczególnych przyjemności: dotyku, wzroku, słuchu, mowy, węchu, ale także picia, jedzenia, wydalania, poznawania i tańczenia.” Karmienie piersią też daje radość, rodzenie też stanowi przyjemność, menstruacja też jest rozkoszą: „ten ciepławy i jakby słodki strumień krwi, ta wilgotna ślina brzucha, to tajemnicze mleko”, ten ból, który „ma palący smak szczęścia.”

Tylko głupiec mógłby się wyśmiewać z tego manifestu rozkoszy. Każda mistyka jest przesadna. Mistyk nie może bać się śmieszności, jeśli chce dojść aż do końca – do końca pokory czy do końca rozkoszy. Podobnie jak święta Teresa uśmiechała się w agonii, tak i święta Annie Leclerc (bo tak nazywa się autorka książki, którą cytuję) twierdzi, że śmierć też jest radością i że tylko mężczyzna się jej boi, bo nędznie trzyma się „swego małego ja i swej małej władzy.”

Na górze, jak sklepienie tego kościoła szczęścia, rozbrzmiewa śmiech, „ten słodki trans szczęścia, ten najwyższy szczyt rozkoszy. Śmiech rozkoszy, rozkosz śmiechu.” Nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że ten śmiech nie ma „nic wspólnego z żartem, wyśmiewaniem czy śmiesznością.” Dwie siostry na łóżku nie śmieją się z niczego konkretnego, ich śmiech nie ma przedmiotu, jest po prostu wyrazem bytu, który cieszy się, że istnieje. Podobnie jak w jęku człowiek koncentruje się na aktualnym stanie swego cierpiącego ciała (w doskonały sposób odcina się od przeszłości), tak i w tym ekstatycznym śmiechu człowiek nie wspomina ani nie planuje, lecz krzyczy do trwającej właśnie chwili świata i nie chce znać niczego poza nią.

Z pewnością znacie taką scenę z dziesiątków złych filmów: chłopak i dziewczyna, trzymając się za ręce biegną na tle wiosennej (ewentualnie letniej) przyrody. Biegną, biegną, biegną i śmieją się. Śmiech obydwójga biegnących ma oznajmić całemu światu i wszystkim widzom w kinach: jesteśmy szczęśliwi, cieszymy się ze świata, zgadzamy się z istnieniem! Scena jest głupia, kiczowata, lecz zawiera w sobie jedną z prapierwotnych sytuacji człowieka: „śmiech poważny, śmiech poza żartem.”

Wszystkie religie, wszyscy generałowie, producenci bielizny i partie polityczne zgodzą się z tym śmiechem, umieszczą obraz dwojga uśmiechniętych biegaczy na swych plakatach propagujących ich wyznanie czy ideologię, ich produkty czy ich płeć, naród czy płyn do zmywania naczyń.

Takim właśnie śmiechem śmieją się Michaela i Gabriela. Wychodzą ze sklepu papierniczego, trzymają się za ręce, a w drugiej każda z nich kołysze małą paczuszkę, zawierającą kolorowy papier, klej i gumkę.

– Pani Rafael będzie zachwycona, zobaczysz! – mówi Gabriela i wydaje jednocześnie wysoki, modulowany dźwięk. Michaela zgadza się z nią i odpowiada podobnym dźwiękiem.

3

Wkrótce potem, kiedy mój kraj w 1968 roku zajęli Rosjanie, wyrzucony zostałem (podobnie jak setki i tysiące innych Czechów) z dotychczasowej pracy i nikt nie miał prawa zatrudnić mnie gdzie indziej. Odwiedzali mnie wtedy młodzi przyjaciele, tak młodzi, że Rosjanie nie mieli ich na swoich listach proskrypcyjnych i dzięki temu mogli oni pozostać w redakcjach, szkołach czy zespołach filmowych. Ci wspaniali młodzi przyjaciele, których nigdy nie zdradzę, proponowali mi, abym pod ich nazwiskami pisał słuchowiska radiowe, sztuki teatralne czy telewizyjne, artykuły, reportaże, scenariusze filmowe, itp., żeby w ten sposób zarobić na życie. Częściowo z propozycji tych skorzystałem, lecz większość odrzuciłem, ponieważ nie nadążyłbym robić tego wszystkiego, co mi proponowano, jak również dlatego, że było to niebezpieczne. Nie dla mnie, ale dla nich. Tajna policja chciała nas zagłodzić, wpędzić do narożnika, zmusić do kapitulacji i do publicznej samokrytyki. Dlatego pilnie obserwowała wszystkie awaryjne wyjścia, przez które uciekaliśmy z okrażeń i surowo karała ofiarodawców nazwisk.

Wśród tych wspaniałych przyjaciół była też panna R. (ponieważ wszystko się wydało, więc w jej sprawie nie muszę niczego ukrywać). Ta nieśmiała, inteligentna i delikatna dziewczyna była redaktorką ilustrowanego tygodnika dla młodzieży, który ukazywał się w olbrzymim nakładzie. Ponieważ w tym czasie pismo to musiało publikować niewiarygodne mnóstwo niestrainnych artykułów politycznych, które pełne były uwielbienia dla braterskiego narodu radzieckiego, więc redakcja zastanawiała się, w jaki sposób przyciągnąć uwagę masowego czytelnika. Wreszcie zdecydowano, by wyjątkowo zrezygnować z czystości marksistowskiej ideologii i założyć rubrykę astrologiczną.

W okresie swego potępienia sporządziłem kilka tysięcy horoskopów. Skoro wielki Jaroslav Hašek mógł handlować psami (sprzedał wiele kradzionych, a sporo kundli przehandlował jako psy rasowe), dlaczegóż bym ja nie mógł być astrologiem? Kiedyś od paryskich przyjaciół dostałem wszystkie książki,

jakie o astrologii napisał Andre Barbault, przy którego nazwisku figuruje dumny tytuł „Vicepresident du Centre international d’astrologie”. Zmieniwszy charakter pisma na pierwszej stronie każdego tomu napisałem: *A Milan Kundera ovec admiration, Andre Barbault*. Książki z dedykacją pozostawiłem dyskretnie na wierzchu biurka, a zdumionym praskim klientom wyjaśniłem, że kiedyś w Paryżu byłem przez kilka miesięcy asystentem sławnego Barbaulta.

Kiedy R. poprosiła mnie, żebym anonimowo objął rubrykę astrologiczną w jej tygodniku, byłem naturalnie bardzo uradowany. Poleciłem, aby oświadczyła w redakcji, że autorem tekstów jest znakomity fizyk jądrowy, który nie chce, żeby koledzy się z niego wyśmiewali, i dlatego nie zdradza swego nazwiska. Wydawało mi się, że w ten sposób nasz pomysł jest podwójnie kryty: przez nieistniejącego naukowca i jego pseudonim.

Napisałem więc pod wymyślonym nazwiskiem jeden długi i piękny artykuł o astrologii, a potem co miesiąc publikowałem krótki i dość głupi tekst o poszczególnych znakach, do których sam rysowałem obrazki Byka, Barana, Panny, Ryb, itp. Zarobek był symboliczny, a cały pomysł nie był ani śmieszny, ani godny uwagi. Zabawne w tym wszystkim było tylko moje istnienie: istnienie człowieka wykreślonego z historii, ze słowników pisarzy i książek telefonicznych, a który nagle odżył w osobliwym przebraniu i setkom tysięcy socjalistycznej młodzieży głosił kazania o wielkiej prawdzie astrologii.

Pewnego dnia R. powiedziała mi, że redaktor naczelny jest bardzo zainteresowany swym astrologiem i chciałby od niego mieć swój horoskop. Zupełnie mnie to zamurowało. Wszak ten człowiek przysłany został do pisma przez Rosjan, a połowę swego życia spędził na kursach marksizmu-leninizmu w Pradze i w Moskwie!

– Trochę się wstydził, kiedy mi o tym mówił – śmiała się R.

– Nie byłoby mu przyjemnie, gdyby ktoś się dowiedział, że on wierzy w takie średniowieczne zabobony. Ale jednak strasznie go to pociąga.

– To świetnie – powiedziałem i też się cieszyłem. Znałem dobrze owego człowieka. Oprócz tego, że był szefem R., był także członkiem najwyższej partyjnej komisji kadrowej i zniszczył życie wielu moich przyjaciół.

– Chciałby zachować absolutną dyskrecję. Mam panu podać datę jego urodzenia, ale nie chciał, żeby pan wiedział, o kogo chodzi.

– Tym lepiej – ucieszyłem się.

– Powiedział, że zapłaciłby za ten horoskop nawet stówę.

– Stówę? – roześmiałem się. – Co sobie ten skąpiec myśli?

Musiał mi przysłać tysiąc koron. Opisanie jego charakteru oraz losu, przeszłości (byłem o tym dostatecznie dobrze poinformowany) i przyszłości zajęło mi bite dziesięć stron. Pracowałem nad swym dziełem przez cały tydzień, zasięgając szczegółowych rad u R. Przez horoskop można bowiem wspaniale wpływać czy wręcz kierować postępowaniem człowieka. Pewne rzeczy można polecić, przed innymi ostrzec, a wspominając dyskretnie przeszłe katastrofy można doprowadzić każdego do pokory.

Kiedy później spotkałem R., strasznie się śmieliśmy. Ona twierdziła, że po przeczytaniu horoskopu redaktor naczelny stał się lepszy. Mniej krzyczał. Zaczął się bać swej srogości, przed którą horoskop go ostrzegał, kierował się odrobiną uprzejmości, na którą było go stać, a w jego spojrzeniu, często kierowanym w pustkę, widać było smutek człowieka, który dowiedział się, że gwiazdy w przyszłości nie obiecują mu niczego poza cierpieniem.

4 (O dwóch rodzajach śmiechu)

Ci, którzy traktują diabła jako przedstawiciela Zła, a anioła jako rycerza Dobra, przejmują demagogię aniołów. Sprawa jest oczywiście bardziej skomplikowana.

Aniołowie nie są zwolennikami Dobra, lecz bożego stworzenia. Diabeł natomiast jest tym, kto neguje rozumny sens świata bożego.

Władzą nad światem, jak wiadomo, dzielą się diabły i aniołowie. Dobro świata nie wymaga jednak, by aniołowie mieli przewagę nad diabłami (jak sądziłem, będąc dzieckiem), lecz aby ich siły były mniej więcej równe. Jeśli bowiem na świecie mamy zbyt dużo niekwestionowanego sensu (władza aniołów), to człowiek upada pod jego ciężarem. Jeśli natomiast świat całkiem traci sens (władza diabłów), to także nie da się żyć.

Rzeczy pozbawione nagle oczekiwanego sensu, miejsca przydzielonego im w przypuszczalnym porządku rzeczy (marksista szkolony w Moskwie wierzy w horoskop) budzą nasz śmiech. Śmiech początkowo więc należy do diabła. Jest w nim odrobina złośliwości (rzecz okazała się inna, niż mi się

wydawało), ale także odrobina ulgi (rzecz jest lżejsza, niż oczekiwaliśmy, można z nią żyć swobodniej, nie uciska nas jej zbyt wielka powaga).

Kiedy anioł po raz pierwszy usłyszał śmiech diabła, osłupiał. Odbyło się to na jakiejś uczcie, w której uczestniczyło dużo ludzi i wszyscy oni, jeden za drugim, przyłączali się do diabelskiego śmiechu, tak bardzo był on zaraźliwy. Anioł doskonale rozumiał, że ten śmiech wymierzony jest przeciw Bogu i przeciw godności Jego dzieła. Wiedział, że musi natychmiast jakoś zareagować, lecz czuł się słaby i bezbronny. Ponieważ sam nie potrafił nic wymyślić, zaczął naśladować swego przeciwnika. Otworzył usta i wydał przerywany, modulowany dźwięk z górnych rejestrów swej skali głosu (podobny do tego, jaki wydały z siebie Gabriela i Michaela, stojąc na ulicy nadmorskiego miasteczka) i nadał mu odwrotny sens: podczas gdy śmiech diabła wskazywał na bezsensowność rzeczy, to śmiech anioła – przeciwnie – wyrażał radość z tego, że wszystko na świecie jest tak mądrze urządzone, wspaniale wymyślone, piękne, dobre i pełne sensu.

Diabeł i anioł stali więc na wprost siebie, otwierali usta i wydawali mniej więcej taki sam dźwięk, lecz każdy z nich wyrażał w nim coś innego. I diabeł patrząc na śmiejącego się anioła śmiał się coraz bardziej, głośniejsz i prawdziwiej, bo śmiejący się anioł był nieskończenie śmieszny.

Śmiech, który jest śmieszny, to klęska. Ale mimo wszystko aniołom coś się udało. Wszystkich nas okłamali semantycznym trickiem. Oryginalny śmiech diabła i anielska imitacja nazywane są tym samym słowem. Ludzie do dziś nie uświadamiają sobie, że taki sam zewnętrzny objaw kryje w sobie dwie całkowicie przeciwstawne postawy. Istnieją dwa rodzaje śmiechu, a nam brak słowa na odróżnienie jednego od drugiego.

5

Była taka fotografia w ilustrowanym tygodniku: szereg mężczyzn w uniformach, z karabinami na plecach, w hełmach z pleksiglasowymi ochroniaczami na twarz, patrzy w kierunku grupki młodych ludzi w dżinsach i trykotowych koszulkach, którzy, trzymając się za ręce, tańczą „koło” przed ich oczami.

Jest to zapewne chwila oczekiwania przed starciem z policją, która strzeże bezpieczeństwa elektrowni atomowej, poligonu wojskowego, siedziby którejś z partii politycznych czy okien jakiejś ambasady. Młodzi ludzie wykorzystali ten martwy czas, by utworzyć krąg i w takt prostej ludowej piosenki robili dwa kroki w miejscu, jeden krok do przodu, a potem wyrzucali w górę najpierw jedną, później drugą nogę.

Sądzę, że ich rozumiem: mają wrażenie, że koło, które zakreślają na ziemi, jest magicznej że połączeni są nim jak obręczką. W piersiach rozlewa im się mocne poczucie niewinności: nie łączy ich *marsz* – jak żołnierzy czy faszystowskich bojówkarzy, ale *taniec* – jak dzieci. Chcą plunąć w twarze policjantom swą niewinnością.

Tak też zobaczył ich fotograf i podkreślił ten wymowny kontrast: z jednej strony policja w *nienaturalnej* (przykazanej, wymuszonej) jedności szeregu, z drugiej strony młodzież w *naturalnej* (szczerzej, organicznej) jedności kręgu; z jednej strony policja w *ponurej* czynności czatowania, z drugiej zaś oni w *radosnej* zabawie.

Taniec w kole jest magiczny i przemawia do nas z tysiącletniej otchłani ludzkiej pamięci. Pani profesor Rafael wycięła tę fotografię z pisma i wpatrując się w nią – marzy. Ona też pragnie tańczyć w takim kole. Przez całe życie szuka kręgu ludzi, z którymi mogłaby się trzymać za ręce i tańczyć; najpierw szukała go w kościele melodystów (ojciec był mistykiem), potem w partii komunistycznej, potem w partii trockistowskiej, potem w odszczepieńczej partii trockistowskiej, potem w walce przeciw przerywaniu ciąży (dziecko ma prawo do życia!), potem w walce o przerywanie ciąży (kobieta ma prawo do swego ciała); szukała tego kręgu u marksistów, u psychoanalityków, u strukturalistów; szukała u Lenina i w buddyzmie Zen, u Mao Tse-tunga i wśród adeptów jogi, w szkole nowej powieści i w teatrze Brechta, w teatrze paniki, a wreszcie pragnęła połączyć się w jedną całość chociażby ze swymi uczniami, to znaczy, że zmuszała ich, by myśleli i mówili to samo, co myśli i mówi ona, by stanowili jedno ciało i jedną duszę, jedno koło i jeden taniec.

Jej uczennice są właśnie w domu, w pokoju studenckiego akademika. Pochylają się nad tekstem *Nosorożca* Ionesco i Michaela czyta głośno:

„Logik do starszego Pana: – Niech pan weźmie arkusz, niech pan liczy. Odejmuje się sześć łap dwu kolom, ile pozostaje każdemu?”

Starszy pan do Logika: Jest kilka możliwych rozwiązań. Jeden kot może mieć cztery łapy, a drugi – dwie. Może być kot o pięciu łapach i drugi kot – o jednej łapie. Odejmując po dwie łapy, na osiem, dwu kotom możemy mieć kota o sześciu łapach i jednego kota, który nie miałby łap.”

Michaela przerwała czytanie: – Nie rozumiem, jak można kotom odjąć nogi. Czy on chciałby je uciąć?

– Michaelo! – krzyknęła Gabriela.

– No i nie rozumiem też, w jaki sposób jeden kot mógłby mieć sześć łap!

– Michaelo! – ponownie krzyknęła Gabriela.

– Co? – spytała Michaela.

– Czyżbyś już zapomniała? Przecież sama na to wpadłaś?

– Na co? – ponownie spytała Michaela.

– Ten dialog ma z pewnością wywołać efekt komiczny!

– Masz rację – potwierdziła Michaela i uszczęśliwiona spojrzała na Gabriele. Obie dziewczyny patrzyły sobie prosto w oczy, potem duma uniosła w górę kąciki ich warg, wreszcie z ust wydobył się krótki, modulowany dźwięk z górnych rejestrów skali. Po chwili jeszcze jeden, i jeszcze jeden taki dźwięk. „Śmiech wymuszony – śmiech śmieszny. Tak śmieszny, że musiały się śmiać. Potem przyszedł śmiech prawdziwy, śmiech pełny i porwał je w nieprawdopodobny trans. Śmiech wybuchający, cykliczny, rozkołysany, wyzwolony; wybuchy śmiechu: wspaniałe, dumne i szalone... Śmiały się aż do nieskończoności śmiechu z ich śmiechu... Ach, śmiech! Śmiech rozkoszy, rozkosz śmiechu...”

Tymczasem opuszczona pani Rafael błąkała się po ulicach nadmorskiego miasteczka. Nagle uniosła głowę, jakby z daleka, na skrzydłach wiatru przyfrunął fragment urwanej melodii, albo jakby jej nos poczuł odległy zapach. Zatrzymała się i usłyszała rozbrzmiewający w duszy krzyk pustki, która buntowała się i chciała być zapełniona. Wydawało jej się, że gdzieś w pobliżu migoce płomień wielkiego śmiechu, że może gdzieś blisko jacyś ludzie trzymają się za ręce i tańczą „koło”...

Stała tak przez chwilę, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony, lecz w pewnej chwili ta tajemnicza muzyka ucichła (Michaela i Gabriela właśnie przestały się śmiać; mają teraz znudzone twarze, a przed sobą pustą noc bez miłości), więc pani Rafael, dziwnie niezadowolona i niespokojna, ruszyła do domu przez ciepłe ulice nadmorskiego miasteczka.

6

Ja także tańczyłem „koło”. Była wiosna 1948 roku, komuniści odnieśli właśnie zwycięstwo w moim kraju, socjalistyczni i chrześcijańscy ministrowie uciekli za granicę, a ja trzymałem za ręce albo za ramiona innych komunistycznych studentów, robiliśmy dwa kroki w miejscu, jeden do przodu, potem wyrzucaliśmy w górę najpierw jedną, później drugą nogę i powtarzało się to niemal co miesiąc, bo stale mieliśmy jakieś uroczystości, rocznice czy inne wydarzenia, stare krzywdy były naprawiane, a nowe wyrządzane, fabryki znacjonalizowano, tysiące ludzi szło do więzienia, opieka lekarska była za darmo, trafikantom odbierano ich trafiki, starzy robotnicy wyjeżdżali po raz pierwszy na wypoczynek do konfiskowanych willi, a my mieliśmy na twarzy uśmiech szczęścia. Potem pewnego dnia powiedziałem coś, czego mówić nie powinienem, więc wyrzucili mnie z partii, musiałem odejść z koła.

Wtedy zrozumiałem magiczne znaczenie kręgu. Jeśli oddalimy się z szeregu, to możemy zawsze łatwo do niego powrócić. Szereg jest formą otwartą. Lecz koło zamyka się i nie ma do niego powrotu. To nie przypadek, że planety poruszają się po okręgach, a kiedy oderwie się od nich kamień, siła odśrodkowa odrzuca go daleko na zewnątrz. Jak oderwany meteoryt ja leż wyleciałem z koła i lecę do dziś. Są ludzie, którym dane jest umrzeć pośród krążenia i są tacy, którzy rozbijają się padając. Ci drudzy (do których ja należę) odczuwają stale cichutką tęsknotę do zagubionego tańca w kole, bo przecież każdy z nas jest obywatelem Wszechświata, w którym wszystko krąży po okręgach.

Nadeszła znów jakaś rocznica, Bóg wie czego, i znów na praskich ulicach pojawiły się grupy młodych ludzi tańczących „koło”. Błąkałem się przy nich, stałem w pobliżu, lecz nie miałem prawa wejścia do środka. Był czerwiec 1950 roku i dzień wcześniej powieszono Miladę Horakovą. To była posłanka partii socjalistycznej, a komunistyczny sąd oskarżył ją o spisek przeciwko państwu. Razem z nią powieszono też Zavisę Kalandrę, czeskiego surrealistę, przyjaciela Andre Bretona i Paula Eluarda. A młodzi Czesi tańczyli wiedząc, że wczoraj w tym mieście huštała się na sznurze pewna kobieta i pewien surrealista; tańczyli tym bardziej zapamiętale, bo ten taniec był manifestacją ich niewinności, czystości, która jaskrawo odbijała się od czarnych przewinień dwojga wisielców, którzy zdradzili naród i jego ideały.

Andre Breton nie wierzył, że Kalandra zdradził naród i jego ideały, wezwał więc w Paryżu Eluarda (w liście otwartym z dnia 15 czerwca 1950 roku), aby ten zaprotestował przeciw absurdalnym oskarżeniom i spróbował uratować starego praskiego przyjaciela. Lecz Eluard tańczył właśnie w ogromnym kole między Paryżem, Moskwą, Warszawą, Pragę, Sofią, Grecją, między wszystkimi krajami socjalistycznymi i wszystkimi komunistycznymi partiami świata, recytując wszędzie swe piękne wiersze o radości i braterstwie. Kiedy przeczytał list Bretona zrobił dwa kroki w miejscu, jeden do przodu, pokręcił głową i odmówił wzięcia w obronę zdrajcy narodu (w piśmie „Action” z dnia 19 czerwca 1950 roku), a zamiast tego wyrecytował stalowym głosem:

*„My napelnimy niewinność
Siłą której tak długo nam
Brakowało
I już nigdy nie będziemy sami.”*

A ja błąkałem się po ulicach Pragi, wokół mnie tańczyły kręgi roześmianych Czechów, lecz wiedziałem, że nie należę do nich, tylko do Kalandry, którego leż siła odśrodkowa wyrzuciła z koła, aż znalazł się w więziennej trumnie. Ale choć nie należałem już do nich, to jednak z zazdrością i tęsknotą obserwowałem, jak tańczą, i nie mogłem od nich oderwać wzroku. I wtedy nagle tuż przed sobą zobaczyłem jego!

Był wśród nich, obejmował ich za ramiona, śpiewał z nimi dwa, trzy proste tony, a potem wyrzucał w górę najpierw jedną, później drugą nogę. Tak, to był on, pupilek Pragi, Paul Eluard! Po chwili wszyscy tańczący umilkli i poruszali się dalej w zupełnej ciszy, a on skandował w takt uderzeń ich nóg:

*„Umknijemy przed odpoczynkiem umknijemy przed snem
Wyprzedzimy świtanie i wiosnę
Zbudujemy dni i pory roku
Na miarę naszych marzeń.”*

I znowu wszyscy chórem zaśpiewali te trzy, cztery proste tony, przyspieszając krok tańca. Umykali przed odpoczynkiem i snem, wyprzedzali czas i zapełniali siłą swą niewinność. Wszyscy się uśmiechali, a Eluard pochylił się nad dziewczyną, której ramiona obejmował:

*„Kto zawierzył pokojowi
Stale się uśmiecha.”*

A ona roześmiała się i tupnęła mocniej w ziemię, aż uniosła się kilka centymetrów nad bruk i pociągnęła za sobą innych i po chwili już nikt z nich nie dotykał ziemi, robili dwa kroki w miejscu, jeden do przodu i unosili się nad placem Wacława, ich taneczny krąg podobny był do wielkiego, płynącego w powietrzu wieńca i ja biegłem po ziemi i patrzyłem w górę na nich, a oni szybowali coraz wyżej, wyrzucając nogi najpierw w jedną, potem w drugą stronę, a pod nimi ścieliła się Praga ze swymi kawiarniami pełnymi poetów i więzieniami pełnymi zdrajców narodu, a w krematorium palono właśnie pewną socjalistyczną posłankę i pewnego surrealiste, dym strzelał w niebo jak dobra wróżba, a ja słyszałem stalowy głos Eluarda:

*„Miłość zabrała się do pracy
Miłość jest niestrudzona.”*

I biegłem ulicami za tym Głosem, aby nie stracić z oczu owego cudownego wieńca ciał unoszących się nad miastem. Lecz z trwogą w sercu wiedziałem, że oni lecą jak ptaki, a ja spadam jak kamień, że oni mają skrzydła, mnie zaś na zawsze skrzydeł pozbawiono.

7

W siedemnaście lat po swej egzekucji Kalandra został całkowicie zrehabilitowany, ale kilka miesięcy później do Czech wtargnęły rosyjskie czołgi i wkrótce dziesiątki tysięcy ludzi znów oskarżono o zdradę narodu i jego ideałów, część z nich osadzono w więzieniach, większość natomiast pozbawiono pracy i po

upływie dwóch lat (a więc dokładnie dwadzieścia lat po tym, kiedy Eluard wzniósł się nad plac Wacława) jeden z takich nowych oskarżonych (ja) pisywał o astrologii w ilustrowanym tygodniku czeskiej młodzieży. Od ostatniego artykułu o Strzelcu minął następny rok (czyli był grudzień 1972), gdy niespodziewanie pewnego dnia odwiedził mnie obcy młody człowiek. W milczeniu podał mi kopertę. Rozerwałem ją i zacząłem czytać list, lecz dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że jest od R. Jej charakter pisma był bardzo zmieniony. Musiała być niezwykle zdenerwowana w chwili, gdy to pisała. Starła się formułować zdania tak, aby nikt oprócz mnie ich nie rozumiał, więc ja również rozumiałem je tylko częściowo. Zorientowałem się, że po upływie roku moje autorstwo zostało rozszyfrowane.

W tym okresie miałem praską kawalerkę przy ulicy Bartotomiejskiej. Jest to krótka, ale bardzo bardzo znana ulica. Wszystkie domy, oprócz dwóch (w jednym z nich mieszkałem), należą do policji. Kiedy wyglądałem przez swe szerokie okno na czwartym piętrze, widziałem w górze, nad dachami, wieże praskiego zamku, a w dole – policyjne podwórka. Na górze była historia sławnych królów czeskich, na dole – historia sławnych więźniów. Wszyscy się tutaj przewinęli: i Kalandra, i Horaková, i Clementis, i moi przyjaciele Šabata i Hübl.

Młody człowiek (wszystko wskazywało na to, że jest narzeczonym R.) rozglądał się bardzo niepewnie. Z pewnością sądził, że w moim mieszkaniu jest podsłuch. W milczeniu kiwnęliśmy do siebie głowami i wyszliśmy na ulicę. Przez chwilę kroczyliśmy bez słów i dopiero, gdy znaleźliśmy się na ruchliwszej alei Narodowej, powiedział mi, że R. chciałaby się ze mną spotkać i że jego przyjaciel, którego nie znam, udostępni nam swoje mieszkanie na pewnym przedmieściu Pragi.

Następnego dnia jechałem więc długo tramwajem na koniec Pragi, był grudzień, sztywniały mi ręce, a osiedle w godzinach przedpołudniowych wyglądało jak wymarłe. Zgodnie z opisem znalazłem odpowiedni dom, wjechałem windą na trzecie piętro, obejrzałem wizytówkę na drzwiach i zadzwoniłem. W mieszkaniu panowała cisza. Zadzwoniłem ponownie, lecz nikt nie otwierał. Wyszedłem więc znów na ulicę. Przez pół godziny spacerowałem na mrozie wokół domu sądząc, że R. się spóźniła i spotkam ją, gdy będzie szła pustym chodnikiem od przystanku tramwajowego. Ale nikt tamtędy nie szedł. Wjechałem więc znów windą na trzecie piętro i jeszcze raz zadzwoniłem. Po kilku sekundach usłyszałem ze środka mieszkania odgłos spuszczonej wody. W tym momencie jakby ktoś włożył we mnie lodowatą kostkę strachu. Nagle, wewnątrz własnego ciała poczułem strach tej dziewczyny, która nie była w stanie mi otworzyć, bo przerażenie wywracało jej kiszkę.

Otworzyła, była blada, lecz uśmiechała się i starała się być tak miła jak zawsze. Powiedziała kilka niezgrabnych żarcików, że wreszcie będziemy mogli być sami w pustym mieszkaniu. Usiedliśmy, a ona zaczęła opowiadać, jak niedawno dostała wezwanie na policję. Przesłuchiwali ją przez cały dzień. Przez pierwsze dwie godziny wypytywali o masę nieistotnych spraw, ona poczuła się już panią sytuacji, żartowała i beczelnie pytała, czy z powodu takich bzdur ma się spóźnić na obiad. W tej chwili padło pytanie: Droga panno R., a któż to pisze do waszego pisma artykuły o astrologii? Zacerwieniła się i próbowała mówić o słynnym fizyku atomowym, którego nazwiska nie może zdradzić. Zapytali wtedy: A czy zna pani pana Kunderę? Odparła, że mnie zna. Czyżby było w tym coś złego? Oni na to, że nie ma w tym absolutnie nic złego. Ale czy wie pani, że pan Kundera zajmuje się astrologią? Nic o tym nie wiem, odpowiedziała. Jak to, pani o tym nic nie wie, śmiali się. Cała Praga o tym plotkuje, a pani nic o tym nie wie? Jeszcze przez chwilę mówiła o fizyku atomowym, ale jeden z nich zaczął krzyczeć, żeby nie kłamała.

Powiedziała im prawdę. Chcieli mieć w piśmie poczytną rubrykę o astrologii, nie wiedzieli do kogo się zwrócić, ona знаła mnie, więc poprosiła o pomoc. Jest pewna, że przez to nie naruszyła żadnego obowiązującego w Czechosłowacji prawa. Nie, zgodzili się, żadnego prawa nie naruszyła. Przekroczyła jedynie wewnętrzne rozporządzenia służbowe zakazujące współpracy z ludźmi, którzy stracili zaufanie partii i państwa. Sugerowała, że nie stało się nic poważnego: nazwisko pana Kundery pozostało ukryte pod pseudonimem i w ten sposób nie mogło nikogo gorszyć. A honoraria, jakie dostał, też były śmiesznie niskie. Znowu przytaknęli: istotnie, nie zdarzyło się nic strasznego, spiszą tylko o tym protokół, ona go podpisze i nie musi się niczego obawiać.

Podpisała protokół. Dwa dni później wezwał ją redaktor naczelny i oświadczył, że w trybie natychmiastowym jest zwolniona. Tego samego dnia poszła do radia, gdzie miała przyjaciela, który już dawno proponował jej tam robotę. Przywitano ją radośnie, ale kiedy następnego dnia przyszła załatwiać formalności, szef działu personalnego, który bardzo ją lubił, zrobił nieszczęśliwą minę: Coś ty zrobiła za numer, dziewczyno! Zniszczyłaś sobie życie! Ja nie mogę nic dla ciebie zrobić.

Najpierw bała się ze mną rozmawiać, bo musiała obiecać policjantom, że nikomu nie powie o przesłuchaniu. Ale kiedy dostała następne wezwanie (ma tam iść jutro), zdecydowała, że musi się ze mną

po kryjomu spotkać i porozumieć, żeby nie było różnicy w zeznaniach, gdyby przypadkiem mnie także wezwano.

Zrozumie, R. nie była tchórzem, była po prostu młoda i nie wiedziała nic o świecie. Teraz dostała pierwszy cios, niezrozumiały i niespodziewany, i nigdy już o nim nie zapomni. Pojąłem, że jestem wybrany, by jako listonosz roznosić ludziom ostrzeżenia czy kary i zacząłem się bać samego siebie.

– Czy sądzi pan – odezwała się ze ściśniętym gardłem – że wiedzą o tym tysiącu koron za horoskop.

– Niech się pani nie obawia. Kto przez trzy lata studiował w Moskwie marksizm-leninizm, ten nigdy nie może się przyznać, że zamawia sobie horoskopy.

Roześmiała się i ten śmiech, choć trwał ledwie ułamek sekundy, brzmiał dla mnie jak wąż obietnica ratunku. Przecież właśnie o tym śmiechu marzyłem, gdy pisałem te bzdurne artykułiki o Rybach, Pannie i Koziorożcu, właśnie ten śmiech wyobrażałem sobie jako swe honorarium, lecz ten śmiech nikąd nie nadchodził, bo wszędzie już na świecie aniołowie zajęli decydujące miejsca, wszystkie sztaby generalne, opanowali lewicę i prawicę, Arabów i Żydów, rosyjskich generałów i rosyjskich dysydentów. Patrzyli na nas ze wszystkich stron swym lodowatym wzrokiem, który zrywał z nas sympatyczny strój wesołych mistyfikatorów i przemieniał w nędznych oszustów, którzy pracują dla pisma młodzieży socjalistycznej, choć nie wierzą ani w młodzież, ani w socjalizm, którzy piszą horoskop dla naczelnego redaktora, choć śmieją się z horoskopu i z naczelnego redaktora, którzy zajmują się bzdurami, podczas gdy wszyscy wokół (prawica i lewica, Arabowie i Żydzi, generałowie i dysydenci) walczą o przyszłość ludzkości. Czuliśmy na sobie ciężar ich spojrzeń, które zmieniały nas w godne rozdeptania robactwo.

Opanowałem swój strach i starałem się wymyślić dla R. jak najsensowniejszy plan jej jutrzejszych zeznań na policji. W czasie rozmowy R. kilkakrotnie wstawiała i wychodziła do toalety. Jej powrotem towarzyszył dźwięk spuszczonej wody i paniczne zakłopotanie. Ta odważna dziewczyna wstydziła się za swój strach. Ta elegancka kobieta wstydziła się za swe wewnętrznosci, które zbuntowały się na oczach obcego mężczyzny.

8

Mniej więcej dwudziestka piątka chłopców i dziewcząt różnej narodowości siedziała w ławkach i roztargnionym wzrokiem obserwowała Michaelę i Gabrielę, które niespokojnie przestępowały z nogi na nogę, stojąc obok katedry madame Rafael. Każda z dziewczyn trzymała w ręku kilka kartek papieru z tekstem referatu, a oprócz tego dziwny papierowy przedmiot zakończony gumką.

– Będziemy mówić o sztuce Ionesco *Nosorożec* – powiedziała Michaela i pochyliwszy głowę, nałożyła sobie na nos papierową rurę oklejoną kolorowymi papierami i przymocowała ją gumką z tyłu głowy. Gabriela zrobiła to samo. Dziewczyny popatrzyły na siebie i wydały krótki, wysoki, modulowany dźwięk.

Sala z łatwością zorientowała się, co obie studentki chciały dać do zrozumienia. Po pierwsze, że nosorożec zamiast nosa ma róg; a po drugie, że sztuka Ionesco jest komiczna. Zdecydowały się wyrazić oba stwierdzenia nie tylko za pomocą słów, ale także przez grę własnego ciała.

Długie rury huśtały się na ich nosach, a pozostałych studentów widok ten wprowadził w stan jakiegoś zawstydzonego współczucia, jakby im ktoś w tej sali pokazywał amputowane ramię.

Tylko profesor Rafael zachwyciła się pomysłem ukochanych uczennic i na ich wysoki, modulowany dźwięk odpowiedziała podobnym okrzykiem.

Dziewczyny z zadowoleniem pomachały długimi nosami, a Michaela zaczęła czytać swoją część referatu.

W sali była też młodziutka Żydówka Sarah. Niedawno prosiła obie Amerykanki, żeby pozwoliły jej zajrzeć do ich zeszytu z notatkami (mówiono, że nie opuściły ani jednego słówka pani profesor), ale one odmówiły: – Nie trzeba latać na plażę, jak są zajęcia. Od tego czasu szczerze je znienawidziła, więc teraz z satysfakcją obserwowała ich głupotę.

Michaela i Gabriela czytały na przemian swą analizę *Nosorożca*, a długie papierowe rogi sterczały z ich twarzy jak daremne wezwanie. Sarah stwierdziła, że oto nadarzyła się okazja, której szkoda byłoby nie wykorzystać. Kiedy Michaela zrobiła krótką pauzę i odwróciła się do Gabrieli, aby dać jej znak, że teraz kolej na nią, Sarah podniosła się z ławki i ruszyła w kierunku referentek. Gabriela, zamiast zabrać głos, wycelowała w nadchodzącą koleżankę otwór swego zdziwionego papierowego nosa i milczała. Sarah podeszła do obu dziewczyn, okrążyła je (Amerykanki nie były w stanie się odwrócić i popatrzeć, co dzieje się za ich plecami, tak jakby przyprowadzone nosy przeciążyły ich głowy), wzięła zamach i

kopnęła Michaelę w tyłek, a potem wzięła jeszcze jeden zamach i kopnęła również Gabriellę. Uczyniwszy to spokojnie, czy wręcz dumnie, skierowała się na swe miejsce w ławce.

W pierwszej chwili zapadła całkowita cisza.

Potem z oczu Michaeli zaczęły kapać łzy, a w następnym momencie – także z oczu Gabrieli.

Potem sala wybuchnęła gromkim śmiechem.

Potem Sarah usiadła w ławce.

Potem madame Rafael, początkowo zaskoczona i zdziwiona, zrozumiała, że akcja Sarah była uzgodnioną częścią pieczołowicie wyreżyserowanego żartu mającego pomóc w lepszym zrozumieniu przerabianego materiału (dzieło sztuki należy analizować nie tylko po staremu, teoretycznie, lecz również nowocześnie: poprzez działanie, akcję, happening!), a ponieważ nie widziała łez swych ukochanych uczennic (były zwrócone twarzą do sali, a więc tyłem do niej), pochyliła głowę i przyłączyła się do ogólnej wesołości.

Kiedy Michaela i Gabriela usłyszały za plecami śmiech swej ukochanej nauczycielki, poczuły się zdradzone. Łzy ciekły im teraz z oczu jak z wodotrysku. Uczucie poniżenia męczyło je tak bardzo, że zaczęły się zwijać, jakby miały bóle żołądka.

Madame Rafael uznała kurcze ukochanych studentek za taniec i jakaś siła, potężniejsza niż jej profesorska powaga, wyciągnęła ją z krzesła. Śmiała się aż do łez, wymachiwała rękami i jej ciało podrygiwało rytmicznie, a głowa poruszała się na karku tam i z powrotem jak odwrócony do góry dzwon energicznie wprawiony w ruch przez kościelnego. Podeszła do wijących się dziewczyn i wzięła Michaelę za rękę. Podrygując stały teraz wszystkie trzy na wprost ławek i łzy tryskały im z oczu. Pani Rafael zrobiła dwa kroki w miejscu, potem wyrzuciła w górę najpierw jedną, później drugą nogę, a płaczące dziewczyny nieśmiało zaczęły ją naśladować, łzy ściekały im wzdłuż papierowych nosów, lecz one podrygiwały i podskakiwały w miejscu. Po chwili pani profesor chwyciła za rękę również Gabriellę, tworząc w ten sposób krąg przed frontem ławek, wszystkie trzy kobiety trzymały się za ręce, robiły kroki w miejscu, podskakiwały i wirowały wkoło na parkiecie sali. Wyrzucały w górę najpierw jedną, później drugą nogę, a grymas płaczu na twarzach obu dziewczyn niedostrzegalnie zmieniał się w śmiech.

Trzy kobiety tańczyły i śmiały się, papierowe nosy podrygiwały, a sala milczała i z cichym przerażeniem obserwowała zdarzenia. Ale w tej chwili tańczące kobiety nie zauważały już nikogo, były skoncentrowane tylko na sobie i na swej rozkoszy. Nagle madame Rafael tupnęła mocniej w podłogę sali, uniosła się kilka centymetrów w powietrze i następne jej kroki nie dotykały już ziemi. Pociągnęła za sobą obie towarzyszkę i po chwili wszystkie trzy krążyły nad parkietem, unosząc się spiralnym ruchem w górę. Ich włosy dotykały już sufitu, gdy ten zaczął się wolno rozstępować. Frunęły wyżej przez ten otwór, już nie było widać papierowych nosów, jeszcze przez chwilę wystawały tylko trzy pary butów, lecz wreszcie i one zniknęły, a oniemiał studenci wsłuchiwali się w wibrujący i niknący w oddali śmiech trzech archaniołów.

9

Spotkanie z R. w obcym mieszkaniu miało dla mnie decydujące znaczenie. Zrozumiałem ostatecznie, że stał się ze mnie doręczyciel nieszczęść i że nie mogę dłużej pozostać wśród ludzi mi bliskich, jeśli nie chcę wyrządzić im krzywdy; że nie pozostało mi do wyboru nic innego niż wyjazd z kraju.

Lecz to ostatnie spotkanie z R. wspominam jeszcze z innego powodu. Ta dziewczyna zawsze mi się podobała, ale w zupełnie niewinny i asekualny sposób. Jej ciało stale było jakby ukryte za zasłoną błyskotliwej inteligencji, dystygowanego zachowania i eleganckiego stroju. R. nie pozostawiała nigdy żadnej szczeliny, przez którą mógłbym dostrzec błysk jej nagości. I oto nagle strach rozkroił ją jak rzeźnicki nóż. Miałem wrażenie, że jest przede mną otwarta jak przepołowiona wołowa tusza wisząca na haku. Siedzieliśmy obok siebie na tapczanie, w obcym mieszkaniu, z toalety odzywał się świszczący dźwięk wody napełniającej opróżniony przed chwilą rezerwuar, a mnie nagle chwyciło straszliwe pragnienie kochania się z nią. Mówiąc dokładniej: straszliwe pragnienie zgwałcenia jej. Chciałem rzucić się na nią i zamknąć w objęciach wraz ze wszelkimi jej, tak podniecającymi, sprzecznościami, ze wspaniałymi strojami i rozstrojonym żołądkiem, z inteligencją i strachem, z dumą i nieszczęściem. Wydawało mi się, że w tych przeciwieństwach skrywa się jej istota, to złoże, ta grudka złota, ten diament schowany w głębinach. Chciałem się na nią rzucić i wyrwać ten skarb; pojąć ją razem z jej głównym i nie ujawnioną duszą.

Lecz widziałem wpatrzoną w siebie parę przestraszonych oczu (przestraszone oczy w inteligentnej twarzy), a im bardziej oczy te były przestraszone, tym silniejsze było moje pragnienie gwałtu i jednocześnie tym bardziej absurdałne, głupie, skandaliczne, niezrozumiałe i niewykonalne.

Kiedy tego dnia wyszedłem z obcego mieszkania na pustą ulicę praskiego osiedla (R. jeszcze tam została; bała się wyjść razem ze mną, żeby nas ktoś nie zobaczył), bardzo długo nie myślałem o niczym innym niż o tym szalonym pragnieniu zgwałcenia mej sympatycznej przyjaciółki. To pragnienie pozostało uwięzione we mnie jak ptak w klatce, ptak, który czasem się budzi i trzepie skrzydłami.

Możliwe, że ta zwariowana ochota na zgwałcenie R. była tylko rozpaczliwą próbą przytrzymania się czegoś w trakcie upadku. Bo od tego czasu, gdy wyrzucono mnie z kręgu, wciąż spadam; spadłem do tego momentu, a potem znów mnie popchnięto, żebym spadał jeszcze dalej, jeszcze głębiej, ze swego kraju w pustą przestrzeń świata, w którym rozlega się straszliwy śmiech aniołów, zagłuszający swym brzmieniem wszystkie moje słowa.

Wiem, gdzieś tam jest Sarah, żydowska dziewczyna Sarah, moja siostra Sarah... Lecz jak ją znaleźć?

W tym rozdziale znajdują się cytaty z następujących dzieł:

Annie Leclerc, *Parole de femme*, 1976.

Paul Eluard, *Le mage de ta pacc*, 1951.

Eugen Ionesco, *Nosorożec*, 1959, w tomie *Teatr*, przełożył Adam Tam, PIW 1967.

Część czwarta

Stracone listy

1

Wylczyłem sobie, że w każdej sekundzie ochrzczone zostają na świecie dwie, trzy wymyślone postaci. Dlatego zawsze jestem w kłopotcie, kiedy mam się znaleźć w tym nieprzeliczonym zastępie Janów Chrzcicieli. Ale co robić, jakoś przecież muszę ją nazwać. Aby było całkowicie jasne, że moja bohaterka należy tylko do mnie, a nie do kogoś innego (przyłgnąłem do niej bardziej niż do którejkolwiek postaci), nadaję jej imię, jakiego nie nosiła żadna kobieta: Tarnina. Wyobrażam sobie, że jest ładna, wysoka. Ma mniej więcej trzydzieści lat i pochodzi z Pragi.

Widzę ją w duchu, jak idzie ulicami prowincjonalnego miasta na zachodzie Europy. Tak, dobrze zauważyliście: Pragę, która jest daleko, nazywam po imieniu, natomiast miasteczko, w którym rozgrywa się moja historia, pozostawiam w anonimowości. Cóż, jest to wbrew wszelkim prawom perspektywy, lecz nie pozostaje wam nic innego, niż się z tym pogodzić.

Tarnina pracuje jako kelnerka w knajpce należącej do dwojga małżonków. Zarabiali oni tak mało, że współwłaściciel musiał się podjąć innej pracy, a zwolniona posada kelnerki przypadła właśnie Tarninie. Różnica między marną pensją właściciela w jego nowym miejscu zatrudnienia a jeszcze marniejszą pensją kelnerki stanowi ich niewielki zysk.

Tarnina roznosi klientom kawę i calvados (nie ma ich zbyt wielu, knajpka jest na ogół pustawa), a potem wraca za ladę baru. Na stołeczku przy barze prawie zawsze siedzi ktoś, kto ma ochotę pogadać z kelnerką. Wszyscy ją lubią. Tarnina bowiem potrafi słuchać, co jej ludzie opowiadają.

Czy rzeczywiście ich słucha? Czy może tylko uważnie i milcząco się w nich wpatruje? Nie wiem i właściwie nie ma to specjalnego znaczenia. Ważne, że im nie przerywa. Wiecie przecież, w jaki sposób ludzie zwykle sobie opowiadają. Jeden mówi, a ten drugi wpada mu w słowo: *to zupełnie jak ja, bo ja...* i opowiada o sobie, dopóki pierwszemu nie uda się powiedzieć: *to zupełnie jak ja, bo ja...*

Owo zdanie: *To zupełnie jak ja, bo ja...* wygląda na potwierdzenie, rozwinięcie myśli poprzednika, lecz to nieprawda. W istocie rzeczy jest brutalną rewoltą przeciw brutalnej przemocy, próbą oswobodzenia z niewoli własnego ucha i chęcią opanowania – za pomocą kontrataku – ucha przeciwnika. Albowiem całe życie człowieka wśród innych ludzi jest nieustanną walką o uszy słuchaczy. Cała tajemnica sympatii, jaką darzą Tarninę, polega na tym, że ona nie pragnie opowiadać o sobie. Przyjmuje okupantów swego ucha bez protestów i nigdy nie mówi: *to zupełnie jak ja, bo ja...*

2

Bibi jest o dziesięć lat młodsza od Tarniny. Już niemal od roku codziennie jej o sobie opowiada. Niedawno powiedziała jej (i właściwie od tej chwili wszystko się zaczęło), że latem wybiera się ze swym mężem w podróż do Pragi.

W tej chwili Tarnina jakby się ocknęła z kilkuletniego snu. Bibi jeszcze przez chwilę mówi, a Tarnina (wbrew swym zwyczajom) wpada jej w słowo:

– Bibi, jeśli pojedziecie do Pragi, to czy moglibyście zajrzeć do mojego ojca i przywieźć dla mnie pewien drobiazg? To nic wielkiego, tylko mała paczuszka! Wejdzie wam z powodzeniem do walizki.

– Dla ciebie wszystko – odpowiada ochoczo Bibi.

– Byłabym ci do śmierci wdzięczna – stwierdza Tarnina.

– Możesz na mnie liczyć – deklaruje się Bibi i obie kobiety jeszcze przez chwilę rozmawiają o Pradze, a Tarninie płoną policzki.

Potem Bibi oświadcza: – Chcę napisać książkę.

Tarnina myśli o swojej paczuszce w Czechach i wie, że musi utrzymać przychyłność Bibi. Dlatego nadstawia drugie ucho: – Książkę? A o czym?

Roczna córeczka Bibi baraszkuje pod stołkiem, na którym siedzi jej matka, i wesoło papla.

– Cicho – uspokaja ją Bibi, a potem w zamyśleniu wydmuchuje papierosowy dym: – O tym, jak widzę świat.

Dziecko piszczy coraz głośniejsze, a Tarnina pyta: – I odważyłabyś się napisać książkę?

– Czemu nie – odpowiada Bibi i znów zamyśla się: – Naturalnie, muszę się trochę zorientować, w jaki sposób pisze się książki. Nie znasz przypadkiem Banaki?

– Kto to jest? – pyta Tarnina.

– Pisarz – stwierdza Bibi. – Mieszka tutaj. Muszę go poznać.

- A co napisał?
- Nie wiem – przyznaje Bibi i w zamyśleniu dodaje – chyba powinnam coś z jego rzeczy przeczytać.

3

W słuchawce powinien odezwać się okrzyk radosnego zdziwienia, lecz zamiast tego zabrzmiało całkiem chłodno: – Co się stało, że sobie przypomniałaś?

- Wiesz, że jestem w trudnej sytuacji finansowej. Telefon jest drogi – usprawiedliwia się Tarnina.
- Ale możesz pisać! Chyba znaczek na list tyle nie kosztuje? Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz pisałaś.

Tarnina zorientowała się, że rozmowa z teściową przybiera zły obrót, dlatego najpierw długo wypytywała, jak się jej powodzi i co robi, zanim zdecydowała się powiedzieć: – Chciałabym cię o coś poprosić. Jak wyjeżdżaliśmy, zostawiliśmy u ciebie taką paczuszkę.

- Paczuszkę?
- Tak, Petr w twojej obecności schował ją do biurka ojca. Pamiętasz, że miał tam zawsze swoją szufladę. A klucz zostawił tobie.
- Nie mam pojęcia o żadnym kluczu.
- Ależ mam! Musisz go mieć! Byłam przy tym, jak Petr ci go dawał.
- Wy mi niczego nie dawaliście.
- Może zapomniałaś, bo minęło już przecież tyle lat. Ja tylko chcę, żebyś się zorientowała, czy masz ten kluczyk. Na pewno go znajdziesz!
- I co mam z nim zrobić?
- Zobacz tylko, czy paczka leży na swoim miejscu.
- A dlaczego miałyby nie leżeć? Chowaliście ją tam?
- Chowaliśmy.
- To po co mam otwierać szufladę? Myślisz, że coś zrobiłam z waszymi notesami?

Tarnina drgnęła. Skąd teściowa może wiedzieć, że są tam notesy? Były przecież zapakowane, a cała paczuszka zalepiona kilkoma paskami klejącej taśmy. Ale nie zdradziła swego zaskoczenia:

- Przecież nic takiego nie mówię. Chciałam tylko, żebyś spojrzała, czy jest tam wszystko w porządku. Następnym razem powiem ci, co dalej.
- A nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?
- Mamo, ja nie mam czasu tyle rozmawiać. To tyle kosztuje!

Teściowa rozplakała się: – To nie dzwoń do mnie, skoro to tyle kosztuje!

- Nie płacz, mamo – prosiła ją Tarnina. Znała jej płacz na pamięć. Kiedy chciała coś na nich wymusić, zawsze płakała. Swoim płaczem ich oskarżała i nie było nic bardziej agresywnego od jej łez.

Słuchawką wstrząsało łkanie, a Tarnina powiedziała: – Mamo, do widzenia. Niedługo znów zadzwonię.

Teściowa płakała, a Tarnina nie odważyła się odłożyć słuchawki, dopóki nie usłyszy jej słów na pożegnanie. Ale płacz nie kończył się, a każda łza kosztowała masę pieniędzy.

Tarnina odłożyła słuchawkę.

- Pani Tarnino – odezwała się smutnym głosem właścicielka knajpki wskazując na zegarek. – Pani rozmawiała strasznie długo – wyliczyła, ile kosztowała rozmowa do Czech. Tarnina przestraszyła się wielkiej sumy. Musiała liczyć się z każdym groszem, żeby przeżyć do następnej wypłaty. Zapłaciła jednak, nawet nie mrugnawszy okiem.

4

Tarnina i jej mąż opuścili Czechy nielegalnie. Załatwili sobie wycieczką turystyczną organizowaną przez państwowe biuro podróży do Jugosławii, nad morze. Tam odłączyli się od grupy i przez Austrię ruszyli na zachód.

Żeby nie zwracać na siebie uwagi, każde z nich wzięło tylko jedną dużą walizkę. W ostatniej chwili zrezygnowali z zabrania okazałej paczuszki zawierającej ich wzajemną korespondencję i pamiętnik Tarniny. Gdyby policjant okupowanych Czech w czasie kontroli celnej otworzył ich bagaż, staliby się natychmiast podejrzani, skoro na dwa tygodnie nad morze zabierają całe archiwum swego intymnego życia. A ponieważ nie chcieli zostawić paczki w swoim mieszkaniu, o którym wiedzieli, że po ich

ucieczce zostanie skonfiskowane przez państwo, schowali ją u teściowej Tarniny, w opuszczonym i dziś nie wykorzystywanym biurku zmarłego teścia.

Za granicą mąż zachorował i Tarnina tylko obserwowała, jak powoli zabiera go śmierć. Kiedy umarł, pytali ją, czy chce męża pogrzebać czy spalić. Powiedziała, żeby go spalili. Pytali następnie, czy prochy złożyć w urnie, czy też rozproszyć. Nie miała nigdzie domu i bała się, że przez całe życie nosiłaby męża jak bagaż. Kazała więc prochy rozrzucić.

Wyobrażam sobie, że świat wokół Tarniny rośnie w górę jak okrągła ściana, a ona jest trawniczkiem w dole, na dnie. Na tym trawniku wspomnienie jej męża wyrasta jako jedyna róża.

Albo wyobrażam sobie, że rzeczywistość Tarniny (składająca się z roznoszenia kawy i nadstawiania ucha) jest tratwą, która dryfuje na wodzie, a ona siedzi na niej i spogląda za siebie, tylko za siebie.

W ostatnim czasie doprowadzało ją jednak do rozpacz, że przeszłość staje się coraz bledsza. Po mężu została jej tylko fotografia z jego paszportu, wszystkie inne zdjęcia zostały w skonfiskowanym mieszkaniu w Pradze. Wpatruje się w ten zabrudzony obrazek z oberwanym rogiem, na którym mąż został sfotografowany wprost (jak przestępca fotografowany przez policjanta) i nie jest zbyt do siebie podobny. Codziennie przeprowadza nad tym zdjęciem jakieś duchowe ćwiczenia: stara się wyobrazić sobie męża z profilu, potem z półprofilu, a wreszcie z ćwierćprofilu. Przypomina sobie w duchu linię jego nosa, brody i codziennie przeraża ją to, że w tym wyimaginowanym rysunku pojawiają się coraz to nowe, niepewne miejsca, w których pamięć ją zawiodła.

W czasie tych ćwiczeń starała się również przypomnieć jego skórę, jej kolor i wszystkie drobne wady: brodawki, wyrostki, piegi i zgrubienia. Było to strasznie trudne, prawie niemożliwe. Kolory, którymi posługiwała się jej pamięć, były nierzeczywiste i nie można było za ich pomocą przedstawić ludzkiej skóry. Naprowadziło ją to na szczególną technikę wspomnienia. Kiedy siedziała na wprost jakiegoś mężczyzny, wykorzystywała jego głowę jak materiał rzeźbiarski: wpatrywała się w niego uważnie i przemodelowywała w duchu jego twarz, nadawała jej ciemniejszy odcień, rozmieszczała na niej piegi i brodawki, zmniejszała jego uszy i farbowała oczy na niebiesko.

Lecz wszystkie te starania udawały tylko, że pamięć męża bezpowrotnie się gubi. Kiedy zaczęli ze sobą chodzić, prosił ją (był o dziesięć lat starszy i miał już jakieś wyobrażenie o niedoskonałości ludzkiej pamięci), żeby prowadziła dziennik i zapisywała w nim bieg ich życia. Broniła się twierdząc, że to szyderstwo z ich miłości. Za bardzo go kochała, by mogła uznać, że to, co nazywała niezapomnianym, może być zapomniane. W końcu jednak zgodziła się, ale bez entuzjazmu. I tak właśnie wyglądały jej zapiski: było w nich dużo pustych kartek, a także sporo skąpych notatek.

5

Żyła z mężem w Czechach przez jedenaście lat i również notesów, które zostały u teściowej, było jedenaście. Krótco po śmierci męża kupiła zeszyt i podzieliła go na jedenaście części. Udało jej się przypomnieć wiele na wpół zapomnianych sytuacji i zdarzeń, ale zupełnie nie wiedziała, do której części zeszytu je wpisać. Porządek chronologiczny zatracił się bezpowrotnie.

Chciała najpierw wyłonić takie wspomnienia, które służyłyby jako punkty orientacyjne w nurcie czasu i tworzyłyby podstawowy szkielet rekonstruowanej przeszłości. Na przykład wakacje. Musieli ich wspólnie spędzić jedenaście, lecz potrafiła doliczyć się tylko dziewięciu. Dwoje zniknęło bez śladu.

Tych dziewięć ocalonych wakacji starała się rozdzielić do poszczególnych części zeszytu. Pewność miała tylko wtedy, kiedy rok był z jakiegoś względu wyjątkowy. W 1964 roku zmarła jej mama, a oni miesiąc później pojechali na smutny urlop w Tatry. Wie również, że w następnym roku pojechali nad morze do Bułgarii. Pamięta też wakacje w 1968 roku i następnym, bo były ostatnimi, jakie spędzili w Czechach.

Jeśli jednak z pewnym trudem udało jej się w końcu zrekonstruować większość wakacji (choć niektórych nie potrafiła umiejscowić w czasie), to poniosła całkowitą klęskę, kiedy usiłowała przypomnieć sobie Boże Narodzenia i Sylwestry. Z jedenastu świąt bożonarodzeniowych odnalazła w zakamarkach pamięci zaledwie dwa, a z dwunastu Sylwestrów – pięć.

Chciała też przypomnieć sobie wszystkie imiona, którymi ją nazywał. Bo w jej właściwym imieniu zwracał się do niej chyba tylko przez pierwsze dwa tygodnie. Jego czułość była maszyną do nieustannej produkcji nowych przezwisk. Miała wiele imion, a każde jakby się szybko znosiło, bo wciąż nadawał jej coraz to nowe. W ciągu dwunastu lat, które się znali, nosiła jakieś dwadzieścia, trzydzieści imion, a każde z nich należało do określonego etapu ich życia.

Ale w jaki sposób odnaleźć to połączenie między przewiskiem, a rytmem czasu? Tarnina jest w stanie to uczynić tylko w niewielu przypadkach. Wspomina na przykład dni po śmierci matki. Mąż szeptał jej do ucha imię (imię tego czasu i tej chwili) z taką uporczywością, jakby budził ją ze snu. To przewisko pamięta i może je z całą pewnością wpisać do rozdziału zatytułowanego 1964. Lecz wszystkie pozostałe imiona unosiły się w powietrzu swobodnie i w oderwaniu od czasu, jak ptaki, które uciekły z woliery.

Dlatego tak strasznie pragnie mieć ze sobą tę paczuszkę listów i notesów.

Doskonale zdaje sobie sprawę, że w notesach jest również wiele przykrych rzeczy, dni niezadowolenia, kłótni, a nawet wręcz nudy, ale teraz zupełnie nie ma to znaczenia. Nie chce w przeszłości odnaleźć poezji. Chce odnaleźć jej zagubione ciało. Nie kieruje nią pragnienie piękna. Kieruje nią pragnienie życia.

Tarnina siedzi bowiem na dryfującej tratwie i spogląda za siebie, tylko za siebie. Treścią jej istnienia jest wyłącznie to, co widzi tam daleko z tyłu. W ten sposób jej przeszłość zmniejsza się, niknie i traci kontury, a Tarnina także zmniejsza się i traci kontury.

Pragnie tych notesów po to, aby wąty szkielet zdarzeń, jakie zdołała odtworzyć w kupionym zeszyście, mógł się wypełnić materiałem i przekształcić w dom, w którym by mogła mieszkać. Albowiem jeśli ta chwiejna budowla rozpadnie się jak źle postawiony namiot, to z Tarniny pozostanie tylko goła teraźniejszość, ten niewidzialny punkt, to nic chylące się z wolna ku śmierci.

6

Czemu więc już dawniej nie poprosiła teściowej, żeby przysłała jej paczuszkę?

Korespondencja z zagranicą przechodzi w Czechach przez ręce tajnej policji, a Tarnina nie mogła się pogodzić z myślą, że jakiś tajniak miałby wsadzać nos w jej najbardziej prywatne sprawy. Oprócz tego nazwisko męża (które nadal było również jej nazwiskiem) pozostało z pewnością na czarnych listach, a policja wykazuje niesłabnące zainteresowanie jakimikolwiek dokumentami z życia swych przeciwników, choćby ci już nawet byli martwi. (Pod tym względem Tarnina się nie myli: na kartach policyjnych archiwów jest nasza jedyna nieśmiertelność.)

Dlatego Bibi stanowi jej jedyną nadzieję, a ona uczyni wszystko, żeby przyjaciółka czuła się wobec niej zobowiązana. Bibi chce poznać Banakę, a Tarnina zastanawia się: powinna chyba wcześniej poznać treść przynajmniej jednej z jego książek. Koniecznie bowiem w trakcie konwersacji trzeba powiedzieć: *właśnie, dokładnie tak samo pan to ujął w swojej książce!* albo: *jest pan zupełnie podobny do swoich postaci, panie Banaka!* Tarnina wie, że Bibi nie ma w swoim mieszkaniu ani jednej książki, a czytanie ją nudzi. Dlatego chciałaby się dowiedzieć, co znajduje się w książkach Banaki, i przygotować w ten sposób przyjaciółkę na spotkanie.

W knajpce siedział Hugo, a Tarnina postawiła przed nim filiżankę kawy: – Panie Hugo, czy zna pan Banakę?

Hugonowi cuchnęło z ust, ale poza tym wydawał się Tarninie całkiem sympatyczny: cichy, nieśmiały, mniej więcej pięć lat od niej młodszy. Przychodził do knajpki raz w tygodniu i wpatrywał się częściowo w książki, które z sobą przynosił, a częściowo w stojącą za bufetem Tarninę.

– Znam – odpowiedział.

– Chciałabym poznać treść którejś z jego książek.

– Proszę zapamiętać, pani Tarnino – odparł Hugo – że z rzeczy Banaki nikt nigdy jeszcze niczego nie czytał. Czytać książki Banaki to całkowita kompromitacja. Nikt nie ma co do tego złudzeń, że jest on pisarzem drugiej, jeśli nie trzeciej czy dziesiątej kategorii. Zapewniam panią, że i Banaka jest do tego stopnia ofiarą własnej legendy, że gardzi ludźmi, o których wie, że przeczytali jego książkę.

Nie szukała więc już książek Banaki, ale wobec tego zapragnęła sama zaaranżować spotkanie z Banaką. Czasami użyczała swojego mieszkania, które w ciągu dnia stało puste, malutkiej zamężnej Japonce Żuzu, która po kryjomu spotykała się tam z pewnym żonatym profesorem filozofii. Profesor znał Banakę, a Tarnina wymogła na kochankach obietnicę, że go z sobą przyprowadzą wtedy, gdy będzie u niej także z wizytą Bibi.

Kiedy Bibi się o tym dowiedziała, stwierdziła: – Może Banaka jest przystojny i wreszcie zmieni się twoje życie seksualne.

Rzeczywiście od czasu śmierci męża Tarnina nie kochała się z żadnym innym mężczyzną. Nie było to dla zasady. Przeciwnie, ta wierność aż poza grób wydawała jej się nieraz śmieszna i przed nikim się nią nie chwaliła. Ale za każdym razem, kiedy wyobrażała sobie (a wyobrażała sobie często), że rozbiera się przed jakimś mężczyzną, pojawiała się przed oczami postać męża. Wiedziała, że wtedy też by go zobaczyła, że widziałaby jego twarz i jego wzrok uważnie ją obserwujący.

Byłoby to niezbyt normalne, a nawet głupie, i ona doskonale o tym wiedziała. Tym bardziej że nie wierzyła w pozagrobowe życie duszy męża, ani nie uważała, że skalałoby to jego pamięć, gdyby miała kochanka. Ale nie była w stanie sobie poradzić.

Przyszła jej nawet do głowy taka szczególna myśl: Gdyby oszukiwała męża za życia, to byłoby to dla niej znacznie łatwiejsze niż teraz. Jej mąż był wesoły, silny, odnosił sukcesy, ona zaś czuła się znacznie słabsza od niego i sądziła, że nie byłaby w stanie go zranić, nawet gdyby bardzo chciała.

Dziś jednak wszystko było inaczej. Dziś wyrządziłaby krzywdę komuś, kto nie może się bronić, kto zdany jest na jej łaskę jak dziecko. Jej zmarły mąż nie ma bowiem na całym szerokim świecie nikogo poza nią; właśnie, nikogo oprócz niej.

Dlatego, gdy tylko pomyślała o możliwości fizycznej miłości z kimś innym, pojawiała się wyobrażenie męża, a wraz z nim męcząca tęsknota, a z tęsknotą – niepohamowane pragnienie płaczu.

8

Banaka był wstrętny i nie bardzo był w stanie zbudzić w jakiejś kobiecie uśpione zmysły. Tarnina napełniała mu filiżankę herbatą, a on bardzo uprzejmie jej dziękował. Zresztą wszyscy czuli się u Tarniny dobrze, a Banaka. wkrótce sam przerwał niezobowiązującą konwersację i z uśmiechem zwrócił się do Bibi:

- Słyszałem, że ma pani zamiar napisać książkę. A o czym to ma być?
- Zupełnie po prostu – odparła Bibi. – Powieść. O tym, jak widzę świat.
- Powieść? – spytał Banaka, a w jego głosie słychać było wyraźne niezadowolenie.
- No, nie musiałyby to być akurat powieść – poprawiła się Bibi niepewnie.

Banaka zaś oświadczył: – Niech sobie pani tylko wyobrazi powieść. Wiele różnych postaci. Chce nam pani wmówić, że pani wie o nich wszystko? O tym, jak wyglądają, co myślą, jak się ubierają, z jakiej rodziny pochodzą? Przecież, niech się pani przyzna, to panią w ogóle nie obchodzi!

- To prawda – przyznała Bibi – nie obchodzi.
- Wie pani – kontynuował Banaka – powieść jest wymysłem ludzkiej iluzji, że możemy zrozumieć drugiego człowieka. A cóż my o sobie nawzajem wiemy?
- Nic – stwierdziła Bibi.
- To prawda – przytaknęła Żuzu.

Profesor filozofii potwierdzająco skinął głową.

– Jedyne, co możemy zrobić – ciągnął dalej Banaka – to zdać sprawozdanie ze swego życia. Wszystko pozostałe jest przekroczeniem naszych kompetencji. Wszystko pozostałe jest kłamstwem.

Bibi zgodziła się z entuzjazmem: – To prawda! Absolutna prawda! Przecież ja nie chcę pisać żadnej powieści. Źle to powiedziałam. Chciałabym napisać dokładnie tak, jak pan o tym powiedział, sama o sobie. Zdać sprawozdanie ze swego życia. Przy czym wcale nie chcę ukrywać, że moje życie jest zupełnie zwyczajne, że właściwie nie przeżyłam nic szczególnego.

Banaka uśmiecha się: – To nie ma w ogóle znaczenia! Patrząc z zewnątrz, ja także nic szczególnego nie przeżyłem.

– Właśnie! – krzyknęła Bibi. – Doskonale powiedziane! Patrząc z zewnątrz nic nie przeżyłam. Patrząc z zewnątrz! Bo czuję, że moje wewnętrzne przeżycia są warte tego, by je zapisać, i uważam, że mogłyby zainteresować wszystkich.

Tarnina dolewała zebrany herbaty i była zadowolona, że obaj mężczyźni, którzy zstąpili do jej mieszkania ze szczytu Olimpu, są dla jej przyjaciół mili.

Profesor filozofii pykał z fajki i ukrywał się za jej dymem, jakby się wstydził.

– Już od Jamesa Joyce'a wiemy – prawil – że największą przygodą naszego życia jest brak przygód. Odyseusz, który walczył pod Troją, wracał przez morza, sam sterował łodzią i na każdej wyspie miał kochankę. Nie, to nie jest nasze życie. Odyseja Homera przeniosła się do wewnątrz. Uwewnętrzniła się.

Wyspy, morza, syreny, które nas uwodzą, Itaka, która wzywa nas do siebie, to są dziś tylko głosy naszego wnętrza.

– Właśnie! Dokładnie tak to odczuwam! – krzyczała Bibi i znów zwróciła się do Banaki: – Dlatego chciałam pana spytać, jak się do tego zabrać. Często mam uczucie, że moje ciało przepełnione jest pragnieniem wypowiedzenia się. Mówienia. Wyrażania. Myślę, że już chyba zwariuję od tego, jak bardzo się czuję pełna, do granic wytrzymałości. Aż mi się chce krzyczeć; pan z pewnością zna ten stan, panie Banaka. Chciałabym wyrazić swoje życie, swoje uczucia, które – jestem tego pewna – są absolutnie nadzwyczajne, ale gdy siadam nad kartką papieru, to nagle nie wiem, o czym pisać. Więc pomyślałam sobie, że jest to na pewno sprawa techniki. Z pewnością brakuje mi jakiejś umiejętności, którą pan posiada. Przecież pan napisał tak wspaniałe książki...

9

Darujmy sobie wykład o sztuce pisania, jaki dla młodej kobiety wygłosili obaj Sokratesowie. Chciałbym powiedzieć o czymś innym. Niedawno w Paryżu jechałem taksówką z jednego końca miasta na drugi i taksówkarz rozgadał się. Nie może w nocy spać. Cierpi na chorobliwą bezsenność. Zaczęło się w czasie wojny. Był marynarzem. Jego statek został zatopiony. On pływał przez trzy dni i trzy noce. Potem go wyratowali. Przez kilka miesięcy walczył ze śmiercią. Wyzdrowiał, ale stracił sen.

– Mam o jedną trzecią życia więcej niż pan – uśmiechnął się.

– I co pan robi z tą dodatkową jedną trzecią – spytałem.

– Piszę – odpowiedział.

Zaciekawiło mnie, co pisze.

– Piszę swoje życie. Historię człowieka, który pływał przez trzy doby w morzu, walczył ze śmiercią, stracił sen, a mimo wszystko zachował siłę życia.

– Pisze pan dla swoich dzieci? Jako kronikę rodzinną?

Roześmiał się gorzko: – Gdzie tam, moich dzieci by to nie interesowało. Piszę to jako książkę. Myślę, że mogłaby pomóc wielu ludziom.

Rozmowa z taksówkarzem nagle uświadomiła mi istotę działalności literackiej. Piszemy książki, bo dzieci się nami nie interesują. Zwracamy się do anonimowego świata, ponieważ nasza żona zatyka sobie uszy, kiedy do niej mówimy.

Zaprotestujecie, że w przypadku taksówkarza mamy do czynienia z grafomanem, a nie z pisarzem. Musimy więc najpierw uprecyzyjnić pojęcia. Kobieta, która pisze do swego kochanka cztery listy w ciągu dnia, nie jest grafomanką, lecz zakochaną kobietą. Ale mój przyjaciel, który sporządza fotokopie swej miłosnej korespondencji, żeby kiedyś móc ją opublikować, jest grafomanem. Nie jest grafomanią pragnienie pisania listów, dzienników, kronik rodzinnych (a więc dla siebie lub swych najbliższych), lecz jest nią pragnienie pisania książki (czyli posiadania publiczności, nieznanymi czytelnikami). Pod tym względem namiętność taksówkarza i Goethego jest identyczna. To, co odróżnia Goethego od taksówkarza, nie jest inną namiętnością, lecz tylko innym skutkiem tej namiętności.

Grafomania (chorobliwa potrzeba pisania książek) staje się zawsze masową epidemią, jeśli rozwój społeczeństwa spełni trzy podstawowe warunki:

1/ wysoki stopień upowszechnienia dobrobytu, który umożliwia ludziom zajmowanie się czynnościami bezużytecznymi;

2/ wysoki stopień atomizacji życia społecznego i płynące z niego powszechne osamotnienie jednostek;

3/ radykalny brak wielkich przemian społecznych w życiu narodu; (z tego punktu widzenia wydaje mi się znaczące, że we Francji, gdzie praktycznie nic się nie dzieje, procent pisarzy jest dwadzieścia jeden razy wyższy niż w Izraelu. Zresztą Bibi wyraziła się precyzyjnie, kiedy stwierdziła, że *patrząc z zewnątrz* niczego nie przeżyła. Właśnie ten brak życiowych treści, ta pustka jest motorem, który zmusza ich do pisania.)

Skutek wywiera także wpływ na przyczynę. Powszechna samotność wywołuje grafomanię, ale jednocześnie powszechna grafomania utwierdza i powiększa ogólną samotność. Wynalazek druku umożliwił niegdyś ludzkości wzajemne porozumiewanie się. W czasach powszechnej grafomanii pisanie książek uzyska odwrotny sens: każdy jest otoczony swymi literami jak ścianą z luster, przez którą nie dochodzi żaden głos z zewnątrz.

10

– Tarnino – powiedział Hugo, kiedy niedawno rozmawiali ze sobą w knajpce. – Ja wiem, że nie mam u pani żadnych szans.

Nie będę się zresztą o nie ubiegać. Ale czy mimo to mógłbym panią zaprosić w niedzielę na obiad?

Pacuszka leży u teściowej, w powiatowym miasteczku, a Tarnina chce ją przenieść do ojca, do Pragi, żeby stamtąd mogła odebrać ją Bibi. Wydawałoby się, że nie ma nic prostszego, ale ona wiedziała, że porozumienie ze starymi ludźmi, pełnymi fochów, będzie ją kosztowało dużo czasu i pieniędzy. Telefonowanie jest drogie, a jej pensja starcza zaledwie na pokrycie czynszu i koniecznych wydatków na jedzenie.

– Chętnie – kiwa głową Tarnina, a myśli o tym, że Hugo ma w mieszkaniu telefon.

Przyjechał po nią samochodem i zabrał ją do restauracji za miastem.

Jej nędzna pozycja powinna mu ułatwić rolę śmiałego zdobywcy, lecz on w kiepsko opłacanej postaci kelnerki widzi tajemnicze doświadczenie cudzoziemki i wdowy. Czuje się niepewnie. Jej uprzejmość jest jak pancierz, którego nie można przestrzelić. Chciałby na siebie zwrócić uwagę, zafascynować ją, zawrócić jej w głowie!

Starął się wymyślić dla niej coś interesującego. Zanim jeszcze dotarł do celu, zatrzymał samochód, żeby oprowadzić ją po ogrodzie zoologicznym, umieszczonym w parku wspaniałego, wiejskiego zamku. Spacerowali wśród małych i papug na tle gotyckich wież. Byli tam zupełnie sami, tylko wiejski ogrodnik zamiatał miotłą liście spadające na szerokie alejki. Minęli wilka, bobra, małpy i tygrysa i dotarli do wielkiego pola, ogrodzonego drucianą siatką, za którą znajdowały się strusie.

Było ich sześć. Kiedy zobaczyły Tarninę i Hugona, zbiegły się w ich kierunku. Skupiły się potem w grupkę przy płocie, wyciągały długie szyje, wpatrywały się w ludzi i wszystkie otwierały swe szerokie, płaskie dzioby. Otwierały je z niewiarygodną szybkością, jakby mówiły i przekrzykiwały się wzajemnie. Lecz dzioby te były beznadziejnie nieme i nie wydawały żadnego dźwięku.

Strusie były jak posłowie, którzy nauczyli się na pamięć ważnej wiadomości, lecz którym po drodze nieprzyjaciel wyciął struny głosowe, więc kiedy dotarli do celu, mogli już tylko bezgłośnie poruszać ustami.

Tarnina wpatrywała się w nie jak urzeczona, a strusie stale mówiły, coraz bardziej natarczywie, kiedy zaś po chwili odchodziła z Hugonem, biegły za nimi wzdłuż płotu i stale kłapały dziobami, jakby przed czymś ostrzegały, lecz ona nie wiedziała przed czym.

11

– To było jak ze strasznej bajki – mówiła Tarnina, krojąc pasztet. – Jakby chciały mi powiedzieć coś niesłychanie ważnego. Ale co? Co mi chciały powiedzieć?

Hugo tłumaczył, że to młode strusie, które tak właśnie się zachowują. Kiedy poprzednio był w tym ogrodzie zoologicznym, cała szóstka strusi również przybiegła do siatki i bezgłośnie otwierała dzioby.

Tarnina była jednak zdenerwowana. – Wie pan, zostawiłam coś w Czechach. Pacuszkę z różnymi papierami. Gdyby mi ją wysłali pocztą, mogłaby zostać skonfiskowana przez policję. Bibi latem chce się wybrać do Pragi. Obiecała mi, że to przywiezie. Ale teraz boję się, że strusie chciały mnie ostrzec. Że z tą pacuszką stało się coś złego.

Hugo wiedział, że Tarnina jest wdową i że jej mąż musiał wyemigrować ze względów politycznych.

– To jakieś polityczne dokumenty? – spytał.

Tarnina pojęła już dawno, że jeśli chce uczynić swoje życie zrozumiałym dla tutejszych ludzi, musi je uprościć. Trzeba by bowiem straszliwie długo tłumaczyć, dlaczego prywatne listy i dzienniki mogły zostać skonfiskowane i czemu właściwie tak bardzo jej na nich zależy. Dlatego też powiedziała:

– Tak, polityczne dokumenty.

Natychmiast przestraszyła się, że Hugo będzie chciał się dowiedzieć o tych dokumentach czegoś bardziej konkretnego, ale niepotrzebnie się obawiała. Czy kiedykolwiek ktoś ją o coś pytał? Ludzie czasami mówili jej, co sami myślą o jej kraju, ale doświadczenia Tarniny nie interesowały nikogo.

– A Bibi czy wie, co jest w tej paczce? – spytał Hugo.

– Nie – odparła Tarnina.

– To dobrze – stwierdził Hugo. – Niech jej pani nie zdradza prawdziwej zawartości, bo w ostatniej chwili mogłaby się przestraszyć i nie zabrać tego. Ludzie się okropnie boją, pani Tarnino. Bibi powinna

myśleć, że chodzi o coś całkiem bezwartościowego i zwykłego. Na przykład o pani miłosną korespondencję. Tak, niech jej pani powie, że w tej paczuszce są pani listy miłosne!

Hugo śmiał się ze swego pomysłu: – Listy miłosne! Tak! To nie przekracza jej horyzontów! Bibi jest w stanie to zrozumieć!

Tarnina myśli o tym, że listy miłosne są dla Huga czymś całkiem bezwartościowym i zwykłym. Nikomu nie przychodzi nawet do głowy, że mogła kogoś kochać i że było to ważne.

– Gdyby jej wyjazd przypadkiem nie doszedł do skutku, to może pani na mnie liczyć. Przywiozę to pani – dodał Hugo.

– Dziękuję – powiedziała Tarnina szczerze.

– Przywiozę to pani – powtarza Hugo – choćby mnie mieli zamknąć.

– Ale skąd! – protestuje Tarnina. – Panu nic takiego nie może się przytrafić! – I usiłuje mu wytłumaczyć, że zagranicznym turystom nie grozi w Czechach żadne niebezpieczeństwo. Życie w Czechach jest niebezpieczne tylko dla Czechów, ale ci sobie już nawet nie zdają z tego sprawy. Niespodziewanie mówiła o tym długo i w podnieceniu, bo znała ten kraj na pamięć, a ja mogę potwierdzić, że miała całkowitą rację.

Godzinę później trzymała przy uchu słuchawkę telefonu Hugona. Jej rozmowa z teściową nie przebiegała wcale lepiej niż poprzednia: – Nie daliście mi żadnego kluczyka! Przez całe życie wszystko przede mną ukrywaliście! Dlaczego mnie zmuszasz do przypominania sobie, w jaki sposób się wobec mnie zachowywaliście!

12

Skoro Tarninie tak bardzo zależy na wspomnieniach, to czemu nie wróci do Czech? Emigranci, którzy nielegalnie opuścili kraj po 1968 roku, już dawno zostali objęci amnestią i zachęcano ich do powrotu. Czego się więc Tarnina obawia? Jest przecież zbyt mało ważną postacią, żeby w kraju mogła mieć jakieś kłopoty!

Tak, mogłaby bez obawy wrócić. A jednak nie może.

W kraju wszyscy męża zdradzili. Mówi sobie, że gdyby do nich wróciła, także i ona by go zdradziła.

Nikt się za nim nie ujął, kiedy go przenosili na coraz gorsze stanowiska, a wreszcie całkiem wyrzucili z pracy. Nawet jego przyjaciele. Oczywiście Tarnina wie, że w głębi duszy się z nim solidaryzowali, milczeli zaś tylko ze strachu. Lecz im bardziej się solidaryzowali, tym bardziej wstydziła się za swój strach, więc kiedy spotykali go na ulicy, udawali, że go nie widzą. Oboje małżonkowie przez delikatność zaczęli sami unikać ludzi, żeby nie przeciążać ich sumienia. Wkrótce czuli się jak para trędowatych. Kiedy uciekli z Czech, byli koledzy podpisali publiczne oświadczenie, w którym potępili i oszkalowali jej męża. Uczynili to z pewnością tylko dlatego, aby nie stracić posady, jak wcześniej stracił ją mąż Tarniny. Ale uczynili to. Wykopali w ten sposób między sobą a parą emigrantów przepaść, przez którą Tarnina nie ma już ochoty skakać.

Kiedy pierwszej nocy po ucieczce zbudzili się w małym alpejskim hoteliku i uświadomili sobie, że są sami, oderwani od świata, w którym rozgrywało się ich dotychczasowe życie, poczuła ulgę i odprężenie. Miało na to wpływ miejsce w górach, gdzie byli cudownie sami. Wokół nich panowała niewiarygodna cisza. Tarnina potraktowała tę ciszę jako niespodziewany dar i pomyślała, że mąż opuścił Czechy po to, by uniknąć prześladowań, a ona po to, by odnaleźć ciszę: ciszę dla męża i dla siebie; ciszę dla miłości.

Kiedy mąż umarł, ogarnęła ją nagła tęsknota za krajem, w którym ich dziesięcioletnie życie pozostawiło wszędzie swoje ślady.

W nagłym sentymentalnym odruchu rozesłała zawiadomienie o śmierci dziesiątkom znajomych. Nie dostała żadnej odpowiedzi.

Miesiąc później za resztą zaoszczędzonych pieniędzy pojechała nad morze. Przebrała się w kostium kąpielowy i zjadła całą torbę proszków nasennych. Potem wypłynęła daleko w morze. Przypuszczała, że proszki spowodują zmęczenie i że się utopi. Lecz zimna woda i sportowe ruchy (była zawsze świetną pływaczką) nie pozwoliły jej zasnąć, a proszki były pewnie słabsze, niż sądziła.

Wróciła na brzeg, poszła do pokoju i spała przez dwadzieścia godzin. Kiedy się obudziła, była w niej cisza i spokój. Zdecydowała się żyć w ciszy i dla ciszy.

13

Srebrnoniebieska poświata telewizora Bibi oświeciła obecnych: Tarninę, Żuzu, Bibi i jej męża Dede, który był agentem handlowym i wrócił wczoraj po czterodniowej nieobecności. W pokoju czuć było słaby zapach moczu, a na ekranie widniała wielka, okrągła, stara, łysa głowa, do której niewidzialny redaktor adresował prowokacyjne pytanie:

– Przeczytaliśmy w pańskich pamiętnikach kilka szokujących wyznań erotycznych.

Był to stały program; popularny redaktor zapraszał do rozmowy kilku autorów, którzy w minionym tygodniu wydali książki.

Wielka łysa głowa uśmiechała się z próżnością: – Ależ skąd! Nic szokującego! Po prostu ściśle wyliczenie! Proszę policzyć ze mną. Moje życie erotyczne rozpoczęło się w wieku piętnastu lat.

– Okrągły, stary łeb rozejrzał się z dumą wokół siebie: – Tak, w wieku piętnastu lat. Dziś mam sześćdziesiąt pięć. Mam więc za sobą pięćdziesiąt lat życia erotycznego. Mogę sądzić, a jest to bardzo umiarkowana ocena, że kochałem się przeciętnie dwa razy w tygodniu. Oznacza to sto razy w ciągu roku, co daje pięć tysięcy razy w ciągu całego życia. Liczmy dalej. Skoro orgazm trwa pięć sekund, mam za sobą dwadzieścia pięć tysięcy sekund orgazmu, co daje w sumie sześć godzin pięćdziesiąt sześć minut orgazmu. To chyba niezłe, co?

Wszyscy w pokoju z powagą pokiwali głowami, a Tarnina wyobraziła sobie łysogo starca, jak przeżywa nieustanny orgazm, jak się skręca i chwyta za serce, jak po piętnastu minutach wypada mu z ust sztuczna szczeka, a po następnych pięciu minutach pada martwy. Parsknęła śmiechem.

– Z czego się śmiesz? – skarciła ją Bibi. – To nie taki zły bilans! Sześć godzin i pięćdziesiąt sześć minut orgazmu.

Żuzu powiedziała: – Ja przez wiele lat w ogóle nie znałam orgazmu. Ale od dłuższego czasu już mam orgazm całkiem normalnie.

Wszyscy rozmawiali o orgazmie Żuzu, podczas gdy na ekranie denerwowała się inna twarz.

– Co on się tak złości? – spytał Dede.

Pisarz na ekranie wykrzykiwał: – To bardzo ważne. Bardzo ważne. Wyjaśniam to w swojej książce.

– Co jest bardzo ważne? – dopytywała się Bibi.

– Że spędził dzieciństwo w wiosce Ruru – wyjaśniła Tarnina.

Mężczyzna, który spędził dzieciństwo w wiosce Ruru, miał długi nos, który ciążył mu jak odważnik, więc jego głowa pochylała się coraz niżej i chwilami zdawało się, że wypadnie z ekranu do pokoju. Twarz obciążona nosem mówiła z wielkim przejęciem:

– Wyjaśniam to w swojej książce. Cała moja twórczość związana jest z prostą wioską Ruru, a kto tego nie rozumie, nie jest w ogóle w stanie pojąć mojego dzieła. Nawet moje pierwsze wiersze napisałem właśnie tam. Tak. Uważam to za niezwykle ważne.

– Ale są faceci – mówiła Żuzu – z którymi nigdy nie mam orgazmu.

– Proszę nie zapominać – kontynuował pisarz, a jego twarz była coraz bardziej podniecona – że właśnie w Ruru jechałem po raz pierwszy na rowerze. Tak, piszę o tym obszernie w mojej książce. A przecież państwo wiecie, co w mojej twórczości oznacza rower. To symbol. Rower to dla mnie pierwszy krok ludzkości ze świata patriarchalnego do świata cywilizacji. Pierwszy flirt z cywilizacją. Flirt dziewczicy przed pierwszym pocałunkiem. Jeszcze dziewictwo, ale już grzech.

– To prawda – podchwyciła Żuzu. – Moja koleżanka Tanaka przeżyła pierwszy orgazm jako dziewczica, podczas jazdy na rowerze.

Wszyscy rozgadali się o orgazmie Tanaki, a Tarnina spytała Bibi: – Mogę od ciebie zadzwonić?

14

W sąsiednim pokoju zapach moczu był silniejszy. Spała tam córka Bibi.

– Ja wiem, że nie rozmawiacie ze sobą – szeptała Tarnina – ale ja w żaden sposób nie mogę tego od niej wydostać. Jedyne szansa, to żebyś ty tam pojechał i zabrał moje rzeczy. Jeśli nie znajdzie kluczyka, zmusz ją, żeby wyłamała zamek. To są moje prywatne rzeczy. Listy i tak dalej. Mam do nich prawo.

– Tarnino, nie zmuszaj mnie, żebym z nią rozmawiał.

– Tato, zmusz się i zrób to dla mnie. Ona się ciebie boi i nie odważy się tobie odmówić.

– Wiesz co, jak przyjadą ci twoi znajomi do Pragi, dam im dla ciebie kozuch. To ważniejsze niż stare listy.

– Ale ja nie chcę kozucha. Chcę tę paczuszkę!

– Mów głośniej! Nie słyszę! – krzyczał ojciec, ale jego córka specjalnie mówiła szeptem, bo nie chciała, żeby Bibi słyszała czeskie słowa, które natychmiast zdradziłyby, że dzwoni za granicę i że właściciel telefonu będzie drogo płacił za każdą sekundę rozmowy.

– Że zależy mi na tej paczusce, a nie na kozuchu! – powtórzyła.

– Tobie zawsze zależy na głupstwach!

– Tato, ten telefon jest strasznie drogi. Naprawdę nie możesz do niej pojechać?

Rozmowa była trudna. Ojciec co chwila prosił ją, żeby powtarzała zdania i z uporem odmawiał jazdy do teściowej. Na koniec powiedział:

– Zadzwoń do brata! Niech on pójdzie. Może mi przywieźć tę paczuszkę.

– Ale brat jej wcale nie zna!

– Właśnie o to chodzi – śmiał się ojciec. – W przeciwnym razie nigdy by do niej nie pojechał.

Tarnina szybko się zastanowiła. To nie jest taki głupi pomysł, żeby wysłać do teściowej brata, który jest energiczny i władczy. Ale Tarnina nie chce do niego dzwonić. Od czasu, kiedy ona jest za granicą, nie wymienili z sobą ani jednego listu. Brat miał doskonale płatną posadę i zachował ją tylko dzięki temu, że zerwał z siostrą emigrantką wszelkie kontakty.

– Tato, ja nie mogę do niego dzwonić. Nie mógłbyś ty sam jakoś mu tego wytłumaczyć? Błagam cię, tato!

15

Tata był malutki i cherlawy, a kiedy wcześniej prowadził się z Tarniną po ulicy, zachowywał się dumnie, jakby całemu światu prezentował pomnik jednej heroicznej nocy, w czasie której ją stworzył. Zięcia nigdy nie lubił i prowadził z nim nieustanną walkę. Kiedy przed chwilą proponował Tarninie, że pośle jej kozuch (został mu pewnie po jakiejś zmarłej krewnej), to powodowała nim nie tyle troska o zdrowie córki, lecz stara chęć współzawodnictwa. Chciał, żeby wybrała ojca (kozuch), a nie męża (paczuska listów).

Tarninę przerażało, że los jej paczki spoczywa w nieprzyjaznych rękach ojca i teściowej. Wyobrażała sobie coraz częściej, że jej pamiętniki są czytane przez obce oczy, i pomyślała, że obce spojrzenia są jak deszcz, który zamazuje napisy na ścianach. Albo jak światło, które przedwcześnie padnie na papier fotograficzny w czasie wywoływania i zniszczy obraz.

Uświadomiła sobie, że wartość i sens jej pisemnych pamiątek polegają na tym, że są przeznaczone *tylko dla niej*. W chwili kiedy tracą tę właściwość, zerwie się intymna nić, która ją z nimi łączy, a ona już nie będzie w stanie ich czytać własnymi oczami, lecz jedynie oczami publiczności zapoznającej się z obcymi dokumentami. Ten, kto je pisał, stanie się dla niej także obcą postacią. Uderzające podobieństwo, jakie mimo wszystko pozostanie między nią a autorem notatek, będzie na nią działało jak parodia i szyderstwo. Nie, nie mogłaby już sama czytać swoich zapisków przeczytanych obcymi oczami.

Opanowała ją więc niecierpliwość. Chciała mieć te notesy i listy jak najprędzej u siebie, dopóki obraz przeszłości w nich zawarty nie został jeszcze zniszczony.

16

W knajpie pojawiła się Bibi i usiadła przy barku: – Cześć, Tarnino. Daj mi whisky.

Bibi przeważnie piła kawę, a czasami porto. Prośba o whisky świadczyła, że znajduje się w wyjątkowej sytuacji.

– Jak idzie pisanie? – spytała Tarnina, nalewając do kieliszka alkohol.

– Ech, musiałabym mieć lepszy humor – odparła Bibi. Wypiła whisky jednym haustem i zamówiła następną.

Do knajpki weszło kilku innych gości. Tarnina zapytała wszystkich, co zamawiają, wróciła do lady, nałapała przyjaciółce drugą whisky i poszła obsłużyć klientów. Kiedy wróciła, Bibi powiedziała:

– Nie mogę już nawet patrzeć na Dedego. Kiedy tylko wraca z podróży, przez dwa dni wyleguje się w łóżku. Przez dwa dni nie zdejmuje piżamy! Wytrzymałabyś to? A najgorsze, kiedy chce się ze mną pieprzyć. Nie może zrozumieć, że pieprzenie w ogóle, ale to w ogóle, mnie nie interesuje. Muszę z nim skończyć. Stale przygotowuje się do tego swojego głupiego urlopu. Leży w piżamie w łóżku i studiuje atlas. Najpierw chciał do Pragi, ale już mu się znudziło. Teraz znalazł jakąś książkę o Irlandii i za wszelką cenę chce jechać do Irlandii.

– Więc jedziecie na wakacje do Irlandii? – spytała ze ściśniętym gardłem Tarnina.

– *My? My* nie jedziemy nigdzie. Ja zostaję tutaj i będę pisać. Nigdzie mnie nie wyciągnie. Nie potrzebuję Dedego. On się w ogóle mną nie interesuje. Wyobraź sobie, że jeszcze nawet mnie nie spytał, co piszę. Zrozumiałam, że nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

Tarnina chciała zapytać: – Więc nie pojedziesz do Czech? – Miała jednak ściśnięte gardło i nie była w stanie wydobyć głosu.

W tej chwili weszła do knajpki Japonka Żuzu i wskoczyła na barowy stołek obok Bibi. Zwróciła się do nich z pytaniem: – Potrafiłybyście się kochać w miejscu publicznym?

– To znaczy gdzie? – spytała Bibi.

– Na przykład tutaj w knajpce, na ziemi, w obecności wszystkich. Albo w kinie w czasie seansu.

– Cicho – krzyknęła Bibi w dół, gdzie przy nogach jej stołka piszczało dziecko. Potem powiedziała: – Czemu nie? Przecież nie ma w tym nic nienaturalnego. Dlaczego miałabym się wstydzić tego, co naturalne?

Tarnina znów chciała zadać pytanie, czy Bibi pojedzie do Czech. Uświadomiła sobie jednak, że jest ono zbyt oczywiste. Było aż nadto jasne, że Bibi do Czech nie pojedzie.

Z kuchni weszła do sali właścicielka knajpki i uśmiechnęła się do Bibi: – Co słyszała? – Podała jej rękę.

– Przydałaby się rewolucja – oświadczyła Bibi. – Coś się powinno stać! Wreszcie coś się powinno stać!

W nocy śniły się Tarninie strusie. Stały przy płocie i mówiły jeden przez drugiego. Bała się ich. Nie mogła się ruszyć z miejsca, tylko jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ich nieme dzioby. Trzymała kurczowo zaciśnięte usta. Miała w nich bowiem złoty pierścień i bała się o niego.

17

Czemu wyobrażam sobie, że miała w ustach złoty pierścień? Nic na to nie poradzę, że widzę ją właśnie tak. Przypomina mi się nagle zdanie: „Cichy, jasny, metaliczny, dźwięk; jak gdyby złoty pierścień wpadł do srebrnej wazy.”

Kiedy Thomas Mann był jeszcze bardzo młody, napisał naiwnie urocze opowiadanie o śmierci. Śmierć jest tam piękna, jak piękna jest dla tych wszystkich, którzy o niej śnią, którzy są bardzo młodzi, a śmierć jest dla nich jeszcze nierzeczywista i urzekająca jak błękitnawy zew dali.

Młody człowiek, śmiertelnie chory, wsiada do pociągu i wysiada później na nieznaną stację, idzie do miasta, które jest mu obce, i w pewnym domu wynajmuje pokój od starej kobiety o czole pokrytym liszajami. Nie, nie chcę opowiadać, co się dalej działo w tym wynajętym mieszkaniu; chciałbym jedynie przypomnieć jedno drobne zdarzenie. Kiedy ten chory młody człowiek przechodził przez pokój, „wydawało mu się, że między odgłosem swych kroków słyszy obok, w sąsiednich pomieszczeniach, jakiś dźwięk: cichy, jasny, metaliczny dźwięk; ale może mu się tylko zdawało. Jak gdyby pierścień wpadł do srebrnej wazy, pomyślał...”

To małe, akustyczne zdarzenie nie ma w opowiadaniu żadnej kontynuacji ani wyjaśnienia. Z punktu widzenia samej fabuły mogłoby zostać z powodzeniem pominięte. Ten dźwięk po prostu się wydarzył; ot, tak sobie, nic więcej.

Myślę, że Thomas Mann pozwolił, aby rozległ się ten „cichy, jasny, metaliczny dźwięk”, po to, żeby powstała cisza. Potrzebował jej, aby było słyszeć piękno (bo śmierć, o której opowiadał, to *śmierć-piękno*), a piękno, żeby mogło być zauważalne, potrzebuje pewnej minimalnej dozy ciszy (której miernik stanowi właśnie dźwięk złotego pierścienia spadającego do srebrnej wazy).

(Tak, zdaję sobie sprawę, że nie wiecie, o czym mówię, bo przecież piękno już dawno zginęło. Zniknęło pod powierzchnią hałasu – hałasu słów, samochodów, muzyki, liter – w którym nieustannie żyjemy. Zatonęło jak Atlantyda, zostało po nim tylko słowo, którego sens staje się z roku na rok mniej zrozumiałe.)

Po raz pierwszy Tarnina usłyszała tę ciszę (drogocenną jak odłamek marmurowej rzeźby z zatopionej Atlantydy), kiedy zbudziła się po ucieczce z Czech w otoczonym lasami alpejskim hotelu. Ponownie usłyszała ją, gdy pływała w morzu z żołądkiem pełnym proszków, które zamiast śmierci przyniosły jej nieoczekiwany spokój. Pragnie tę ciszę chronić w swoim ciele i swoim ciałem. Dlatego widzę ją w jej śnie, jak stoi na wprost drucianej siatki i w kurczowo zaciśniętych ustach trzyma złoty pierścień.

Na wprost niej sześć długich szyj z malutkimi główkami i płaskimi dziobami, które bezgłośnie otwierają się i zamykają. Nie rozumie strusi. Nie wie, czy jej grożą, ostrzegają, zachęcają czy proszą. A

ponieważ nic nie wie, ogarnia ją trwoga. Boi się o złoty pierścień (ten stroik ciszy) i chroni go kurczowo w ustach.

Tarnina nie dowie się nigdy, co jej przyszły powiedzieć. Ale ja wiem. Nie zjawily się po to, by ją ostrzegać, strofować czy grozić. W ogóle się nią nie interesują. Każdy z nich przybiegł, by opowiedzieć jej o sobie samym. Jak jadł, spał, jak biegł do płotu i co za nim widział. Ze spędził swe ważne dzieciństwo w wiosce Ruru. Że jego ważny orgazm trwał sześć godzin. Że za płotem pojawiła się babka w chustce zawiązanej na głowie. Że pływał, zachorował, a potem wyzdrowiał. Że kiedy był młody, jeździł na rowerze, a dziś zjadł worek trawy. Wszystkie strusie stoją przed Tarniną i opowiadają jej jeden przez drugiego, bojowo, uporczywie i agresywnie, bo nie ma na świecie nic ważniejszego niż to, co chcą jej zakomunikować.

18

W kilka dni później pojawił się w knajpce Banaka. Był zupełnie pijany, usiadł na stołku przy barze, dwukrotnie z niego spadł i ponownie się na niego wdrapał. Zamówił calvados i położył głowę na stole. Tarnina zauważyła, że płacze.

– Co panu się stało, panie Banaka? – spytała.

Banaka spojrział na nią zażalonym wzrokiem i pokazał palcem na swoją pierś: – Mnie nie ma, rozumie pani? Nie ma! Ja nie istnieję!

Potem wyszedł do toalety, a z toalety prosto na ulicę, nie zapłaciwszy nawet rachunku.

Tarnina opowiedziała o tym Hugonowi, a ten dla wyjaśnienia pokazał jej stronę gazety, na której zamieszczono recenzje z książek, a wśród nich również informację o książce Banaki, składającą się z czterech linijek drwin.

Przypadek Banaki, który wskazywał na własną pierś i płakał, że nie istnieje, przypomina mi wiersz Goethego ze zbioru *Dywan Zachodu i Wschodu*: „Czy człowiek żyje, kiedy inni żyją?” W pytaniu Goethego kryje się tajemnica wszelkiego pisarstwa. Dzięki pisaniu książek człowiek zmienia się we wszechświat (mówi się przecież o uniwersum Balzaca, uniwersum Czechowa, uniwersum Kafki), a cechą wszechświata jest właśnie to, że jest jedyny. Istnienie innego wszechświata zagraża więc samej jego istocie.

Dwaj szewcy, jeśli nie mają akurat warsztatu na tej samej ulicy, mogą żyć razem we wspaniałej harmonii. Jeśli jednak zaczną pisać książki o losie szewca, przeszkadzają jeden drugiemu i pytają: „Czy szewc żyje, kiedy żyją inni szewcy?”

Tarninie wydaje się, że jedno obce spojrzenie może zniszczyć wartość jej dzienników intymnych, a Goethe ma wrażenie, że spojrzenie jednego jedyne człowieka, które nie spocznie na jego wierszach, podaje w wątpliwość samo istnienie Goethego. Różnica między Tarniną a Goethem jest różnicą między człowiekiem a pisarzem.

Ten, który pisze książki, jest albo wszystkim (jedynym wszechświatem dla siebie i wszystkich innych), albo *niczym*. A ponieważ wszystko nie będzie nigdy żadnemu człowiekowi dane, my wszyscy, którzy piszemy książki, jesteśmy *niczym*. Jesteśmy nie uznawani, zazdrośni, zranieni i życzymy śmierci temu drugiemu. Pod tym względem jesteśmy tacy sami: Banaka, Bibi, ja i Goethe.

Niepowstrzymany rozwój masowej grafomanii wśród polityków, taksówkarzy, matek karmiących, kochanek, morderców, złodziei, prostytutek, prefektów policji, lekarzy i pacjentów udowadnia mi, że każdy człowiek bez wyjątku nosi w sobie pisarstwo jako własną możliwość, ludzkość więc pełnym prawem mogłaby wybiec na ulicę i krzyknąć: Wszyscy jesteśmy pisarzami!

Każdy bowiem cierpi z tego powodu, że nie słyszany i nie zauważony zniknie w obojętnym wszechświecie i dlatego zawczasu pragnie przemienić się we wszechświat słów.

Kiedy pewnego dnia (a stanie się to wkrótce) w każdym człowieku obudzi się pisarz, nastąpi czas ogólnej głuchoty i niezrozumienia.

19

Hugo pozostaje dla niej już ostatnią nadzieją. Zaprosił ją na kolację, a ona tym razem chętnie przyjęła zaproszenie.

Hugo siedzi przy stole na wprost niej i myśli o jednym: Tarnina stale mu ucieka. Czuje się wobec niej niepewnie i nie potrafi jej zaatakować. A ponieważ cierpi z tego powodu, że nie ma odwagi dążyć do celu tak skromnego i konkretnego, czuje w sobie tym większe pragnienie zdobycia świata, tej niekonkretnej

nieskończoności. Wyciąga z kieszeni czasopismo, otwiera i podaje Tarninie. Na otwartej stronie widnieje spory artykuł podpisany jego nazwiskiem.

Potem rozpoczyna długą przemowę. Mówi o czasopiśmie, które jej pokazał. Tak, na razie czyta je dość mało ludzi poza granicami ich miasta, ale jest to jednak rzecz interesująca, na wysokim poziomie teoretycznym. Ludzie, którzy robią to pismo, są odważni i w przyszłości będą bardzo wiele znaczyć. Hugo mówi i mówi, a jego słowa chcą być metaforą erotycznej agresywności, defiladą jego siły. Jest w nich cudowna gotowość abstrakcji, która przybyła zastąpić nie sprawdzający się konkret.

A Tarnina patrzy na Hugona i przemałowuje jego twarz. Z tych duchowych ćwiczeń zrodziło się już przyzwyczajenie. Nie potrafi inaczej patrzeć na mężczyzn. Kosztuje to ją wiele wysiłku, mobilizuje całą wyobraźnię, ale po chwili brązowe oczy Hugona naprawdę zmieniają kolor i stają się niebieskie. Tarnina wpatruje się w nie z uporem, bo jeśli błękitny kolor ma nie zniknąć, to musi go utrzymywać całą mocą swego spojrzenia.

Wzrok Tarniny deprymuje Hugona, więc tym więcej mówi i mówi. Jego oczy są wspaniale błękitne, a czoło po bokach lekko się wydłuża; wreszcie z jego włosów z przodu pozostaje tylko wąski trójkąt zmierzający ostrzem do dołu.

– Zawsze swoją krytykę kierowałem pod adresem zachodniego świata. Lecz niesprawiedliwość, jaka u nas panuje, mogłaby nas prowadzić do fałszywej pobłażliwości względem innych krajów. Dzięki pani, tak, dzięki pani, Tarnino, zrozumiałem, że problem władzy wszędzie jest jednakowy, u was, u nas, na Zachodzie i na Wschodzie. Nie może nam chodzić o to, by zastąpić jeden rodzaj władzy innym, ale by kwestionować samą *zasadę* władzy i to kwestionować wszędzie.

Hugo pochyła się ku Tarninie przez stół, a ona czuje z jego ust kwaśny odór, który wytrąca ją z duchowego ćwiczenia i nad czołem Hugona znów nisko rosną włosy. A on powtarza, że wszystko to rozumiał tylko dzięki niej.

– Jak to? – przerywa mu Tarnina. – Przecież myśmy o tym nigdy nie rozmawiali!

W twarzy Hugona jest już tylko jedno oko niebieskie, a i ono z wolna zaczyna brązowieć.

– Nie potrzebowała mi pani nic mówić, pani Tarnino. Wystarczy, że wiele o pani myślałem.

Kelner pochylił się nad nimi i ustawiał na stole talerze z przystawkami.

– Przeczytałem to w domu – powiedziała Tarnina i wsunęła czasopismo do torebki. Potem dodała: – Bibi nie pojedzie do Pragi.

– Wiedziałem, że tak się stanie – odparł Hugo i dorzucił: – Ale proszę się nie obawiać, pani Tarnino. Ja pani obiecałem i sam tam pojedę.

20

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Rozmawiałem z twoim bratem. Pojedzie do teściowej w tę sobotę.

– Naprawdę? A wytłumaczyłeś mu wszystko? Powiedziałeś mu, że jeśli teściowa nie znajdzie klucza, to musi po prostu wyłamać zamek?

Tarnina odłożyła słuchawkę i czuła się upojona.

– Dobra wiadomość? – pytał Hugo.

– Tak – potwierdziła.

W uszach słyszała jeszcze głos laty, wesoly i zdecydowany, i pomyślała sobie, że go krzywdziła.

Hugo wstał i podszedł do barku. Wyjął stamtąd dwa kieliszki i nalał do nich whisky:

– Proszę ode mnie dzwonić, pani Tarnino, kiedy pani chce i jak pani chce. Ja tylko mogę powtórzyć to, co powiedziałem już wcześniej. Jest mi z panią dobrze, choć wiem, że pani nie będzie nigdy ze mną spać.

Zmusił się, by powiedzieć *wiem, że pani nie będzie nigdy ze mną spać* po to, żeby udowodnić, iż tej nieprzystępnej kobiecie potrafi powiedzieć w oczy pewne słowa (choć w ostrożnej, negatywnej formie). Czuł się niemal jak zuchwalec.

Tarnina wstała i podeszła do Hugona, żeby wziąć z jego rąk kieliszek. Myślała o bracie: los ich rozdzielił, ale mimo to kochają się i potrafią sobie pomóc.

– Za powodzenie pani planów! – powiedział Hugo i wypił zawartość kieliszka.

Tarnina również wypila swoją whisky i odstawiła kieliszek na stół. Chciała teraz usiąść, ale nim zdołała to zrobić, Hugo ją objął.

Nie broniła się, tylko odwróciła głowę. Usta jej się skrzywiły, a czoło pokryły zmarszczki.

Objął ją, sam nawet nie wiedząc jak. W pierwszej chwili sam się tego przestraszył i gdyby go Tarnina odepchnęła, puściłby ją i pewnie by jeszcze przeprosił. Ale Tarnina nie chciała się bronić, a jej skrzywiona twarz i odwrócona głowa niesłychanie go podniecały. Tych kilka kobiet, które do tej pory poznał, nie reagowało nigdy jakoś specjalnie na jego dotknięcia. Jeśli zdecydowały się pójść z nim do łóżka, rozbierały się i ze spokojem, a nawet z pewną obojętnością czekały, co z nimi zrobi. Skrzywienie twarzy Tarniny nadało ich uściskom znaczenie, o jakim nigdy mu się do tej pory nie śniło. Obejmował ją namiętnie i starał się zerwać z niej ubranie.

Ale czemu Tarnina się nie broni?

Już trzy lata myślała z obawą o takiej sytuacji. Trzy lata żyje pod jej hipnotyzującym spojrzeniem. I sytuacja owa pojawiła się dokładnie taka, jaką sobie wyobraziła. Dlatego nie broniła się. Przyjęła ją jako coś nieodwracalnego.

Odwracała tylko głowę. Lecz to nie pomogło. Obraz męża był tu obecny i kiedy jej twarz się odwracała, on także przesuwiał się po pokoju. Był to ogromny obraz groteskowo wielkiego męża, męża ponadnaturalnej wielkości. Tak, dokładnie taki sam, jak go sobie przez trzy lata wyobrażała.

A potem była już zupełnie naga i Hugo, podniecony jej rzekomym podnieceniem, stwierdził nagle ze zdziwieniem, że łono Tarniny jest suche.

21

Kiedyś robiono jej mały zabieg chirurgiczny bez narkozy i ona zmusiła się wtedy do powtarzania w myślach angielskich czasowników nieregularnych. Teraz starała się zachowywać podobnie i skoncentrowała myśli na swoich notesach. Myślała o tym, że wkrótce znajdą się w bezpiecznym miejscu, u ojca, i że ten miły chłopiec Hugo niedługo je przywiezie. Miły chłopiec Hugo już od dłuższej chwili podrygiwał na niej w ostrym tempie, ale ona dopiero teraz zauważyła, że w dziwny sposób unosi się na rękach i kręci biodrami w różne strony. Zrozumiała, że nie jest zadowolony z jej reakcji, że wydaje mu się zbyt mało podniecona i dlatego stara się wchodzić w nią pod różnymi kątami, aby gdzieś w jej wnętrzu odnaleźć tajemniczy punkt wrażliwości, najwyraźniej przed nim ukrywany.

Nie chciała patrzeć na jego pracowite usiłowania i odchyłała głowę. Starowała się uporządkować myśli i znów skierować je na swoje notesy. Zmusiła się do powtarzania w myślach kolejności ich wakacji, tak jak to się do tej pory udało jej częściowo zrekonstruować: pierwsze wakacje nad małym czeskim jeziorkiem, później Jugosławia, znów to samo jeziorko i pewne czeskie uzdrowisko, ale kolejność nie jest całkiem jasna. W 1964 roku byli w Tatrach, w następnym roku w Bułgarii, potem ślad się urywa. W 1968 roku przez całe wakacje byli w Pradze, rok później pojechali do uzdrowiska, a potem była już emigracja i ostatnie wakacje we Włoszech.

Hugo wyszedł z niej teraz i stara się odwrócić jej ciało. Zorientowała się, że chce, aby ukłękła i oparła się na łokciach. Pomyślała w tym momencie, że Hugo jest młodszy, i zawstydziła się. Starowała się jednak pohamować w sobie wszelkie uczucia i spełnić jego życzenie z całkowitą obojętnością. Po chwili poczuła twarde uderzenie jego ciała na swoim siedzeniu. Wiedziała, że chce ją zaszokować swoją siłą i wytrzymałością i że toczy jakąś decydującą walkę, że zdaje maturę, w czasie której ma udowodnić, że ją pokona i że jest jej godzien.

Nie przypuszczała, że Hugo jej nie widzi. Przelotne spojrzenie na pośladki Tarniny (na otwarte oko jej dojrzałych i pięknych pośladków, oko, które się w niego bezlitośnie wpatrywało), podnieciło go tak bardzo, że natychmiast zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać. On teraz także starał się uporczywie myśleć o czymś innym (to była jedyna rzecz, w której byli do siebie podobni), żeby dać radę jeszcze przez chwilę się z nią kochać.

A ona widziała na wprost siebie, na białej szafie, wielką twarz swego męża, więc zamknęła szybko oczy i powtarzała sobie w duchu kolejność wakacji, jakby to były czasowniki nieregularne: najpierw wakacje nad jeziorem; potem Jugosławia, jezioro, uzdrowisko, albo uzdrowisko, Jugosławia, jezioro; potem Tatry, dalej Bułgaria i ślad ginie; następnie Praga, uzdrowisko i wreszcie Włochy.

Głośny oddech Hugona wytrącił ją ze wspomnień. Otworzyła oczy i na białej szafie dostrzegła twarz męża.

Hugo też nagle otworzył oczy. Zobaczył oko pośladków Tarniny i rozkosz poraziła go jak piorun.

Kiedy brat odwiedził teściową Tarniny, nie musiał wyłamywać zamka. Szuflada nie była zamknięta, a w środku znajdowało się wszystkich jedenaście notesów. Nie leżały w żadnym opakowaniu, ale luźno poukładane. Listy także znajdowały się obok i tworzyły bezładny stos papierów. Brat wszystko to poukładał w walizeczce i zawiózł do ojca.

Tarnina prosiła ojca przez telefon, żeby wszystko pieczołowicie zapakował i zakleił, a przede wszystkim, żeby on ani brat nie czytali niczego.

Zapewnił ją urażonym tonem, że nawet by mu nie przyszło do głowy naśladować teściową i czytać coś, co go nie dotyczy. Ale ja wiem (a Tarnina także), że są spojrzenia, których żaden człowiek sobie nie podaruje. Na przykład na wypadek samochodowy albo na czyjś list miłosny.

Intymne papiery znalazły się więc wreszcie u ojca. Ale czy Tarninie jeszcze na nich zależy? Czy nie powiedziała sobie już sto razy, że obce spojrzenia są jak deszcz, który zmywa napisy?

Nie, myliła się. Pragnie ich jeszcze bardziej, niż przedtem, są dla niej jeszcze droższe. To są obecnie notatki splamione i zgwałcone, tak jak i ona jest zgwałcona i skalana, łączy je więc – ją i notatki – wspólny siostrzany los. Jeszcze mocniej jej na nich zależy.

Czuje się jednak zhańbiona.

Kiedyś, bardzo dawno temu, kiedy była jeszcze siedmioletnim dzieckiem, stryj zaskoczył ją nagą w sypialni. Okropnie się wstydziła, a jej wstyd przemienił się w upór. Sama sobie złożyła uroczystą przysięgę, że już nigdy w życiu na niego nie spojrzy. Mogli ją upominać, krzyczeć, wyśmiewać się z niej, lecz nigdy nie podniosła oczu na stryja, który często przychodził do nich z wizytą.

Teraz znalazła się w podobnej sytuacji. Była wdzięczna ojcu i bratu, ale nie chciała ich więcej widzieć. Była pewna bardziej niż przedtem, że już nigdy do nich nie wróci.

23

Nieoczekiwany sukces seksualny przyniósł Hugonowi równie nieoczekiwane rozczarowanie. Pomimo, że mógł się z nią kochać, kiedy chciał (nie mogła mu odmawiać czegoś, na co już raz wyraziła zgodę), to jednak czuł, że nie udało mu się jej zafascynować ani olśnić. Och, dlaczego to nagie ciało pod jego ciałem jest tak obojętne, tak nieosiągalne, tak odległe i obce! Przecież chciał uczynić ją częścią swego wewnętrznego świata, tego wspaniałego wszechświata zbudowanego z jego myśli i krwi!

Siedzi na wprost niej w kawiarni i mówi: – Chcę napisać książkę, Tarnino, książkę o miłości, tak, o sobie i o lobie, o nas dwojgu, nasz najintymniejszy dziennik, dziennik dwojga naszych ciał. Tak, chcę pokonać wszystkie zahamowania i powiedzieć o sobie wszystko, wszystko, kim jestem i co myślę, będzie to równocześnie książka polityczna, polityczna książka o miłości i miłosna książka o polityce...

Tarnina patrzy na Hugona, a on nagle nie wytrzymuje jej spojrzenia i traci wątek. Chciał ją przyjąć do wszechświata swych myśli i krwi, lecz ona jest doskonale zamknięta we własnym świecie, więc jego słowa, nie odebrane, stają się w ustach coraz cięższe, a ich strumień – coraz wolniejszy:

– ...miłosna książka o polityce, tak, bo świat musi być stworzony na miarę człowieka, na naszą miarę, na miarę naszych ciał, twego ciała, Tarnino, i mojego ciała, tak, żeby człowiek mógł już wreszcie inaczej się całować i inaczej kochać...

Słowa stają się coraz cięższe, jak wielkie kęsy nierozgryzionego mięsa. Hugo umilkł. Tarnina była piękna i poczuł do niej nienawiść. Wydawało mu się, że nadużywa swego losu. Stała na swej przeszłości emigrantki i wdowy jak na drapaczu chmur fałszywej pychy, skąd patrzy na wszystkich z góry. A Hugo z zazdrością myśli o swej własnej wieży, którą próbuje wznieść na wprost jej drapacza chmur i której ona nie chce zauważyć: wieży zbudowanej z opublikowanego artykułu i z przygotowywanej książki o ich miłości.

Nagle Tarnina spytała: – Kiedy pojedziesz do Pragi?

A Hugo pomyślał w tej chwili, że nigdy go nie kochała i że była z nim tylko dlatego, bo potrzebuje, żeby ktoś pojechał do Pragi. Przepeliło go niepohamowane pragnienie zemsty:

– Tarnino – odpowiada – myślałem, że się sama domyślisz. Przecież czytałaś mój artykuł!

– Czytałam – przytaknęła Tarnina.

Nie wierzył jej. A jeśli nawet czytała, to jej nie interesował. Nigdy o nim nie wspomniała w rozmowie. A Hugo natomiast czuje, że jedyne wielkie uczucie, do jakiego jest zdolny, to wierność tej nie uznawanej i opuszczonej wieży (wieży opublikowanego artykułu i przygotowywanej książki o miłości do

Tarniny), że dla tej wieży potrafi rzucić się do walki i zmusić Tarninę, by dostrzegła budowlę i zdumiała się jej wysokością.

– Przecież wiesz, że piszę tam o problemie władzy. Analizuję, jak działa mechanizm władzy. Powołuję się przy tym na to, co się dzieje u was, i mówię o tym bez osłonek!

– Daj spokój, ty naprawdę myślisz, że w Pradze znają twój artykuł?

Hugo czuje się dotknięty jej ironią: – Mieszkasz już długo za granicą i zapomniałaś, co potrafi wasza policja. Ten artykuł miał szeroki oddźwięk. Dostałem po nim masę listów. Wasza policja wie o mnie, jestem tego pewny.

Tarnina milczy i jest coraz piękniejsza. Mój Boże, mógłby dla niej sto razy pojechać do Pragi i z powrotem, gdyby zechciała choć trochę zauważyć wszechświat, do którego chciał ją przyjąć, wszechświat jego myśli i krwi! I nagle zmienia ton głosu:

– Tarnino – mówi ze smutkiem – wiem, że ci przykro, że nie mogę jechać do Pragi. Ja z początku też myślałem, że mogę poczekać z opublikowaniem tego artykułu, ale później zrozumiałem, że już nie mogę milczeć. Rozumiesz mnie?

– Nie – odpowiada Tarnina.

Hugo wie, że wszystko, co mówi, to bzdury, które wyprowadziły go na manowce, ale nie może już się cofnąć i jest z tego powodu zrozpaczony. Na twarzy wyskoczyły mu czerwone plamy i załamuje mu się głos:

– Ty mnie nie rozumiesz?! Nie chcę, żeby u nas skończyło się tak jak u was! Kiedy wszyscy będziemy milczeć, staną się z nas niewolnicy!

Tarninę opanował w tej chwili potworny wstręt, wstała z krzesła i wybiegła do toalety, a żołądek podchodził jej do gardła. Uklęła nad muszlą, wymiotowała, ciałem jej wstrząsały konwulsje jak przy płaczu, a przed oczami widziała kulasa, jaja, zarost tego chłopca i czuła kwaśny odór z jego ust, dotknięcia jego ciała na swoich pośladkach; przez głowę przebiegła jej myśl, że nie potrafi już przypomnieć sobie przyrodzenia i zarostu męża, że pamięć obrzydzenia jest więc silniejsza niż pamięć subtelności (tak, pamięć obrzydzenia jest silniejsza niż pamięć subtelności!) i że w jej biednej głowie nie pozostanie nic oprócz tego chłopca, któremu śmierdzi z ust; wymiotowała więc i wymiotowała.

Potem wyszła z toalety, ale usta (jeszcze pełne kwaśnego odoru) miała kurczowo zamknięte.

Był zdezorientowany. Chciał ją odprowadzić do domu, ale ona nie odezwała się ani słowem i stale miała mocno zaciśnięte usta (jak we śnie, kiedy chroniła złoty pierścień).

Mówił coś do niej, lecz ona nie odpowiadała, tylko przyspieszała kroku, więc nie wiedział już później, co powiedzieć. Jeszcze przez chwilę szedł w milczeniu obok niej, a potem zatrzymał się. Ona szła dalej i nie obejrzała się za siebie.

Nadal roznosiła kawę i już nigdy nie telefonowała do Czech.

Część piąta

Litost

Kim jest Krystyna?

Krystyna jest trzydziestolatką, ma jedno dziecko, męża rzeźnika, z którym żyje w zgodnym stadle i jednego okazjonalnego kochanka – mechanika samochodowego, który od czasu do czasu kocha się z nią w dość niewygodnych warunkach w warsztacie, po godzinach pracy. Małe miasteczko stwarza niewiele okazji do przygód pozamałżeńskich, albo, mówiąc ściślej, wymaga zbyt wiele odwagi i sprytu, którymi to cechami pani Krystyna zbyt nie grzeszyła.

Tym bardziej więc spotkanie ze studentem zawróciło jej w głowie. Przyjechał na wakacje do matki do tego miasteczka, dwukrotnie popatrzył długo na rzeźniczkę, kiedy stała za ladą w sklepie, a za trzecim razem już ją zagadnął na basenie. Jego zachowanie było tak cudownie nieśmiałe, że młoda kobieta, przyzwyczajona do rzeźnika i mechanika samochodowego, nie mogła mu się oprzeć. Od swego ślubu (czyli od dobrych dziesięciu lat) odważyła się dotknąć obcego mężczyzny tylko w bezpiecznie zamkniętym warsztacie, wśród rozmontowanych samochodów i starych opon, a teraz nagle odważyła się iść na randkę pod gołym niebem, wystawiona na wszelkie niebezpieczeństwo wścibskich oczu. Wprawdzie na swoje spacerunki wybierali miejsca bardzo odległe, gdzie prawdopodobieństwo spotkania z niepożądanymi osobami było nikłe, lecz pani Krystynie łomotało serce i była przepełniona podniecającym strachem. Jednak im więcej odwagi przejawiała wobec niebezpieczeństw, tym bardziej powściągliwa była wobec studenta. Nie użył z nią zbyt wiele. Pozwalała mu zaledwie na krótkie uściski i czułe pocałunki; często wysuwała mu się z objęć i mocno zaciskała nogi, kiedy głaskał jej ciało.

Ale nie dlatego, żeby studenta nie chciała. Zakochała się jednak od początku w jego delikatnej nieśmiałości i chciała ją dla siebie zachować. Pani Krystyna nie przeżyła nigdy sytuacji, w których jakiś mężczyzna przedstawiałby swoje poglądy na życie i cytował nazwiska poetów czy filozofów. Student, biedaczysko, nie potrafił bowiem mówić o niczym innym; rejestr jego uwodzicielskiej wymowności był bardzo jednostronny i nie umiał go dostosowywać do pozycji społecznej kobiet. Poza tym wydawało mu się, że nie musi sobie z tego powodu czynić wyrzutów, ponieważ cytaty z filozofów wywierały jeszcze większe wrażenie na żonie rzeźnika niż na koleżance z wydziału. Nie wiedział jednak, że choć te cytaty urzekły duszę jego towarzyszkę, to równocześnie stały się barierą pomiędzy nim a jej ciałem. Albowiem pani Krystyna miała niejasne przeczucie, że jeśli odda się studentowi także i ciałem, zniży ich kontakty do poziomu rzeźnika i mechanika samochodowego, a tym samym nie usłyszy już nigdy o Schopenhauerze.

Wobec studenta opanowało ją uczucie wstydu, jakiego wcześniej nie znała. Z rzeźnikiem i mechanikiem potrafiła się zawsze ze śmiechem porozumieć we wszelkich sprawach. Na przykład w takiej, że w czasie aktu miłosnego muszą być bardzo ostrożni, ponieważ przy porodzie pierwszego dziecka lekarz powiedział jej, że nie może sobie pozwolić na następne, jeśli nie chce ryzykować zdrowiem, a nawet życiem. Historia ta rozgrywa się w pradawnych czasach, kiedy przerywanie ciąży było surowo zabronione i kobiety nie miały żadnej możliwości ograniczenia własnej płodności. Rzeźnik i mechanik doskonale rozumieli jej obawy, a Krystyna, zanim pozwoliła im, by w nią weszli, kontrolowała z żartobliwą skrupulatnością, czy zastosowali wszelkie środki, jakich od nich wymagała. Kiedy jednak wyobraziła sobie, że w ten sam sposób miałyby postępować ze swym aniołem, który dla niej zstąpił z obłoków, w których dyskutował z Schopenhauerem, poczuła, że nie potrafiłaby znaleźć właściwych słów. Mogę więc podsumować, że jej powściągliwość miłosna miała dwa powody: utrzymać studenta jak najdłużej w cudownym świecie delikatnej nieśmiałości i jak najdłużej uniknąć szokowania go zbyt praktycznymi informacjami i przedsięwzięciami, bez których – jej zdaniem – miłość fizyczna nie mogła się obejść.

Ale student mimo wszelkiej delikatności był jednak uparty. Choć zaciskała uda jak najmocniej, on dzielnie trzymał ją za pośladki, a dotknięcia te mówiły, że nawet gdy ktoś czuje Schopenhauera, nie ma zamiaru wyrzekać się z tego powodu ciała, które mu się podoba.

Wreszcie wakacje się kończą i oboje kochankowie dochodzą do wniosku, że byłoby im smutno, gdyby mieli się przez cały rok nie widzieć. Nie pozostaje nic innego, niż żeby pani Krystyna wymyśliła jakiś pretekst i przyjechała do studenta. Oboje wiedzą, co ten przyjazd będzie oznaczać. Student mieszka w Pradze na małej mansardzie i pani Krystyna nie może zatrzymać się nigdzie indziej niż tam.

Co to jest *litost*?

Litost to czeskie słowo nieprzetłumaczalne na inne języki. Pierwsza sylaba tego słowa, wymawiana długo i z akcentem, brzmi jak skarga porzuconego psa. Na próżno szukam dla niego znaczenia, odpowiedników w innych językach, choć trudno mi sobie wyobrazić, jak bez niego można rozumieć duszę człowieka.

Podam przykład: Student kąpał się ze studentką w rzece. Dziewczyna była sportsmenką, a on pływał kiepsko. Nie potrafił oddychać pod wodą, pływał wolno z głową kurczowo uniesioną nad powierzchnią rzeki. Dziewczyna była w nim nieprzytomnie zakochana i miała na tyle taktu, że pływała tak samo wolno jak i on. Ale kiedy już kąpiel zbliżała się do końca, chciała szybko spłacić dług swym sportowym tęsknotom i ruszyła w szybkim tempie na drugi brzeg. Student starał się płynąć szybciej, lecz tylko napił się wody. Czuł się upokorzony, rozszyfrowany w swym fizycznym upośledzeniu i odczuł *litost*. Przypomniało mu się chorowite dzieciństwo bez sportu i bez kolegów, pod zbyt czułą opieką matki i chciało mu się rozpaczać nad sobą i własnym życiem. Kiedy wracali polną ścieżką, milczał jak zakłęty. Był dotknięty i poniżony, odczuwał potrzebę zemsty. – Co ci jest? – spytała go, a on zarzucał jej, że przecież na drugiej stronie rzeki są wiry, że nie pozwolił jej tam pływać, że mogła się utopić – i uderzył ją w twarz. Dziewczyna rozplakała się, a on, kiedy zobaczył jej łzy, poczuł dla niej współczucie, objął ją i jego *litost* się rozplynęła.

Albo inne zdarzenie z życia studenta: Jako dziecko uczęszczał na lekcje gry na skrzypcach. Nie był zbyt uzdolniony i nauczyciel przerywał mu zimnym i nieznośnym głosem, wypominając jego błędy. Czuł się poniżony i chciało mu się płakać. Lecz zamiast starać się grać lepiej i nie popełniać błędów, zaczął je robić celowo. Głos nauczyciela stawał się jeszcze bardziej nieznośny i zły, a on coraz głębiej i głębiej pograżał się w swoją *litost*.

Czym więc jest *litost*?

Litost jest to bolesny stan spowodowany przez nagłe odkrycie własnej nędzy.

Jednym z typowych leków przeciw własnej nędzy jest miłość. Albowiem ten, kto jest kochany w sposób absolutny, nie może być nędznym. Wszystkie jego niedoskonałości zostają odkupione przez magiczne spojrzenie miłości, w oczach której nawet niesportowe pływanie z głową uniesioną ponad wodę staje się urzekające.

Absolutność miłości jest właściwie pragnieniem absolutnej tożsamości: pragnieniem tego, by ukochana kobieta pływała tak samo wolno i żeby nie miała żadnej przeszłości, którą mogłaby z przyjemnością wspominać. Ale gdy iluzja absolutnej tożsamości pryska (dziewczyna z sentymentem wspomina przeszłość, albo szybko pływa), miłość staje się nieustannym źródłem tego wielkiego cierpienia, które nazwaliśmy tu słowem *litost*.

Człowiek, który posiada szerokie doświadczenia na temat niedoskonałości natury ludzkiej, jest dość odporny na wpływy *litosti*. Świadomość własnej nędzy jest dla niego czymś powszednim i niezbyt ciekawym. *Litost* jest więc charakterystyczna dla wieku niedoświadczenia. Stanowi jedną z ozdób młodości.

Litost działa jak motor dwutaktowy. Po odczuciu cierpienia pojawia się pragnienie zemsty. Celem zemsty jest doprowadzenie do tego, by partner poczuł się tak samo nędzny. Mężczyzna wprawdzie nie potrafi pływać, ale spoliczkowana kobieta płacze. Mogą się teraz czuć równi i kontynuować miłość.

Ponieważ zemsta nigdy nie zdradza swego prawdziwego powodu (student nie może powiedzieć dziewczynie, że uderzył ją, bo za szybko pływała), musi podać fałszywy motyw. *Litost* nie obejdzie się więc nigdy bez patetycznej hipokryzji: młodzieniec oświadcza, że wariował ze strachu, iż jego dziewczyna się utopi, a dziecko do znudzenia gra fałszywy ton, udając beznadziejny brak talentu.

Rozdział ten początkowo miał nosić tytuł: *Kim jest student?* Lecz jeśli mówi o uczuciu zwanym *litost*, to jakby mówił o studencie, ponieważ on sam – to jedna wielka *litost*. Nie można się więc dziwić, że zakochana w nim studentka od niego odeszła. Przecież to nic przyjemnego pozwalać się bić tylko z tego powodu, że się potrafi pływać.

Żona rzeźnika, którą spotkał w rodzinnym mieście, pojawiła się jako wielki plaster nadający się do opatrzenia jego ran. Podziwiała go, uwielbiała, a kiedy opowiadał jej o Schopenhauerze nie starała się poprzez wtrącenia wyrazić własnej, niezależnej od niego osobowości (jak czyniła to nieszczęsna studentka), ale patrzyła na niego wzrokiem, w jakim on, wzruszony jej wzruszeniem, dostrzegł oczyma duszy łzy. Ponadto nie zapomnijmy dodać, że od czasu, kiedy rozstał się ze studentką, nie kochał się z żadną kobietą.

Kim jest Wolter?

Jest to asystent na uniwersytecie, dowcipny i napastliwy, a jego oczy z nietajoną złośliwością wpijają się w twarz przeciwnika. To wszystko stanowiło wystarczające powody, dla których nazywano go Wolterem.

Lubił studenta, co jest sporym wyróżnieniem zważywszy na fakt, że był bardzo wybredny w swych sympatiach. Po zajęciach zatrzymał młodzieńca i spytał, czy jutro wieczorem ma czas. Niestety, jutro wieczorem przyjeżdża Krystyna. Student musiał zmobilizować całą odwagę, aby powiedzieć mu, że jest zajęty. Ale Wolter tylko machnął ręką: – To musi pan to odłożyć. Na pewno się opłaci – i opowiedział mu, że jutro w klubie literatów spotkają się najwięksi poeci kraju, a on, Wolter, który leż tam będzie, chciałby, żeby student ich poznał.

Tak, będzie również wielki poeta, którego monografię pisze Wolter, i którego często w związku z tym odwiedza. Jest chory i porusza się o kulach. Dlatego rzadko pojawia się publicznie, więc spotkanie z nim jest tym cenniejsze.

Student znał książki wszystkich poetów, którzy mieli być obecni, a z twórczości wielkiego poety potrafił recytować z pamięci całe strony wierszy. Nie pragnął niczego bardziej, niż spędzenia wieczoru w ich towarzystwie. Ale potem uświadomił sobie, że już od kilku miesięcy nie miał żadnej kobiety i ponownie odmówił.

Wolter nie rozumie, co może być ważniejsze od spotkania z wielkimi pisarzami. Kobieta? Czyżby nie można było tego odłożyć. Jego okulary pełne są nagle ironicznych błysków. Student jednak ma przed oczami obraz żony rzeźnika, która przez cały miesiąc wakacji skutecznie mu się wykrcęcała, więc choć dużo go to kosztuje, kręci przecząco głową. Krystyna ma w tej chwili większą wartość niż cała poezja jego kraju.

Kompromis

Przyjechała już rano. W ciągu dnia miała w Pradze coś do załatwienia, co miało jej służyć jako alibi. Student umówił się z nią na spotkanie dopiero pod wieczór w knajpcę, którą sam wybrał. Kiedy wszedł do środka, niema! się przestraszył. Sala była przepelniona pijakami, a małomiasteczkowa muza jego wakacji siedziała w kącie koło toalety, przy stole przeznaczonym nie dla gości, ale na odkładanie brudnych naczyń. Ubrana była z niezgrabną pseudoelegancją, jak może ubrać się tylko pani z prowincji, kiedy po wielu latach chce odwiedzić Pragę i zakosztować jej rozkoszy. Miała na głowie kapelusz, wielobarwne korale na szyi i nosiła czarne wieczorowe pantofle.

Student czuł, jak mu płoną policzki, lecz nie z podniecenia a z rozczarowania. Na tle małego miasteczka, pełnego rzeźników, mechaników i emerytów, Krystyna wyglądała zupełnie inaczej niż w Pradze – mieście studentek i pięknych fryzjerek. W swych śmiesznych koralach i z dyskretnym złotym zębem (na górze, w kąciku ust) wydała mu się dokładnym przeciwieństwem tego kobiecego piękna, młodego i ubranego w dzinsy piękna, które już od kilku miesięcy tak ostentacyjnie go omijało. Szedł niepewnym krokiem na spotkanie Krystyny, a *litost* szła wraz z nim.

Student był rozczarowany, ale nie mniej rozczarowana była pani Krystyna. Restauracja, do której ją student zaprosił miała wspaniałą nazwę „Pod królem Waławem” i nie znająca Pragi Krystyna sądziła, że to ekskluzywny lokal, gdzie zjedzą razem kolację, a potem student rozwinie przed nią wachlarz praskich zabaw. Kiedy stwierdziła, że „Pod królem Waławem” to dokładnie taka sama knajpa, do jakiej chodzi na piwo mechanik samochodowy, że musi tam czekać na studenta w kącie koło toalety, nie odczuła nawet tego, co nazwaliśmy słowem *litost*, lecz po prostu zwyczajną złość. Nie czuła się biedna i poniżona, ale doszła do wniosku, że jej student nie potrafi się zachować. Z miejsca mu o tym powiedziała. Miała wścickłą twarz i rozmawiała z nim jak z rzeźnikiem.

Stali na wprost siebie, ona krzyczała, napastliwie i głośno, on zaś tylko słabo się bronił. W ten sposób jego niechęć jeszcze bardziej wzrosła. Chciał ją szybko zabrać do siebie, ukryć przed wzrokiem gapiów i czekać, czy w intymnym gniazdku odzyska utracony czar. Lecz ona odmówiła. Skoro po tak długiej nieobecności przyjechała wreszcie do Pragi, to chce tu coś zobaczyć i przeżyć, dokądś pójść. Jej czarne pantofle i wielkie kolorowe korale głośno upominały się o swoje prawa.

– To jest świetna knajpa, do której przychodzą fantastyczni ludzie – rzucił od niechcenia student, dając w ten sposób rzeźnicze do zrozumienia, że w ogóle nie ma pojęcia o tym, co jest w stolicy ciekawe, a co nie. – Niestety, jest tu dzisiaj pełno, więc muszę cię zaprowadzić gdzieś indziej. – Ale jak na ironię wszystkie pozostałe kawiarnie były równie przepelnione, droga od jednej do drugiej długa, a

pani Krystyna wydawała się nieznośnie komiczna w swoim kapelusiku, koralach i ze złotym zębem połyskującym w jej ustach. Szli ulicami pełnymi młodych kobiet i student uświadomił sobie, że nigdy sam wobec siebie nie potrafiłby wytłumaczyć faktu, że dla Krystyny wyrzekł się okazji spędzenia wieczoru z największymi umysłami swego kraju. Nie chciał jej jednak urazić, bo jak powiedziałem, już dawno nie miał kobiety. Sytuację mógł rozwiązać tylko mistrzowsko wymyślony kompromis.

Znaleźli wreszcie wolny stół w jakiejś ukrytej kawiarence. Student zamówił dwa aperitify i popatrzył Krystynie smutno w oczy: życie w Pradze pełne jest niespodziewanych zdarzeń. Właśnie wczoraj telefonował do studenta najślawniejszy poeta kraju.

Kiedy wymówił jego nazwisko, pani Krystyna skamieniała. Uczyla się przecież w szkole jego wierszy na pamięć. Ci, o których uczymy się w szkole, mają w sobie coś nierealnego i niematerialnego, już za życia należą do wzniosłej galerii martwych. Krystyna nie mogła uwierzyć, że student naprawdę zna go osobiście.

Naturalnie, że go zna, stwierdził student. Pisze nawet o nim obszerną dysertację, monografię, która kiedyś prawdopodobnie ukaże się jako jego książka. Nie mówił o tym nigdy pani Krystynie, bo mogłaby myśleć, że się chwali, ale teraz jej opowiada, ponieważ wielki poeta nieoczekiwanie wszedł im w drogę. Dziś jest bowiem w klubie literatury prywatne spotkanie poetów całego kraju, na które zaproszono tylko kilku krytyków i znawców. Spotkanie jest niezwykle ważne, bo zapowiada się dyskusja, w której będą latać iskry. Ale student naturalnie tam nie pójdzie. Tak cieszył się na spotkanie z Krystyną!

W moim słodkim i dziwnym kraju czar poetów nie przestaje oddziaływać na serca kobiet. Krystyna poczuła podziw dla studenta, a wraz z nim jakąś macierzyńską troskę służenia mu radą i obrony jego zainteresowań. Z nieoczekiwaną i wspaniałą szczerością oświadczyła, że byłaby szkoda, gdyby student nie mógł wziąć udziału w wieczorze, na którym będzie wielki poeta.

Student zapewnił ją, że starał się zrobić wszystko, żeby Krystyna mogła tam iść razem z nim, bo wiedział, że na pewno chciałaby zobaczyć wielkiego poetę i jego przyjaciół. Niestety, jest to zupełnie niemożliwe. Przecież nawet wielki poeta nie będzie tam z żoną. Spotkanie jest przeznaczone tylko dla fachowców. Początkowo naprawdę nie myślał, że mógłby tam iść, ale teraz uświadamia sobie, że być może Krystyna ma rację. Tak, rzeczywiście to dobry pomysł. Może istotnie wpadłby tam na godzinkę? Krystyna tymczasem zaczęła czekać u niego, a potem byłoby już tylko razem.

Czar teatrów i kabaretów został zapomniany i Krystyna wkroczyła do mansardy studenta. W pierwszej chwili ogarnęło ją takie samo rozczarowanie jak wtedy, gdy znalazła się w knajpce „Pod królem Wacławem”. Nie można było tego w ogóle nazwać mieszkaniem; był to jeden pokój, bez korytarza, z tapczanem i biurkiem. Ale straciła już pewność swych sądów. Znalazła się bowiem w świecie, w którym istnieje inny system wartości, jej nie znany. Szybko więc zaakceptowała nieprzytulny i brudny pokój i zmobilizowała cały kobiecy talent, żeby czuć się jak w domu. Student poprosił ją, żeby zdjęła kapelusz, pocałował, usadził na tapczanie i pokazał małą biblioteczkę, aby w czasie jego nieobecności miała się czym zająć.

Wtedy Krystyna wpadła na pomysł: – Nie masz czasem jego książki? – Myślała o wielkim poecie.

Tak, student miał jego książkę.

Dodała więc bardzo nieśmiało: – A nie mógłbyś mi jej dać? I poprosić go, żeby mi napisał dedykację?

Student rozpromienił się. Dedykacja wielkiego poety będzie dla Krystyny wynagrodzeniem za rezygnację z teatrów i kabaretów. Miał wobec niej wyrzuty sumienia i w związku z tym gotów był uczynić wszystko. Jak tego oczekiwał, w zaciszu pokoju znów odzyskała dawny powab. Zniknęły chodzące ulicami dziewczyny i urok jej skromności wypełnił cicho mieszkanie. Rozczarowanie powoli zniknęło, a student szedł do klubu uspokojony i zadowolony z perspektywy wspaniałego, podwójnego programu, jaki obiecywał mu dzisiejszy wieczór.

Poeci

Student czekał przed domem literatury na Woltera. Wchodził z nim razem na pierwsze piętro. Minęli szatnię, z holu już ich dobiegał wesoły gwar. Wolter otworzył drzwi salonu i student zobaczył zgromadzoną wokół szerokiego stołu całą poezję swego kraju.

Patrzę na nich z wielkiego oddalenia, dwóch tysięcy kilometrów. Jest jesień 1977 roku, mój kraj już od dziewięciu lat drzemie w słodkim i mocnym uścisku rosyjskiego imperium, Wolter wyrzucony został z uniwersytetu, a moje książki – zebrane ze wszystkich bibliotek publicznych – zamknięto w jakichś państwowych podziemiach. Czekałem jeszcze kilka lat, a potem wsiadłem do samochodu i pojechałem jak najdalej na zachód, do bretońskiego miasta Rennes, gdzie zaraz pierwszego dnia znalazłem

mieszkanie na ostatnim piętrze najwyższej wieży. Następnego dnia rano, kiedy zbudziło mnie słońce, zobaczyłem, że okna mieszkania zwrócone są na wschód, ku Pradze.

Patrzę więc teraz na nich ze swej wieży obserwacyjnej, ale odległość jest zbyt wielka. Na szczęście mam w oczach Iżę, która jak soczewka lornetki zbliża mi ich twarze. Widzę więc teraz wyraźnie, że pośrodku nich rozsiada się mocno i szeroko wielki poeta. Ma już z pewnością ponad siedemdziesiąt lat, ale jego twarz jest wciąż piękna, oczy żywe i mądre. O jego stół stoją oparte dwie kule.

Widzę ich wszystkich na tle połyskującej światłami Pragi sprzed piętnastu lat, kiedy ich książki nie były jeszcze zamknięte w państwowych podziemiach, a oni siedzieli wesoło i swobodnie wokół szerokiego stołu, zastawionego butelkami. Kocham ich wszystkich i dlatego wstydę się obdarzyć ich pospolitymi nazwiskami, wziętymi na chybił trafił z książki telefonicznej. Skoro mam ukryć ich twarze pod maską wymyślonego nazwiska, chcę im je wręczyć jako dar, jak ozdobę i wyraz mego szacunku.

Skoro studenci nazywają asystenta Wolterem, czemu ja nie miałbym nazwać wielkiego i ukochanego poety Goethem?

Na wprost niego siedzi Lermontow.

A tego o czarnych, rozmarzonych oczach chciałbym nazwać Petrarką.

Poza tym są tam jeszcze Verlaine, Jesienin i kilku innych, niewartych wzmianki, ale także jeden człowiek, który wśród nich znalazł się najwyraźniej przez przypadek. Już z daleka bowiem (nawet z tej odległości dwóch tysięcy kilometrów) widać wyraźnie, że poezja nie obdarzyła go swym pocałunkiem i że nie lubi wierszy. Nazywa się Boccaccio.

Wolter wziął stojące pod ścianą dwa krzesła, przystawił je do zastawionego butelkami stołu i przedstawił poetom studenta. Oni uprzejmie pokiwali głowami, tylko Petrarka w ogóle go nie dostrzegł, bo właśnie dyskutował z Boccacciem. Zakończył swój spór słowami: – Kobieta zawsze nas w czymś przewyższa. Mógłbym o tym opowiadać przez całe tygodnie.

– Tygodnie to za dużo. Opowiadaj chociaż przez dziesięć minut – zachęcił go Goethe.

Opowieść Petrarki

– Tydzień temu przytrafiło mi się coś niewiarygodnego. Moja żona właśnie skończyła się kąpać, była w czerwonym szlafroku, z rozpuszczonymi złotymi włosami. Była piękna. Dziesięć po dziewiątej ktoś zadzwonił do drzwi. Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem tulącą się do ściany dziewczynę. Natychmiast ją poznałem. Raz w tygodniu chodzę do żeńskiej szkoły. Jest tam kółko poetyckie i te dziewczyny po kryjomu kochają się we mnie.

Pytam ją: co tutaj robisz?

Muszę panu coś powiedzieć!

Co mi chcesz powiedzieć?

Muszę panu powiedzieć coś bardzo ważnego!

Słuchaj, odpowiadam, jest późno i nie możesz teraz do mnie przyjść; zejźdź na dół i poczekaj koło drzwi do piwnicy.

Wróciłem do pokoju i powiedziałem żonie, że ktoś się pomylił. A potem, jak gdyby nigdy nic oświadczyłem, że muszę jeszcze przynieść węgla z piwnicy i wziąłem dwa puste kubły. Zrobiłem głupstwo. Przez cały tydzień bolał mnie woreczek żółciowy i pokładałem się. Ta nagła pilność musiała się wydać żonie podejrzana.

– Ty masz kłopoty z woreczkiem? – spytał z zainteresowaniem Goethe.

– Już od wielu lat – potwierdził Petrarka.

– A dlaczego nie dasz się operować?

– Za żadne skarby! – odparł Petrarka.

Goethe ze zrozumieniem pokiwał głową, a Petrarka zapytał: – Na czym skończyłem?

– Masz chory woreczek i wzięłeś w ręce dwa kubły na węgiel – odpowiedział mu Verlaine.

– Spotkałem dziewczynę koło drzwi do piwnicy – kontynuował Petrarka – i zaprosiłem ją na dół. Napełniłem potem łopatą kubły i starałem się dowiedzieć, czego chce. Powtarzała tylko, że *musiała* przyjść. Nic innego nie udało mi się z niej wyciągnąć.

Nagle usłyszałem kroki na schodach. Chwyciłem szybko napełniony kubek i wybiegłem z piwnicy. Z góry schodziła moja żona. Wręczyłem jej kubek mówiąc: Weź to i zanieś, ja jeszcze idę napełnić drugi kubek! Żona zaniósła kubek na górę, a ja wróciłem do piwnicy i powiedziałem dziewczynie, że nie możemy już tu zostać, więc niech na mnie zaczeka na ulicy. Napełniłem kubek i wróciłem z nim do mieszkania. Potem pocałowałem żonę i powiedziałem, żeby już się położyła, a ja jeszcze przed spaniem

się wykąpie. Położyła się do łóżka, ja natomiast odkręciłem kran u wanny. Woda głośno leciała na dno. Zdjąłem kapcie i w skarpetkach wyszedłem do przedpokoju. Buty, które miałem tego dnia na nogach, stały przy drzwiach na korytarz. Zostawiłem je tam, aby świadczyły, że nie wyszedłem z domu. Wyjąłem więc z szafy inne buty, założyłem je i po cichu wysunąłem się z mieszkania.

– Petrarko – odezwał się Boccaccio – wszyscy wiemy, że jesteś wielkim lirykiem. Ale widzę, że z ciebie także wielki metodyk i przebiegły strateg, który ani na chwilę nie da się oslepić namiętności! To, co zrobiłeś z kapciami i dwiema parami butów jest wprost doskonałe!

Wszyscy zgodzili się z Boccacciem i obsypywali Petrarę pochwałami, które najwyraźniej sprawiały mu przyjemność.

– Czekala na mnie na ulicy – ciągnął dalej. – Starąłem się ją uspokoić. Tłumaczyłem, że teraz muszę wrócić do domu, i zapraszałem, żeby przyszła następnego dnia do południa, kiedy moja żona jest w pracy. Dokładnie przed naszym domem jest przystanek tramwajowy. Nalegałem, żeby pojechała do domu. Ale kiedy nadjechał tramwaj, roześmiała się i chciała znów wrócić pod drzwi naszego mieszkania.

– Trzeba ją było wepchnąć pod tramwaj – odpowiedział Boccaccio.

– Przyjaciele – oświadczył uroczyście Petrarka – są chwile, kiedy człowiek, choć niechętnie, musi być zły na kobietę. Powiedziałem jej: Nie chcesz dobrowolnie iść do domu, to zamknę przed tobą drzwi. Zrozum, że tu jest mój dom i nie mogę robić z niego chlewu! Pamiętajcie jednocześnie, przyjaciele, że kiedy tak się z nią targuję na ulicy, na górze w łazience leje mi się woda do wanny i w każdej chwili może się przelać!

Odwrociłem się i ruszyłem pędem do drzwi. Dziewczyna biegła za mną. Na nieszczęście do domu wchodzili też inni ludzie, więc wślizgnęła się z nimi do środka. Pędziłem po schodach jak sportowiec! Za sobą słyszałem jej kroki. Mieszkamy aż na trzecim piętrze. To był wyczyn! Ale byłem szybszy i zatrzasnąłem jej drzwi przed nosem. Zdążyłem jeszcze wyrwać ze ściany przewody dzwonka, żeby nie było go słycać, ponieważ miałem niemal pewność, że zaraz oprze się o dzwonek i nie puści go. Potem na palcach wszedłem do łazienki.

– Wanna nie przeciekła? – spytał troskliwie Goethe.

– Zakręciłem kran dosłownie w ostatniej chwili i znów wróciłem do przedpokoju. Odsunąłem wizjer i zobaczyłem, że ona nada! stoi i nieruchomo wpatruje się w drzwi. Przyjaciele, zacząłem się bać. Ze strachem pomyślałem, że może tak stać do samego rana.

Boccaccio przerywa

– Petrarko, jesteś niepoprawnym adoratorem – przerwał mu Boccaccio. – Potrafię sobie wyobrazić te panienki, które założyły kółko poetyckie i czczą cię jak Apollina. Nie chciałbym jednak spotkać ani jednej z nich. Kobieta-poetka to kobieta do kwadratu. To zbyt wiele dla mizogina, jakim ja jestem.

– Słuchaj Boccaccio – spytał Goethe – czemu stale chwalisz się, że jesteś mizoginem?

– Ponieważ mizogini stanowią lepszą część mężczyzn.

Na te słowa wszyscy poeci zareagowali wrogimi pomrukami. Boccaccio musiał podnieść głos:

– Postarajcie się mnie dobrze zrozumieć. Mizogin nie gardzi kobietami, lecz nie znosi kobiecości. Mężczyźni od dawna dzielą się na dwie podstawowe kategorie: na adoratorów kobiet, czyli inaczej poetów i na mizoginów albo ściślej ginolobów. Adoratorzy, czyli poeci wyznają tradycyjne wartości kobiece jak uczucie, dom, macierzyństwo, płodność, święte pioruny hysterii i boski zew natury w nas samych, podczas gdy mizogini odczuwają spory lęk przed tymi wartościami. Adorator uwielbia w kobiecie kobiecość, gdy tymczasem mizogin preferuje raczej kobietę ponad kobiecością. Nie zapominajcie o jednej kwestii. Kobieta może być szczęśliwa tylko z mizoginem. Przecież z wami żadna nigdy nie była szczęśliwa!

Rozległy się wrogie pomruki.

– Adorator, czyli poeta potrafi dać kobiecie namiętność, dramat, płacz, kłopoty, ale nigdy żadnej radości. Znałem jednego takiego. Uwielbiał swoją żonę. Później zaczął uwielbiać inną. Nie chciał poniżyć ani pierwszej, gdyby ją zdradzał, ani drugiej, gdyby traktował ją jako tajną kochankę. Zwierzył się więc ze wszystkiego żonie i prosił, żeby mu pomogła. Żona się od tego rozchorowała, on płakał i chodził jak pijany, a jego kochanka też już nie mogła tego znieść i oświadczyła, że z nim zrywa. Wtedy on położył się na lorach i czekał, aż go przejedzie tramwaj. Na nieszczęście motorniczy dostrzegł go już z daleka i mój adorator musiał płacić pięćdziesiąt koron kary za zakłócenie ruchu drogowego.

– Boccaccio kłamie! – krzyczał Verlaine.

– Historyjka, którą opowiada Petrarca – ciągnął dalej niezrażony Boccaccio – pochodzi z tego samego worka. Czy twoja żona o złocistych włosach zasługuje na to, że traktujesz poważnie jakąś histeryczkę?

– Co ty wiesz o mojej żonie? – złościł się Petrarca. – Żona jest moją najbliższą przyjaciółką! Nie mamy przed sobą tajemnic!

– Więc czemu zmieniałeś buły? – spytał Lermontow.

Ale Petrarca nie dał się zbić z tropu: – Przyjaciele, w tej ciężkiej chwili, kiedy dziewczyna stała na korytarzu, a ja naprawdę nie wiedziałem, co robić, poszedłem do żony do sypialni – opowiedziałem jej wszystko.

– Jak mój adorator! – śmiał się Boccaccio. – Opowiedział jej wszystko! Tak właśnie robią wszyscy adoratorzy! Na pewno jeszcze ją poprosiłeś, żeby ci pomogła!

Głos Petrarce był pełen czułości: – Tak, poprosiłem, żeby mi pomogła. Nigdy nie odmawiała mi swej pomocy. Tym razem także nie. Sama podeszła do drzwi. Ja zostałem w pokoju, bo się bałem.

– Ja też bym się bał – stwierdził Goethe ze zrozumieniem.

– Ale wróciła zupełnie spokojna. Wyjrzała przez wizjer na korytarz, otworzyła drzwi, a tam nikogo nie było. Wyglądało to tak, jakbym sobie wszystko wymyślił. Nagle za naszymi plecami rozległ się wielki huk i brzęk tłuczonego szkła. Jak wiecie mieszkamy w starym mieszkaniu, którego okna wychodzą na galerijkę. A dziewczyna, kiedy nikt nie odpowiadał na jej dzwonięcie, znalazła gdzieś żelazny pręt, wyszła z nim na galerię i zaczęła rozbijać nasze okna. Jedno po drugim. Obserwowaliśmy ją ze środka mieszkania w bezsilnym przerażeniu. A potem zobaczyliśmy, jak z drugiej strony ciemnej galerijki pojawiły się trzy białe cienie. To były stare baby z przeciwległego mieszkania. Obudził je brzęk szkła. Wybiegły natychmiast, w nocnych koszulach, niepohamowane w swej żądzy sensacji i spragnione skandalu. Wyobrażacie sobie ten obraz! Młodziutka piękna dziewczyna z żelaznym prętem, a wokół niej cienie trzech czarownic.

Tymczasem dziewczyna rozbiła ostatnie okno i weszła przez nie do środka.

Chciałem do niej podejść, ale moja żona objęła mnie i powiedziała: *Nie podchodź do niej, ona cię zabije!* A dziewczyna stała pośrodku pokoju z żelaznym prętem w dłoni jak Joanna d'Arc ze swą kopią, piękna, wyniosła; wtedy ja wyrwałem się z objęć żony – ruszyłem w jej kierunku. I w miarę zbliżania się jej spojrzenie traciło swą ostrość, łagodniało, aż wreszcie stało się zupełnie spokojne i miękkie. Wyjąłem z jej rąk pręt, odrzuciłem go na ziemię, a potem chwyciłem dłoń dziewczyny.

Wzajemne urazy

– Nie wierzę ci za grosz – odezwał się Lermontow.

– Naturalnie, że wszystko działo się trochę inaczej, niż opowiada Petrarca – wtrącił znów Boccaccio – ale wierzę, że to się istotnie wydarzyło. Ta dziewczyna była histeryczką, której normalny mężczyzna w podobnej sytuacji już dawno dałby parę razy po buzi. Adoratorzy, czyli poeci zawsze stanowią wspaniałą łup dla histeryczek, które wiedzą, że nie zostaną przez nich spoliczkowane. Adoratorzy są bezbronni wobec kobiet, ponieważ nigdy nie przekroczyli cienia swej matki. W każdej upatrują wysłanniczki matki i dlatego im się podporządkowują. Spódnice ich matek unoszą się nad nimi jak horyzont nieba. – Ostatnie porównanie bardzo mu się spodobało i wielokrotnie je powtórzył. – To, co jest nad wami, poeci, nie jest niebem, lecz wielką spódnicą waszej matki! Wy wszyscy żyjecie pod spódnicami matek!

– Coś ty powiedział? – wrzasnął straszliwym głosem Jesienin i zerwał się z krzesła. Chwiał się na nogach, bo przez cały wieczór pił więcej od innych. – Coś powiedział o mojej matce? Co powiedziałeś?

– Nie mówiłem o twojej matce – odparł Boccaccio pojednawczo. Wiedział, że Jesienin żyje ze słynną tancerką, starszą od niego o trzydzieści lat i szczerze mu z tego powodu współczuł. Ale Jesienin już zebrał ślinę w ustach i zatoczywszy się, splunął. Był jednak zbyt pijany, więc plwociny spadły na kołnierzyk Goethego. Boccaccio wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wycierał wielkiego poetę.

Cała akcja tak śmiertelnie zmęczyła Jesienina, że natychmiast opadł na krzesło.

Petrarca kontynuował: – Przyjaciele, jakżebym chciał, żebyście słyszeli, co ona wtedy mówiła! Było to niezapomniane przeżycie. Mówiła, a brzmiało to jak modlitwa, jak litania: *ja jestem prosta, zupełnie zwyczajna dziewczyna, nie ma we mnie nic szczególnego, ale przyszłam, bo przysłała mi tu miłość; przyszłam* – w tym momencie trzymała mnie za rękę – *żebyś poznał, co to jest prawdziwa miłość, żebyś raz w życiu jej doświadczył!*

– A co twoja żona odpowiedziała tej wysłanniczce miłości? – spytał z wyraźnie zaakcentowaną ironią Lermontow.

Goethe roześmiał się: – Ile by Lermontow dał za to, żeby jakaś kobieta wybiła mu szyby w oknach! On by jej nawet za to zapłacił!

Lermontow obrzucił Goethego nienawistnym spojrzeniem, a Petrarca opowiadał dalej: – Moja żona? Mylisz się, Lermontowie, jeśli traktujesz tę opowieść jak Boccacciowską humoreskę. Ta dziewczyna zwróciła się do mojej żony, miała niebieskie oczy i mówiła dalej, a stale brzmiało to jak modlitwa, jak litania: *Pani się na mnie nie gniewa, bo pani jest dobra i ja panią leż kocham, oboje was kocham* i żonę także chwyciła za rękę.

– Gdyby to był cytat z humoreski Boccaccia, nie miałbym nic przeciwko temu – odparł Lermontow. – Ale to, co nam opowiadasz, jest czymś gorszym. To zła poezja.

– Zazdrościsz mi! – krzyczał na niego Petrarca. – Nigdy w życiu nie zdarzyło ci się być w pokoju z dwiema pięknymi kobietami, które cię kochają! Wiesz, jak wspaniale wyglądała moja żona w czerwonym szlafroku i z rozpuszczonymi złotymi włosami?

Lermontow zaśmiał się ponuro, a Goethe zdecydował się go ukarać za jego cierpkie docinki: – Lermontowie, wszyscy wiemy, że jesteś wielkim poetą, ale dlaczego masz takie kompleksy?

W tym momencie Lermontow skamieniał i z ledwością zdołał wykrztusić: – Johanie, tego nie powinieneś być mówić. To było najgorsze, co mogłeś mi powiedzieć. To duże świństwo z twojej strony.

Goethe, zwolennik zgody, pewnie nie kontynuowałby drażnienia Lermontowa, ale okularnik Wolter roześmiał się: – To prawda, Lermontowie, że masz kompleksy – i zaczął analizować jego poezję, która nie posiada ani szczęśliwej naturalności Goethego, ani namiętnego oddechu Petrarce. Poddał nawet analizie poszczególne metafory, aby sprytnie udowodnić, że kompleks niższości stanowi bezpośrednią podstawę wyobraźni Lermontowa i wywodzi się z dzieciństwa, które upłynęło poecie pod znakiem biedy i przytłaczającego wpływu autorytatywnego ojca.

W tym momencie Goethe pochylił się ku Petrarce i szeptem, który wypełnił całe pomieszczenie (więc usłyszeli go wszyscy, także Lermontow), powiedział: – Ależ skąd. To wszystko są bzdury. On to ma z niedojebania!

Student staje po stronie Lermontowa

Student siedział cichutko, dolewał sobie wina (dyskretny kelner niezauważalnie odnosił puste i przynosił pełne butelki) i z napięciem śledził rozmowę, w której aż lały iskry. Z trudem nadążał odwracać głowę, by obserwować ich zawrotne wirowanie.

Zastanawiał się, który z poetów wydaje mu się najsympatyczniejszy. Goethego uwielbiał nie mniej niż pani Krystyna i cały kraj. Petrarca oczarował go swym pałającym wzrokiem. Lecz o dziwo, największą sympatię poczuł do obrażonego Lermontowa, zwłaszcza po ostatniej uwadze Goethego, z której zrozumiał, że wielki poeta (a Lermontow istotnie był wielkim poetą) może mieć takie same kłopoty jak on, nic nie znaczący student. Spojrzał na zegarek i pomyślał, że najwyższy czas iść do domu, skoro nie chce skończyć jak Lermontow.

Nie mógł się jednak oderwać od wielkich postaci, więc zamiast iść do pani Krystyny, poszedł do toalety. Stał tam pełen przeróżnych myśli na wprost wykafelkowanej, białej ścianie i nagle usłyszał obok siebie głos Lermontowa: – Słyszałeś ich. Nie są subtelni. Rozumiesz, nie są subtelni.

Słowo *subtelni* wymówił, jakby było napisane kursywą. Tak, są słowa mające inną wagę, słowa obdarzone specjalnym znaczeniem, znanym tylko wtajemniczonym. Student nie wiedział, czemu Lermontow wymawia słowo *subtelni* tak, jakby było napisane kursywą, lecz ja – który należę do wtajemniczonych – wiem, że poeta przeczytał kiedyś rozważania Pascala o duchu subtelnym i duchu geometrycznym¹, przed stu pięćdziesięciu laty, i od tego czasu dzielił ludzkość na subtelną i niesubtelną.

– A może myślisz, że są subtelni? – spytał bojowo, kiedy student milczał.

Student zapinał rozporek i zauważył, że Lermontow rzeczywiście, tak jak napisała o nim hrabina N.P. Rostopczinowa, ma bardzo krótkie nogi. Odczuł wdzięczność, bo był to pierwszy wielki poeta, który zaszczycił go poważnym pytaniem i oczekiwał poważnej odpowiedzi.

– Myślę – odparł – że istotnie nie są subtelni.

Lermontow odwrócił się na swoich krótkich nogach: – Nie, w ogóle nie są subtelni. – A potem dodał podniesionym głosem:

– Ale ja jestem dumny! Rozumiesz?! Ja jestem dumny!

¹ W oryginale: *esprit de geometrie* i *esprit de finesse*. Boy w polskim przekładzie *Myśli* z 1921 roku nazwał to „zmysłem geometrycznym” i „zmysłem życiowym”. (Przyp. tłum.)

I znów słowo *dumny* w jego ustach było napisane kursywą, która miała dać do zrozumienia, że tylko głupiec mógłby sądzić, iż Lermontow jest dumny jak panienka ze swej urody albo kupiec ze swojego majątku, albowiem chodziło tu o szczególną dumę, uzasadnioną i wzniosłą.

– Jestem dumny! – krzyczał Lermontow wracając ze studentem do sali, w której właśnie Wolter wysławiał Goethego. Ale Lermontow był już w euforii. Stał przy stole, dzięki czemu zrobił się nagle o głowę wyższy od pozostałych, którzy siedzieli, i oświadczył: – A teraz będę dumny! Teraz coś wam powiem i będę dumny! W tym kraju jest tylko dwóch poetów. Goethe i ja.

W tym momencie Wolter oburzył się na niego i zawołał: – Może jesteś wielkim poetą, ale skoro tak o sobie mówisz, to jesteś małym człowiekiem!

Lermontow przez chwilę jękał się zakłopotany: – A dlaczego nie miałbym tego powiedzieć? *Ja jestem dumny!*

Jeszcze kilkakrotnie powtórzył, że jest dumny, Wolter zaś ryczał ze śmiechu, a inni ryczeli wraz z nim.

Student rozumiał, że nadeszła jego chwila. Naśladując Lermontowa wstał, rozejrzał się po wszystkich i powiedział: – Wy w ogóle nie rozumiecie Lermontowa. Duma poety to coś zupełnie innego, niż zwykła duma. Tylko sam poeta zna wartość tego, co pisze. Pozostali ludzie rozumieją to znacznie później od niego, a czasem w ogóle nie rozumieją. Dlatego poeta ma obowiązek być dumny. Gdyby taki nie był, zdradziłby swe dzieło.

Mimo że jeszcze przez chwilę wszyscy uśmiechali się, to jednak zgodzili się ze stwierdzeniem studenta. Byli bowiem tak samo dumni jak Lermontow, tylko że wstydzili się do tego przyznać, bo nie wiedzieli, że jeśli słowo *dumny* wymówi się w odpowiedni sposób, to nie jest już śmieszne, ale uduchowione i wzniosłe. Odczuli więc wdzięczność wobec studenta, że posłużył im tak pożyteczną radą, a któryś z nich – chyba to był Verlaine – nagroził go nawet oklaskami.

Goethe czyni z Krystyny królową

Student usiadł, a Goethe zwrócił się do niego z życzliwym uśmiechem: – Chłopcze, widzę, że pan wie, co to jest poezja.

Wszyscy inni znów powrócili do swej pijackiej debaty i student został sam na sam z wielkim poetą. Chciał wykorzystać tę wyjątkową okazję, lecz nagle nie wiedział, co powiedzieć. A ponieważ tak usilnie szukał właściwego zdania (podczas gdy Goethe cicho się do niego uśmiechał), więc oczywiście nie mógł znaleźć żadnego i leż tylko się uśmiechał. Aż nagle przyszła mu z pomocą myśl o Krystynie.

– Chodzę teraz z pewną dziewczyną, a właściwie panią. To żona rzeźnika.

Spodobało się to Goethemu i uśmiechnął się jeszcze bardziej życzliwie.

– Uwielbia pana. Dała mi książkę z prośbą o dedykację.

– Proszę mi ją dać – powiedział Goethe i wziął od studenta tomik swoich wierszy. Otworzył go na tytułowej stronie i mówił dalej: – Proszę mi coś o niej opowiedzieć. Jak wygląda? Czy jest ładna?

Będąc twarzą w twarz z Goethem student nie potrafił kłamać. Przyznał, że żona rzeźnika nie jest piękną. Oprócz tego przyjechała śmiesznie ubrana. Przez cały dzień chodziła po Pradze w wielkich koralach na szyi i w czarnych wieczorowych pantoflach, jakich się już dawno nie nosi.

Goethe słuchał studenta ze szczerym zainteresowaniem i szepnął tęsknie: – To wspaniałe.

Dodało to otuchy studentowi, który zdradził też, że rzeźniczka ma jeden złoty ząb, który lśni w jej ustach jak złota muszka.

Goethe roześmiał się radośnie i poprawił studenta: – Jak pierścień.

– Jak latarnia morska – uśmiechnął się student.

– Jak gwiazda – licytował dalej Goethe.

Student oświadczył wreszcie, że żona rzeźnika jest właściwie najzwyczajszą małomiasteczkową paniusią, ale właśnie dlatego tak bardzo go pociąga.

– Doskonale pana rozumiem – stwierdził Goethe. – Właśnie takie detale: źle dobrany strój, drobna wada uzębienia, czarująca przeciętność duszy, czynią kobietę prawdziwą i żywą. Kobiety z plakatów czy z rewii mody, do których wszystkie starają się dziś upodobnić, nie są pociągające, ponieważ są nierzeczywiste, ponieważ są tylko sumą abstrakcyjnych reguł. Zrodziła je maszyna cybernetyczna, a nie ludzkie ciała! Przyjacielu, ręczę za to, że właśnie owa małomiasteczkowa paniusia jest najwspanialszą kobietą dla poety! Szczerze panu gratuluje!

Potem pochylił się nad tytułową kartą książki, wyjął pióro i zaczął pisać. Zapisał całą stronę: pisał z entuzjazmem, niemal w transie, a jego twarz promieniowała światłem miłości i zrozumienia.

Student wziął książkę i poczerwieniał z dumy. To, co napisał Goethe nieznannej kobiecie, było piękne i smutne, tęskne i zmysłowe, żartobliwe i mądre; student był pewny, że jeszcze żadna kobieta nie otrzymała tylu wspaniałych słów. Pomyślał o Krystynie i bardzo jej zapragnął. Jej śmieszny strój poezja przykryła zwojem najpiękniejszych słów. Stała się z niej królowa.

Znoszenie poety

Do salonu wszedł kelner, lecz tym razem nie niósł nowej butelki. Zamiast tego poprosił poetów, aby byli uprzejmi szykować się do wyjścia. Dom za chwilę ma być zamykany. Dozorczyńni grozi, że kio do tego czasu nie wyjdzie, będzie musiał czekać do rana.

Trzeba to było jeszcze kilkakrotnie powtórzyć, głośno i cicho, wszystkim razem i każdemu z osobna, zanim poeci zdołali sobie wreszcie uświadomić, że z dozorczynią nie ma żartów. Petrarka nagle przypomniał sobie o swojej żonie w czerwonym szlafroku i wstał od stołu tak szybko, jakby go ktoś kopnął.

W tym momencie Goethe odezwał się smutnym głosem: – Zostawcie mnie lulaj, chłopcy. Ja tu zostanę. – Kule stały obok niego oparte o stół, a kiedy przekonywali poetę, on tylko kręcił głową.

Wszyscy znali jego żonę, złą i surową kobietę. Każdy się jej bał. Wiedzieli, że jeśli Goethe nie wróci na czas do domu, ona zrobi im wielki skandal.

– Johanku – prosili go – miej rozum. Musisz iść do domu – i nieśmiało brali go pod pachy, usiłując dźwignąć na nogi. Lecz król Olimpu był ciężki, a ich ręce nieśmiałe. Był co najmniej o trzydzieści lat od nich starszy, prawdziwy patriarcha, więc kiedy chcieli go podnieść i podać mu kule, czuli się wszyscy zakłopotani i słabi. On zaś wciąż powtarzał, że chce tu zostać.

Nikt się z nim nie zgadzał, jedynie Lermontow skorzystał z okazji, żeby okazać się mądrzejszym od innych: – Chłopcy, zostawcie go, ja z nim zostanę do rana. Nie rozumiecie go? Kiedy był młody, całymi tygodniami nie wracał do domu! Chce znów cofnąć czas, przywołać młodość. Nie rozumiecie tego, idioci? My się tu położymy na dywanie i zostaniemy do rana z tą flaszeczką czerwonego wina, prawda Johanku? A oni niech sobie idą! Niech Petrarka biegnie do swojej żony w czerwonym szlafroku i z rozpuszczonymi włosami!

Wolter wiedział jednak, że Goethego nie zatrzymuje nostalgia za młodością. Poeta był po prostu chory i nie wolno mu było pić alkoholu. Kiedy pił, nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Wolter wziął więc energicznie obie kule i polecił pozostałym, aby wyzbyli się niepotrzebnego zażenowania. Słabe ręce pijanych poetów chwyciły Goethego pod ramiona i uniosły go z krzesła. Nieśli go potem, a raczej wlekli (nogi Goethego chwilami dotykały ziemi, a chwilami unosiły się ponad nią, jak nogi dziecka, z którym rodzice bawią się w aniołka) przez salon do holu. Jednak Goethe był ciężki, a poeci – pijani, więc w drzwiach upuścili go na ziemię, on zaś jęczał i wołał: – Przyjaciele, pozwólcie mi tutaj umrzeć!

Wolter rozgniewał się i krzyczał, żeby natychmiast podnieść Goethego. Poeci zawstydzili się. Jedni ujęli go pod pachy, inni za nogi, chwycili go wspólnym wysiłkiem i wynieśli z klubu na schody. Nieśli go wszyscy. Niósł Wolter, Petrarka, Verlaine, Boccaccio, a nawet bełkoczący Jesienin przytrzymał się nogi Goethego, żeby nie upaść.

Student również starał się nieść wielkiego poetę, bo wiedział, że taka okazja zdarza się tylko raz w życiu. Lecz nie udało mu się, bowiem Lermontow za bardzo go sobie upodobał. Trzymał studenta pod rękę i stale mu coś opowiadał.

– Nie tylko nie są subtelni – mówił – ale są wręcz niezgrabni. To wszystko rozpieszczeni synalkowie. Popatrz, jak go niosą! Jeszcze go znów upuszczają! Nigdy w życiu nie pracowali rękami. A wiesz, że ja pracowałem w fabryce?

(Nie zapominajmy, że wszyscy bohaterowie tych czasów i tego kraju przeszli przez fabrykę; bądź dobrowolnie – z rewolucyjnego entuzjazmu i zapału, bądź też niedobrowolnie – za karę. W obu wypadkach byli z tego powodu tak samo dumni, ponieważ wydawało im się, że w fabryce pocałowała ich w czoło sama wzniosła bogini Surowości Życia.)

Trzymając go za ręce i za nogi poeci znosili na dół po schodach swego patriarchę. Klatka schodowa miała kształt czworokąta, zakręcała wielokrotnie w prawą stronę i właśnie te zakręty sprawiały niosącym najwięcej kłopotów.

Lermontow ciągnął dalej: – Przyjacielu, czy ty wiesz, co to znaczy nosić poprzecznicę? Ty ich nigdy nie nosiłeś, bo jesteś student. Ale oni też ich nigdy nie nosili. Zobacz, jak go głupio trzymają. Znów im spadnie! – I krzyknął na nich: – Przerzucie go, durnie, bo wam znów spadnie! Nigdy żeście nie pracowali tymi swoimi rączkami! – Prowadził dalej studenta pod rękę i powoli schodził za chwiejącymi

się poetami, którzy kurczowo trzymali coraz cięższego Goethego. Wreszcie dotransportowali go na dół, na chodnik, i oparli o latarnię. Petrarca i Boccaccio przytrzymywali go, żeby nie upadł, a Wolter wyszedł na jezdnię i machał na samochody, z których jednak żaden nie chciał się zatrzymać.

A Lermontow mówił do studenta: – Czy masz świadomość tego, co widzisz? Ty jesteś student i nie znasz życia, ale to jest wspaniała scena! Znoszenie poety. Wiesz, jaki mógłby o tym powstać wiersz?

Tymczasem Goethe osunął się na ziemię i Petrarca z Boccacciem musieli go znów podnosić.

– Popatrz – kontynuował Lermontow – nawet go nie potrafią podnieść. Mają słabe ręce. Nie znają życia. Znoszenie poety. To wspaniały tytuł. Rozumiesz? Piszę teraz dwa tomiki wierszy. Zupełnie różne. Pierwszy ma formę klasyczną, z rymami i regularnym rytmem. Drugi natomiast pisany jest wolnym wierszem i będzie nosił tytuł *Raporty poetyckie*. Końcowy wiersz zatytułuję *Znoszenie poety*. Będzie to ostry wiersz. Ale uczciwy. *Uczciwy*.

I znów słowo to wypowiedział Lermontow z naciskiem. Oznaczało przeciwieństwo wszystkiego, co stanowi ornament i dowcip. Oznaczało przeciwieństwo snów Petrarki i wygłupów Boccaccia. Oznaczało patos pracy robotnika i niezachwianą wiarę w narzuconą odgórnie boginię Surowości Życia.

Verlaine upił się nocnym powietrzem, stał na chodniku, patrzył w gwiazdy i śpiewał. Jesienin usiadł, oparł się o ścianę domu i usnął. Wolter stale polował na jezdni na przejeżdżające taksówki i wreszcie udało mu się jedną zatrzymać. Z pomocą Boccaccia umieścił Goethego na tylnym siedzeniu i wołał Petrarce, żeby usiadł z przodu, ponieważ on jeden potrafi jako tako udobruchać panią Goethe. Petrarca jednak zdecydowanie oponował: – Co takiego? Ja? Ależ skąd! Ja się jej boję!

– Widzisz go! – znów Lermontow odezwał się do studenta.

– Jak trzeba pomóc przyjacielowi, to on ucieknie. Nikt z nich nie potrafi rozmawiać z jego starą. – I pochylił się nad samochodem, w którym na tylnym siedzeniu tłoczyli się strasznie Goethe, Boccaccio i Wolter. – Chłopaki, jadę z wami. Panią Goethe zostawcie mnie – i usiadł na wolnym siedzeniu koło kierowcy.

Petrarka odrzuca śmiech Boccaccia

Taksówka z poetami zniknęła studentowi z oczu, a on pomyślał, że już najwyższy czas wracać do pani Krystyny.

– Muszę wracać do domu – oświadczył Petrarce.

Ten tylko przytaknął, wziął studenta pod rękę i ruszył z nim w przeciwną stronę, niż znajdowała się mansarda.

– Wie pan – mówił Petrarca – pan jest człowiekiem wrażliwym. Tylko pan potrafi słuchać tego, co opowiadają inni.

– Mógłbym panu powtórzyć tymi samymi słowami, jakich pan użył, całą opowieść o dziewczynie, która jak Joanna d'Arc z kopią stoi pośrodku pokoju – stwierdził student.

– Przecież ci pijacy nawet nie chcieli mnie wysłuchać do końca! Czy w ogóle interesuje ich coś innego niż oni sami?

– Albo jak pańska żona przestraszyła się, że ta dziewczyna chce pana zabić, pan jednak zbliżył się do napastniczki, a jej spojrzenie stawało się coraz bardziej miękkie i łagodne, co stanowiło niemal cud.

– Ach, przyjacielu, pan jest poetą. Pan, nie oni! – Petrarca prowadził studenta pod rękę w kierunku swego odległego mieszkania na przedmieściu.

– A jak to się skończyło? – pytał student.

– Zona zlitowała się – pozwoliła jej zostać u nas do rana. Ale niech pan sobie wyobrazi co dalej! Moja teściowa sypia w pokoiku za kuchnią i wstaje bardzo wcześnie. Kiedy zobaczyła, że mamy potłuczone szyby w oknach, natychmiast znalazła szklarzy, którzy przypadkiem pracowali w sąsiednim domu, więc zanim się obudziliśmy, wszystkie szyby były na swoim miejscu. Po poprzednim dniu nie zostało ani śladu. Mieliśmy wrażenie, że to był sen.

– A dziewczyna? – spytał student.

– Ona też nad ranem po cichu opuściła mieszkanie.

Petrarka nagle zatrzymał się na środku ulicy i niemal surowo spojrzał na studenta: – Wie pan, przyjacielu, bardzo bym nie chciał, żeby pan potraktował tę opowieść jako jakąś Boccacciowską historyjkę, która kończy się w łóżku. Powinien pan wiedzieć: Boccaccio jest głupcem. On nigdy nikogo nie zrozumie, bo zrozumieć to znaczy utożsamić się. To jest cała tajemnica poezji. Gorejemy w uwielbianej kobiecie, gorejemy w idei, której jesteśmy oddani, płoniemy w krajobrazie, który nas wzrusza.

Student słuchał Petrarcki z zachwytem, a przed oczami miał Krystynę, o której jeszcze przed kilku godzinami myślał zupełnie inaczej. Wstydił się teraz wcześniejszych wątpliwości, ponieważ należały do gorszej (Boccacciowskiej) połowy jego charakteru; nie były kwiatem jego siły, lecz tchórzliwości: świadczyły o tym, że bał się poddać uczuciu bez reszty, w całości, że bał się goreć w kobiecie, która go kocha.

– Miłość jest poezją, a poezja jest miłością – ciągnął dalej Petrarcka, a student obiecywał sobie, że będzie Krystynę kochał gorąco i z entuzjazmem. Goethe przed chwilą odział rzeźniczkę w królewskie szaty, a teraz Petrarcka wlewa żar w serce studenta. Noc, którą spędzą ze sobą, nosi piętno obu poetów.

– Tymczasem śmiech – kontynuował Petrarcka – to wybuch, który odrzuca nas od świata i wpędza we własną zimną samotność. Żart to bariera pomiędzy światem a człowiekiem. Żart jest wrogiem poezji i miłości. Dlatego znów podkreślam i chciałbym, żeby pan to rozumiał: Boccaccio nie pojmuje miłości. Miłość przecież nie może być śmieszna. Miłość nie ma nic wspólnego ze śmiechem.

– Tak – potwierdził student z zapalem. Widział świat rozdzielony na połowę miłości i połowę żartu i wiedział, że on sam należy i będzie należał do armii Petrarcki.

Aniołowie unoszą się nad łóżem studenta

Nie spacerowała nerwowo po pokoju, nie gniewała się, nie robiła mu wyrzutów i nie stała w oknie. Leżała skulona w nocnej koszuli pod jego kocem. Zbudził ją pocałunkiem w usta i żeby uprzedzić wymówki opowiadał gorączkowo o wspaniałym wieczorze, na którym doszło do dramatycznej walki między Boccacciem i Petrarcką i gdzie Lermontow obrażał wszystkich pozostałych poetów.

Nie interesowało jej to zbyt, więc przerwała mu z niedowierzaniem: – Ale o książce zapomniałeś?

Kiedy podał jej tomik z długą dedykacją Goethego, nie wierzyła własnym oczom. Czytała wciąż na nowo te niewiarygodne zdania, jakby zawierały w sobie całą jej równie niewiarygodną przygodę ze studentem, całe ostatnie lato, tajne schadzki na leśnych ścieżkach, wszelką delikatność i czułość, które jakby nie należały do jej życia.

Tymczasem student rozebrał się i leżał koło niej. Objęła go mocno i przycisnęła do siebie. To był uścisk, jakiego jeszcze nie zaznał. Był szczery, gorący, macierzyński, siostrzany, przyjacielski i namiętny. Lermontow w czasie wieczoru powtórzył kilkakrotnie słowo *uczciwy*, a student miał wrażenie, że uścisk Krystyny zasługuje na taką syntetyczną nazwę, która zawiera w sobie szereg przymiotników.

Student czuł, że jego ciało jest wspaniale przygotowane do miłości. Było przygotowane tak solidnie, trwale i mocno, że wcale się nie spieszył i spokojnie smakował długą, słodką chwilę nieruchomego objęcia.

Zmysłowo całowała go w usta, a jednocześnie jak siostra – po całej twarzy. Dotykał językiem jej złotego zęba na górze, z lewej strony, i przypominał sobie, co mu powiedział Goethe: Krystyna nie jest zrodzona przez maszynę cybernetyczną, ale przez ludzkie ciało! To najwspanialsza kobieta dla poety! Chciał wycić ze szczęścia. Słyszał w duchu słowa Petrarcki, że miłość jest poezją, a poezja miłością i że zrozumieć to znaczy utożsamić się z tym drugim i płonąć w nim. (Tak, wszyscy trzej poeci są tu z nim, unoszą się nad jego łóżkiem jak aniołowie, cieszą się, śpiewają, błogosławią mu!) Bezgraniczny entuzjazm przepełniał studenta, który wreszcie zdecydował, że już czas zmienić lermontowską uczciwość nieruchomego uścisku w prawdziwy akt miłosny. Opadł na ciało Krystyny i starał się kolanami rozsunąć jej nogi.

Ale cóż to? Krystyna się broni! Zaciska nogi tak samo mocno jak na letnich spacerach w lesie!

Chciał spytać, czemu się przed nim broni, lecz nie potrafił mówić. Pani Krystyna jest tak nieśmiała, tak delikatna, że w jej obecności wszystkie sprawy związane z miłością traciły nazwy.

Potrafił mówić tylko językiem oddechów i dotyków. Po cóż im ociężałość słów? Przecież płonął w niej! Palili się wspólnym płomieniem! Więc tylko znów i znów w uporczywym milczeniu starał się wsunąć kolano pomiędzy jej zaciśnięte uda.

Pani Krystyna też była milcząca. Ona również wstydiła się mówić i chciała wyrazić wszystko pocałunkami i dotykami. Kiedy jednak już po raz dwudziesty piąty atakował jej nogi, tym razem brutalniej, szepnęła: – Nic, proszę cię, nic. Ja bym umarła.

– Co? – wyjąkał student.

– Ja bym umarła. Naprawdę. Ja bym umarła – szepnęła pani Krystyna i znów namiętnie pocałowała go w usta i zaciskała mocno uda.

W studencie mieszały się wściekłość i szczęście. Miał straszną ochotę się z nią kochać, a jednocześnie chciało mu się płakać ze wzruszenia, bo rozumiał, że ona kocha go tak, jak nikt przedtem. Kocha go do

śmierci, kocha go tak, że boi się z nim kochać, bo gdyby się na to zdecydowała, nie mogłaby już później bez niego żyć, umarłaby z tęsknoty i pragnienia. Był szczęśliwy, szalał ze szczęścia, ponieważ nagle, nieoczekiwanie i zupełnie niezasłużenie, osiągnął to, o czym marzył. Osiągnął tak wspaniałą miłość, że w jej obliczu cała kula ziemską ze swymi kontynentami i morzami była niczym.

– Wszystko rozumiem! Ja umrę z tobą! – szepnął i głaskał ją, i całował, i niemal płakał ze szczęścia. Wielka czułość nie ukoiliła jednak cielesnego pożądania, które nagle stawało się coraz bardziej niezdolne i bolesne. Dlatego nadal próbował wsunąć kolano między jej uda, by w ten sposób otworzyć sobie dostęp do jej łona, które stało się bardziej tajemnicze niż święty Graal.

– Nie, ty nie umrzesz. Ja bym umarła – dyszała Krystyna.

Wyobraził sobie przeogromną rozkosz, że umiera wraz z nią i powtarzał stale: – Umrzemy razem! Umrzemy razem! – Wciąż walczył z jej udami, ale nadal bez powodzenia.

Nie potrafili sobie nic więcej powiedzieć. Tulili się do siebie, ona kręciła głową, a on jeszcze wielokrotnie atakował twierdzą jej łona, nim wreszcie skapitulował. Zrezygnowany położył się obok niej na plecach. Ujęła go za berło jego miłości, które unosiło się na jej cześć, i obejmowała je z całą przepiękną uczciwością: szczerze, mocno, gorąco, macierzyńsko, siostrzanie, przyjacielsko i namiętne.

W studencie mieszała się rozkosz człowieka, który jest kochany absolutnie, z wściekłością ciała, które zostało odrzucone. A żona rzeźnika nie przestawała go trzymać za jego miłosną broń, lecz nie tak, żeby kilkoma prostymi ruchami zastąpić mu akt miłosny, którego pragnął, ale w ten sposób, jakby trzymała coś drogiego i kruche, coś, czego nie chce uszkodzić i pragnie na długo zachować wyprostowane i twarde.

Ale dość już tej nocy, która trwała tak bez większych zmian aż do rana.

Brudne światło poranka

Ponieważ zasnęli bardzo późno, obudzili się koło południa i obydwójce bolała głowa. Mieli już niezbyt dużo czasu, bo pociąg Krystyny wkrótce miał odjeżdżać. Milczeli. Krystyna schowała do torby nocną koszulę i książkę Goethego. Znow chodziła w swoich śmiesznych czarnych pantoflach i z niestosownymi koralami na szyi.

Brudne światło poranka jakby zdjęło z nich pieczęć milczenia, jakby po nocy poezji nadchodził dzień prozy, pani Krystyna powiedziała studentowi całkiem naturalnie: – Wiesz, nie powinieneś się na mnie gniewać, ja naprawdę mogłabym umrzeć. Lekarz po pierwszym porodzie powiedział mi, że już nigdy nie wolno mi zająć w ciążę.

Student spojrział na nią zrozpaczony: – To ze mną miałabyś zająć w ciążę? Za kogo mnie uważasz?

– Wszyscy tak mówią, wszyscy zapewniają. Ale ja wiem, co się przytrafiło moim koleżankom. Młodzi chłopcy tacy jak ty są bardzo niebezpieczni. A jak to się stanie, to już nie ma ratunku.

Z wściekłością w głosie tłumaczył jej, że nie jest żadnym niedoświadczonym chłopcem, że nigdy by jej nie zrobił dziecka: – Chyba nie chcesz mnie porównywać z jakimiś chłopakami twoich koleżanek?!

– No, wiem – zgodziła się niemal z przeprosinami w głosie. Student nie musi jej więcej przekonywać. Uwierzyła mu. Nie jest przecież żadnym kmiotkiem i może bardziej zna się na miłości niż wszyscy mechanicy samochodowi świata. Pewnie niepotrzebnie broniła się przed nim w nocy. Ale nie żałowała tego. Miłosna noc z jakimś krótkim aktem (Krystyna nie potrafi sobie inaczej wyobrazić fizycznej miłości, jak tylko krótką i pospieszoną) jest dla niej zawsze czymś wprawdzie przyjemnym, ale równocześnie niebezpiecznym i zdradliwym. To, co przeżyła ze studentem, było nieskończenie lepsze.

Odprowadził ją na dworzec, a ona już cieszyła się, że będzie siedzieć sama w przedziale i odda się wspomnieniom. Powtarzała sobie w duchu z praktyczną chciwością prostej kobiety, że przeżyła coś, czego jej „nikt nie odbierze”: spędziła noc z chłopakiem, który zawsze wydawał jej się nierzeczywisty, niedotykalny i odległy, a tym razem trzymała go przez całą noc za wyprostowany członek. Tak, przez całą noc! Tego naprawdę jeszcze nigdy nie przeżyła! Może już go więcej nie zobaczy, ale i tak nie liczyła, że będą się stale spotykać. Była szczęśliwa, że ma po nim trwać pamiętkę: wiersze Goethego ze wspaniałą dedykacją, która zawsze może ją przekonać, że jej przygoda nie była snem.

Tymczasem student był wściekły. Przecież wystarczyło powiedzieć w nocy jedno sensowne zdanie! Wystarczyło nazwać rzeczy po imieniu, a mógł ją mieć! Ona się bała, żeby nie zrobił jej dziecka, a on myślał, że przeraża ją ogrom miłości! Patrzał w przepastną otchłań swej głupoty i miał ochotę ryczeć ze śmiechu, płaczliwego i histerycznego śmiechu!

Wracał z dworca do swej pustelni bez miłosnych nocy, a *litost* wracała razem z nim.

Dalszy ciąg teorii litosti

Na dwóch przykładach z życia studenta pokazałem dwie możliwe reakcje człowieka na własną *litost*. Jeśli nasz partner jest słabszy od nas, krzywdzimy go pod byle pretekstem, tak jak student skrzywdził dziewczynę, która szybciej od niego pływała.

Jeśli natomiast partner jest silniejszy, nie pozostaje nam nic innego, jak zemścić się określną drogą – metodą morderstwa za pośrednictwem samobójstwa. Chłopczyk tak długo gra na skrzypcach fałszywe tony, aż wreszcie nauczyciel nie wytrzyma tego i wyrzuca go przez okno. Chłopiec spada, ale w trakcie lotu cieszy się, że zły nauczyciel zostanie oskarżony o morderstwo.

To są dwa klasyczne sposoby i o ile pierwszy występuje powszechnie w życiu kochanków i małżonków, to drugi nieskończenie często pojawia się w tak zwanej wielkiej historii ludzkości. Prawdopodobnie wszystko to, co nauczyciele historii nazywali bohaterstwem, nie było niczym innym niż formą *litosti*, którą opisałem na przykładzie chłopczyka i profesora gry na skrzypcach. Persowie zdobywają Peloponez, a Spartanie popełniają w sztuce wojennej błąd za błędem. Podobnie jak chłopiec nie chciał zagrać właściwego tonu, tak i oni, zaślepieni przez łyż wściekłości, nie potrafią przedsięwziąć nic rozumnego; nie są w stanie ani walczyć lepiej, ani poddać się, ani ratować się ucieczką i z *litosti* pozwalają się pozabijać co do jednego.

Przy okazji wpadło mi do głowy, że nie przez przypadek pojęcie *litosti* zrodziło się w Czechach. Historia Czechów – historia wiecznych buntów przeciw silniejszym, historia słynnych porażek, które wprawiły w ruch świat, i doprowadzały naród do zguby – to historia *litosti*. Kiedy w sierpniu 1968 roku tysiące rosyjskich czołgów zajęło ten malutki i wspaniały kraj, zobaczyłem na murach jednego miasta napis: *My nie chcemy kompromisu, chcemy zwycięstwa!* Zrozumcie, do wyboru było w tym momencie kilka wariantów porażek, nic więcej, lecz to miasto odrzucało kompromis i chciało zwycięstwa! Tu nie przemawiał rozum; przemawiała *litost*. Temu, kto odrzuca kompromis, pozostaje w końcu do wyboru tylko ten najgorszy wariant klęski. Ale *litost* właśnie tego pragnie. Człowiek opanowany przez to uczucie mści się za pomocą własnej zagłady. Chłopczyk stał się mokrą plamą na chodniku, ale jego nieśmiertelna dusza będzie się na wieki cieszyć, że nauczyciel powiesił się na kłamce od okna.

Lecz w jaki sposób ma student skrzywdzić panią Krystynę?

Zanim jest w stanie cokolwiek przedsięwziąć, ona już wsiada do wagonu. Teoretycy znają taką sytuację i twierdzą, że następuje wtedy to, co nazywają *spotęgowaniem litosti*.

To jest najgorsze, co się może stać. Student miał w sobie *litost* jak guz, który rośnie z minuty na minutę, i nie wiedział, co z tym robić. Ponieważ nie mógł się na nikim zemścić, pragnął choć pocieszenia. Dlatego pomyślał o Lermontowie. Przypomniał sobie, jak Goethe go obrażał, jak poniżał go Wolter i jak Lermontow na nich wszystkich krzyczał, że jest dumny, jakby wszyscy poeci zgromadzeni wokół stołu byli nauczycielami gry na skrzypcach, a on ich chciał sprowokować, żeby go wyrzucili przez okno.

Student zapragnął spotkania z Lermontowem jak z bratem. Sięgnął do kieszeni. Poczuł w środku duży złożony papier. To była wyrwana z zeszytu kartka z napisem: *Czekam na ciebie. Kocham. Krystyna. Północ.*

Zrozumiał. Marynarka, którą dziś miał na sobie, wisiła wczoraj na wieszaku w jego garsonierze. Późno odnaleziony list potwierdził mu tylko to, co już wiedział. Przez własną głupotę ciało Krystyny przeszło mu koło nosa. *Litost* wzdęta go jak balon i nie mogła znaleźć ujścia.

Na dnie beznadziejności

Było późne popołudnie i student pomyślał, że poeci już chyba są wyspani po wczorajszej pijatyce. Może spotka ich w klubie literatów. Wbiegł na pierwsze piętro, przeszedł koło szatni i skierował się w prawo, do restauracji. Nie był przyzwyczajony do tego miejsca, stanął więc w drzwiach i rozglądał się niepewnie. Z tyłu siedział Petrarka i Lermontow z jakimiś dwoma nieznanymi ludźmi. W pobliżu był wolny stolik i student przy nim usiadł. Nikt z obecnych nie zwrócił na niego uwagi. Wydawało mu się nawet, że Petrarka i Lermontow przez chwilę popatrzyli na niego nieprzytomnym spojrzeniem i nie poznali go. Zamówił u kelnera tampkę koniaku, a w głosie brzmiał mu nieskończenie smutny i nieskończenie piękny tekst wyznania Krystyny: *Czekam na ciebie. Kocham. Krystyna. Północ.*

Siedział tak ze dwadzieścia minut i popijał koniak. Spojrzenie na Petrarkę i Lermontowa zamiast pociechy przyniosło mu tylko nowe rozczarowanie. Był opuszczony przez wszystkich, opuszczony przez Krystynę i przez poetów. Był samotny z wielkim papierem, na którym napisano: *Czekam na ciebie.*

Kocham. Krystyna. Północ. Pragnął wstać i trzymać ten papier wysoko nad głową, żeby go wszyscy widzieli, żeby wiedzieli, że on – student – jest kochany, jest kochany w sposób absolutny.

Zawołał kelnera, żeby zapłacić. Potem jeszcze zapalił papierosa. Nie chciał już wprawdzie pozostać w klubie, pragnął jednak odsunąć konieczność powrotu do mansardy, w której na niego nie czekała żadna kobieta. Wreszcie zdusił papierosa w popielniczce i w tym samym momencie zauważył, że Petrarca go dostrzegł i pokiwał mu ręką od swego stołu. Ale było już za późno, *litost* wyciągała go z klubu do jego smutnej samotności. Wstał i w ostatniej chwili wyjął jeszcze z kieszeni kartkę, na której było napisane wyznanie Krystyny. Ten papier nie sprawi mu już żadnej radości. Ale jeśli go tu zostawi, może go ktoś zauważy i będzie wiedział, że student jest tak bardzo kochany.

Ruszył w stronę drzwi.

Nieoczekiwana chwala

– Przyjacielu – usłyszał w tej chwili i odwrócił się. Petrarca machał do niego i szedł w jego kierunku.
– Pan już wychodzi?

– Przepraszał, że od razu go nie poznał: – Zawsze na drugi dzień po przepiciu jestem trochę otępiaty. Student tłumaczył, że nie chciał im przeszkadzać, bo nie znał panów, z którymi siedzieli.

– To głupcy – odpowiedział Petrarca i prowadził go do stołu, od którego student właśnie wstał. Młodzieniec z przerażeniem wpatrywał się w dużą kartkę papieru porzuconą na stole. Gdyby choć był to mały, niepozorny paperek, ale ta wielka kartka jakby wprost krzyczała o niezręcznym zamiarze, z jakim została zapomniana na stole.

Petrarka, którego czarne oczka błyskały z zaciekawieniem, natychmiast zauważył arkusik i zaczął go oglądać: – Co to jest? Ach, to należy do pana, przyjacielu?

Student starał się niezręcznie udawać zakłopotanie człowieka, który przez pomyłkę zostawił intymny liścik, i próbował odebrać go Petrarce.

Ale ten już czytał na głos: – Czekam na ciebie. Kocham. Krystyna. Północ.

Popatrzył studentowi w oczy i spytał: – Która północ? Chyba nie wczorajsza?

Student spuścił wzrok: – Wczorajsza – odparł i już nie próbował wyrwać listu Petrarce.

W tej chwili na swych krótkich nogach podszedł do ich stolika Lermontow. Podał studentowi rękę: – Cieszę się, że pana spotykam. Tamci – wskazał na stół, od którego odszedł – to straszni głupcy. – Dosiadł się do obydwu mężczyzn.

Petrarka natychmiast przeczytał Lermontowowi tekst wyznania Krystyny, przeczytał go kilkakrotnie, dźwięcznym i śpiewnym głosem, jakby to był wiersz.

W tej chwili pomyślałem sobie, że tam, gdzie nie można spoliczkować szybciej pływającej dziewczyny ani dać się zabić Persom; tam gdzie nie ma żadnego wyjścia z *litosti*, przychodzi na pomoc łaska poezji.

Co pozostało z tej zupełnie niefortunnej historii? Tylko poezja. Słowa wpisane do książki Goethego, którą wiezie z sobą Krystyna, i słowa na kartce papieru, które przyniosły studentowi nieoczekiwaną chwałę.

– Przyjacielu – Petrarca chwycił studenta za rękę – proszę się przyznać, że pan pisze wiersze! Proszę się przyznać, że jest pan poetą!

Student spuścił wzrok i przyznał, że Petrarca się nie myli.

Lermontow zostaje sam

Student przyszedł do klubu literatury dla Lermontowa, ale od tej chwili jest dla niego stracony, a Lermontow jest stracony dla studenta. Lermontow nienawidzi szczęśliwych kochanków. Chmurzy się i mówi z pogardą o poezji przesłodzonych uczuć i wielkich słów. Mówi o tym, że wiersz musi być uczciwy jak przedmiot wyprodukowany rękami robotnika. Marszczy się i jest zły na Petrarce i na studenta. My dobrze wiemy, o co chodzi. Goethe też wiedział. To z niedojebania. To straszliwa *litost* z powodu niedojebania.

Któż lepiej mógłby go zrozumieć niż student? Lecz ten niepoprawny głuptas widzi tylko jego zachmurzoną twarz, słyszy tylko jego złe słowa i czuje się urażony.

Patrzę na nich z oddali mej francuskiej wieży. Petrarca i student wstają od stolika. Żegnają się chłodno z Lermontowem. A Lermontow zostaje sam.

Mój drogi Lermontow, geniusz tej męki, którą w mych smutnych Czechach nazywają słowem *litost*.

Część szósta

Aniołowie

1

W lutym 1948 roku przywódca komunistów Klement Gottwald wyszedł na balkon barokowego praskiego pałacu, by przemówić do setek tysięcy obywateli, wypełniających Rynek Starego Miasta. Była to historyczna chwila w dziejach Czech. Prószył śnieg, było chłodno, a Gottwald stał z odkrytą głową. Troskliwy Clementis zdjął swą futrzaną czapkę i włożył ją na głowę Gottwaldowi.

Ani Gottwald, ani Clementis nie wiedzieli, że po tych samych schodach, po których weszli na historyczny balkon, przez osiem lat chadzał codziennie Franz Kafka, ponieważ za czasów Austro-Węgier w pałacu tym mieściło się niemieckie gimnazjum. Nie wiedzieli także tego, że na parterze Hermann Kafka, ojciec Franza, miał swój kramik z szyldem, na którym obok jego nazwiska widniała namalowana kawka.

O ile jednak Gottwald, Clementis i pozostali nie wiedzieli nic o Kafce, to Kafka wiedział o ich niewiedzy. Praga w jego powieści jest miastem bez pamięci. To miasto zapomniało już nawet, jak się nazywa. Nikt tam niczego nie pamięta i niczego nie wspomina, nawet Józef K. jakby nie wiedział nic o swym dotychczasowym życiu. Nie ma tam ani jednej pieśni, która przypominając chwile swych narodzin, łączyłaby teraźniejszość z przeszłością.

Czas powieści Kafki to czas ludzkości, która utraciła ciągłość, ludzkości, która niczego nie wie i nie pamięta, i mieszka w bezimiennych miastach, gdzie nawet ulice pozbawione są nazw albo nazywają się już inaczej, niż nazywały się wczoraj, bo nazwa jest kontynuacją przeszłości, a ludzie, którzy nie mają przeszłości, nie mają nazwisk.

Praga jest, jak mawiał Max Brod, miastem zła. Kiedy po porażce czeskiej reformacji w 1621 roku jezuita starali się nawrócić naród na prawdziwą wiarę katolicką, zalali Pragę wspaniałościami barokowych kościołów. Tysiące kamiennych świętych, którzy patrzą na nas ze wszystkich stron, grożą, śledzą, hipnotyzują – to posępne wojsko okupantów, którzy przed trzystu pięćdziesięciu laty wdarli się do Czech, aby z duszy narodu wyrwać jego wiarę i jego język.

Tarnina urodziła się przy ulicy Schwerina. Było to w czasie wojny, kiedy Pragę okupowali Niemcy. Jej ojciec urodził się przy alei Czernokosteleckiej. To było za czasów Austro-Węgier. Matka wprowadziła się do ojca na aleję Marszałka Focha. To było po pierwszej wojnie światowej. Tarnina spędziła dzieciństwo na alei Stalina, a mąż zabrał ją do nowego mieszkania w alei Winohradzkiej. Przy tym była to stale ta sama ulica, tylko zmieniali jej nazwy, czyścili mózg, aby zgłupiała.

Po ulicach, które nie wiedzą, jak się nazywają, błądzą widma zwalonych pomników. Burzyła czeska reformacja, burzyła austriacka kontreformacja, burzyła republika czechosłowacka, burzyli komuniści i zburzono nawet pomniki Stalina. W miejscu wszystkich tych zburzonych pomników wyrastają dziś w Czechach tysiące pomników Lenina, wyrastają tam jak trawa na gruzach, jak melancholijne kwiaty zapomnienia.

2

Jeśli Franz Kafka był prorokiem świata bez pamięci, to Gustav Husak jest jego budowniczym. Po T.G. Masaryku zwanym Prezydentem-Oswobodzicielem (wszystkie jego pomniki, bez wyjątku, zostały zburzone), po Beneszu, Gottwaldzie, Zápotockym, Novotnym i Svobodzie jest siódmym prezydentem mojego kraju, nazywanym *prezydentem zapomnienia*.

Rosjanie wynieśli go do władzy w 1969 roku. Od 1621 roku historia narodu czeskiego nie przeżyła takiej masakry inteligencji i świata kultury jak za jego panowania. Wszyscy sądzą, że Husak po prostu prześladował swych przeciwników politycznych. Walka z polityczną opozycją była jednak raczej tylko pretekstem i sprzyjającą okazją, by Rosjanie za pośrednictwem swego namiestnika osiągnęli coś znacznie ważniejszego.

Uważam to za bardzo wymowny fakt, że Husak wyrzucił z uniwersytetów i instytutów naukowych stu czterdziestu pięciu czeskich historyków. (Powiadają, że jak w bajce, za każdego z nich wyrósł gdzieś w Czechach po kryjomu nowy pomnik Lenina.) Jeden z tych historyków, mój przyjaciel Milan Hübl, w bardzo grubych okularach, siedział w 1971 roku w mojej garsonierze przy ulicy Bartolomiejskiej. Patrzyliśmy przez okno na wierzchołki hradeczańskich wież i było nam smutno.

– Narody likwiduje się w taki sposób – mówił Hübl – że najpierw odbiera im się pamięć. Niszczy się ich książki, wykształcenie, historię. Potem ktoś inny napisze im inne książki, da inne wykształcenie,

wymyśli inną historię. Naród powoli zacznie zapominać, kim jest i kim był. A otaczający świat zapomni jeszcze szybciej.

– A język?

– Czemu ktoś miałby go nam odbierać? Stanie się zaledwie folklorem, który wcześniej czy później zdechnie śmiercią naturalną.

Czy była to hiperbola dyktowana przez ogromny smutek?

Czy też prawdą jest, że naród nie przejdzie żywy przez pustynię zorganizowanego zapomnienia?

Nikt z nas nie wie, jak będzie. Jedno wszak jest pewne. W przebiegu jasnovidzenia czeski naród może z bliska dostrzec obraz własnej śmierci. Nie jako terażniejszość ani jako najbliższą przyszłość, lecz mimo wszystko zupełnie konkretną możliwość. Jego śmierć jest z nim.

3

Pół roku później Hübla aresztowali i skazali na wieloletnie więzienie. W tym samym czasie umierał mój ojciec.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat swego życia stopniowo tracił mowę. Najpierw nie mógł sobie przypomnieć niektórych słów, albo zamiast nich używał innych, podobnych i sam zaraz się z tego śmiał. Na końcu zaś potrafił wypowiedzieć zaledwie kilka słów, a wszelkie próby rozszerzenia wypowiedzi kończyły się zdaniem – jednym z ostatnich, jakie mu pozostały: *To dziwne*.

Mówił, że to *dziwne*, a w jego oczach malowało się niewyobrażalne zdumienie, że wszystko wie, ale nic nie potrafi powiedzieć. Rzeczy straciły nazwy i złączyły się w jedno jestestwo. Tylko ja, kiedy z nim rozmawiałem, mogłem na chwilę tę bezimienną nieskończoność przemienić z powrotem w świat rzeczy nazwanych.

Jego wielkie błękitne oczy w pięknej starej twarzy były tak samo mądre jak kiedyś. Prowadzałem go często na spacer. Obchodziliśmy zawsze kilka sąsiednich domów; to było wszystko, na więcej już ojca nie było stać. Poruszał się z trudem, robił małe kroczyki, a przy najłżejszym zmęczeniu jego ciało przechylało się do przodu i ojciec tracił równowagę. Często musieliśmy się zatrzymywać, aby mógł odpocząć, oparty czołem o ścianę.

Na tych spacerach rozmawialiśmy o muzyce. Dopóki ojciec nie miał trudności z mówieniem, pytałem go niewiele. Więc chciałem to teraz nadrobić. Rozmawialiśmy o muzyce, lecz była to szczególna rozmowa pomiędzy tym, kto nie wiedział nic i znał wiele słów, a tym, kto wiedział wszystko, lecz nie znał żadnego słowa.

W ciągu całych dziesięciu lat choroby lata pisał długą książkę o sonatach Beethovena. Pisał wprawdzie trochę lepiej niż mówił, ale nawet i tu coraz trudniej było mu przypomnieć sobie właściwe wyrazy, więc tego tekstu już nikt nie rozumiał, ponieważ składał się ze słów, które nie istnieją.

Kiedyś zawołał mnie do swego pokoju. Miał na fortepianie rozłożone wariacje z sonaty op. 111. – Spójrz – powiedział i wskazał na nuty (grać na fortepianie też już nie potrafił) – spójrz – powtórzył i po długim wysiłku udało mu się jeszcze dodać: – Ja już wiem! – i dalej starał mi się coś ważnego wytłumaczyć, ale jego wypowiedź składała się z zupełnie niezrozumiałych słów, więc kiedy dostrzegł, że go nie rozumiem, popatrzył na mnie ze zdumieniem i stwierdził: – To dziwne.

Ja jednak wiem, o czym chciał mówić, ho problem ten nurtował go już od dawna. Beethoven pod koniec życia szczególnie upodobał sobie formę wariacji. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że ze wszystkich form ta właśnie jest najbardziej płytka; zwykła prezentacja techniki muzycznej, praca odpowiednia dla amatora, a nie dla Beethovena. Tymczasem on po raz pierwszy w historii muzyki uczynił z niej jedną z najwspanialszych form, w której zawarł swe najgłębsze przemyślenia.

Tak, to wszystko jest dobrze znane. Ale lata chciał wiedzieć, jak mamy to rozumieć. Dlaczego właśnie wariacje? Jaki się w tym kryje sens?

Dlatego zawołał mnie wtedy do swego pokoju, pokazywał nuty i mówił: – Ja już wiem.

4

Milczenie ojca, przed którym ukryły się wszystkie słowa, milczenie stu czterdziestu pięciu historyków, którym zakazano wspominać, ta wielokrotna cisza dobiegająca z Czech, tworzy tło obrazu, na którym maluję Tarninę.

Nadal roznosi kawę w knajpce w małym mieście na zachodzie Europy. Ale nie jest już otoczona aureolą uprzejmego zainteresowania, która kiedyś przyciągała do niej gości. Przestała mieć ochotę nadstawiać ucha.

Gdy kiedyś Bibi znów usiadła na stołku przy barze, a jej córka raczkująca na dole okropnie wrzeszczała, Tarnina odczekała chwilę, aż matka ją upomni, a kiedy to się nie stało, spytała: – Nie możesz czegoś zrobić, żeby się tak nie darła?

Bibi poczuła się dotknięta i odparła: – Powiedz, dlaczego tak bardzo nienawidzisz dzieci?!

Nie można powiedzieć, by Tarnina nienawidziła dzieci. Natomiast w wypowiedzi Bibi pojawiła się zupełnie nieoczekiwane nienawiść, którą Tarnina zauważyła. I w ten sposób przestały być przyjaciółkami.

Pewnego dnia Tarnina nie przyszła do pracy. Coś takiego nigdy się wcześniej nie wydarzyło. Właścicielka knajpki poszła dowiedzieć się, co z nią jest. Dzwoniła do drzwi, ale nikt nie otwierał. Przyszła następnego dnia i znów dobijała się na próżno. Wezwała policję. Wyłamali drzwi, ale zastali tylko pieczołowicie posprzątane mieszkanie, w którym niczego nie brakowało i nie było niczego podejrzanego.

Tarnina nie pojawiła się także przez następne dni. Sprawą ponownie zajęła się policja, ale nie wykryła żadnych nowych faktów. Zniknięcie Tarniny zostało uznane za przypadek nie wyjaśniony i śledztwo zamknięto.

5

Owego fatalnego dnia do barku przysiadł się młody mężczyzna w dżinsach. W tej chwili Tarnina była sama w knajpce. Młodzieniec zamówił coca-cola i powoli ją sączył. Wpatrywał się w Tarninę, a ona wpatrywała się w pustkę.

Potem powiedział: – Tarnino!

Jeśli chciał w ten sposób zrobić na niej wrażenie, to mu się nie udało. Nietrudno było dowiedzieć się jej imienia, które znali wszyscy goście knajpki z okolicy.

– Wiem, że jest pani smutno – kontynuował młodzieniec.

To również jej nie oczarowało. Wiedziała, że sposoby zdobywania kobiet są rozmaite, a jedna z dróg do łona dziewczyny prowadzi przez jej smutek. Mimo to spozrzała na niego z większym zainteresowaniem niż przed chwilą.

Później zaczęli rozmawiać. To, co Tarninę zaciekało, to jego pytania. Nie ich treść, ale fakt, że w ogóle ją pytał. Mój Boże, jak dawno nikt jej o nic nie pytał! Wydaje się, że była to cała wieczność! Jej mąż nieustannie ją wypytywał, bo miłość jest ustawicznym spowiadaniem. Tak, nie znam lepszej definicji miłości.

(Przyjaciel Hübl powiedziałby w tej chwili, że w takim razie nikt nas bardziej nie kocha od policji. Jest to prawda. Tak jak każde *na górze* ma swoje przeciwieństwo *na dole*, tak i zainteresowanie miłości posiada swój negatyw w ciekawości policji. Czasem człowiek może się pomylić, co jest dołem, a co górą, i potrafię sobie wyobrazić, że ludzie samotni mogą pragnąć, by czasami wzięto ich na przesłuchanie w komisariacie, by w ten sposób móc komuś o sobie opowiadać.)

6

Młodzieniec patrzy jej w oczy, słucha, potem mówi, że to, co nazywa wspomnieniem, jest w istocie czymś innym, że wpatruje się jak urzeczona w swoje zapomnienie.

Tarnina potakująco kiwa głową.

A młodzieniec kontynuuje: To smutne spojrzenie wstecz nie jest przejawem wierności wobec zmarłego. Zmarły zniknął już bowiem z pola widzenia, a ona wpatruje się w pustkę.

W pustkę? Więc od czego spojrzenie to jest takie ciężkie?

Nie jest ciężkie od wspomnień, wyjaśnia jej młody człowiek, ale od wyrzutów sumienia. Tarnina nigdy sobie nie wybaczy, że zapomniała.

– Więc co mam robić? – pyta Tarnina.

– Zapomnieć o swoim zapomnieniu – odpowiada młodzieniec.

– To niech mi pan poradzi, jak to się robi – uśmiecha się cierpko Tarnina.

– Czyżby nigdy nie miała pani pragnienia ucieczki?

– Miałam – przyznaje Tarnina. – Mam straszne pragnienie ucieczki. Ale dokąd?

– Tam, gdzie rzeczy są lekkie jak podmuch wiatru. Gdzie wszystko traci swój ciężar, Gdzie nie ma wyrzutów sumienia.

– Tak – odpowiada Tarnina w rozmarzeniu – iść dokądś, gdzie rzeczy nie mają wagi.

I tak jak w bajce, jak we śnie (przecież to jest bajka! to jest sen!) Tarnina opuszcza barek, za którym spędziła kilka lat swego życia i wychodzi z młodzieńcem na ulicę. Przy chodniku stoi czerwone, sportowe auto. Młodzieniec siada za kierownicą i zaprasza Tarninę na miejsce obok siebie.

7

Rozumiem wyrzuty sumienia Tarniny. Kiedy mój ojciec umarł, ja też je miałem. Nie mogłem sobie darować, że tak rzadko go o coś pytałem, że tak mało o nim wiem, że pozwoliłem, byśmy się zgubili. I właśnie te wyrzuty sumienia nagle pozwoliły mi zrozumieć, co prawdopodobnie chciał mi powiedzieć nad rozłożonymi nutami sonaty op. 111.

Spróbuję to wyjaśnić przez analogię. Symfonia jest muzyczną epopeją. Można też powiedzieć, że podobna jest do drogi, która prowadzi przez zewnętrzną nieskończoność świata, od rzeczy do rzeczy, coraz dalej i dalej. Wariacje leżą są drogą, która jednak nie przebiega przez zewnętrzną nieskończoność. Znacie zapewne myśl Pascala, że człowiek żyje między przepaścią nieskończenie wielkiego a przepaścią nieskończenie małego. Droga wariacji prowadzi do tej *drugiej* nieskończoności, do nieskończonej wewnętrznej różnorodności, jaka kryje się w każdej rzeczy.

W wariacjach odkrył więc Beethoven inną przestrzeń i inny kierunek poszukiwań. Jego wariacje są *nowym zaproszeniem do podróży*.

Forma wariacji to forma maksymalnego skupienia; umożliwia kompozytorowi mówienie o istocie rzeczy, dążenie do samego jej jądra. Przedmiotem wariacji jest lemat, który często ma nie więcej niż szesnaście taktów. Beethoven wchodzi do wnętrza tych szesnastu taktów, jakby opuszczał się szybem do wnętrza ziemi.

Podróż do drugiej nieskończoności jest nie mniej pełna przygód niż droga epopei. W taki sposób fizyk zstępuje do cudownego wnętrza atomu. W każdej wariacji Beethoven oddala się coraz bardziej od początkowego tematu, tak że ostatnia wariacja nie jest do niego bardziej podobna niż kwiat do swego obrazu pod mikroskopem.

Człowiek wie, że nie jest w stanie objąć Wszechświata z jego Słońcem i gwiazdami. Jednak trudniejsze do zniesienia jest to, że skazany jest na utratę tej drugiej nieskończoności, tak bliskiej, zdawałoby się – na wyciągnięcie ręki. Tarnina straciła nieskończoność swej miłości, ja – ojca, a każdy traci swe własne dzieło, ponieważ pragnienie doskonałości pcha nas do środka, lecz nigdy nie dojdzie się aż na sam koniec.

To, że nie osiągnęliśmy zewnętrznej nieskończoności, przyjmujemy za naturalny los. Lecz za to, że utraciliśmy drugą nieskończoność, do śmierci będą nas prześladowały wyrzuty sumienia. Myśleliśmy o nieskończoności gwiazd i nie interesowaliśmy się nieskończonością ojca.

Nic dziwnego, że dorosły, dojrzały Beethoven tak bardzo ukochał wariacje, bo wiedział doskonale (tak jak wie Tarnina i jak wiem ja), że nie ma nic gorszego niż utracić człowieka, którego kochaliśmy – owe szesnaście taktów i wewnętrzny wszechświat ich nieskończonych możliwości.

8

Cała ta książka jest powieścią w formie wariacji. Poszczególne części występują po sobie jako kolejne części drogi prowadzącej do wnętrza tematu, do wnętrza myśli, do wnętrza jednej jedynej sytuacji, której zrozumienie niknie mi w nieskończoności.

Jest to powieść o Tarninie, a w chwili, gdy Tarnina odchodzi ze sceny – powieść dla niej. Ona jest główną postacią i głównym słuchaczem, a wszystkie pozostałe wątki są wariacjami na temat jej historii i zbiegają się w jej życiu jak w lustrze.

Jest to powieść o śmiechu i zapomnieniu, o zapomnieniu i Pradze, o Pradze i aniołach. Nie jest zresztą przypadkiem, że młodzieniec siedzący za kierownicą ma na imię Rafael.

Okolica stawała się coraz bardziej pusta, było coraz mniej zieleni, a coraz więcej ochry; mniej trawy i drzew, więcej piasku i gliny. Potem samochód zjechał z szosy i skręcił w wąską dróżkę, która nagle kończyła się przepaścią. Młodzieniec zatrzymał samochód. Wysiedli. Stali na skraju stromego stoku, a pod nimi – dziesięć metrów niżej – widniał wąski pas gliniastego brzegu, za nim zaś woda: mętna, brązowa, ciągnąca się w nieskończoność.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Tarnina i ogarnęło ją przygnębienie. Chciała powiedzieć Rafaelowi, że pragnie wrócić, ale nie odważyła się: bała się, że odmówiłby, i wiedziała, że jego odmowa jeszcze zwiększyłaby jej niepokój.

Stali nad przepaścią, przed nimi była woda, a wokół nich tylko glina, rozmokła glina bez trawy, jakby wydobywano tu ił. Rzeczywiście, w pobliżu stał opuszczony bagier.

W tym momencie Tarnina przypomniała sobie, że tak właśnie wyglądała okolica, w której mąż po raz ostatni pracował w Czechach, kiedy wyrzucono go z dotychczasowej pracy i udało mu się zdobyć posadę operatora pogłębiarki, mniej więcej sto kilometrów od Pragi. Mieszkał tam przez cały tydzień w wozie, a do Tarniny przyjeżdżał tylko w niedziele. Dlatego kiedyś w ciągu tygodnia sama do niego przyjechała. Wtedy właśnie spacerowali w takim krajobrazie: w rozmokłej glinie bez trawy i bez drzew, otoczeni z dołu przez ochrę i żółć, a z góry – przez niskie, szare chmury. Szli obok siebie w gumiakach, które zanurzały się w błocie i ślizgały. Byli sami we dwoje na świecie i napełniało ich uczucie trwogi, miłości i rozpaczliwej troski o siebie nawzajem.

Odczuła teraz znów tę rozpaczliwą troskę i ucieszyła się, że nagle i niespodziewanie powrócił do niej stracony kawałek przeszłości. Było to całkiem zgubione wspomnienie, które chyba po raz pierwszy jej się przypomniało. Pomyślała, że powinna to wpisać do swego zeszytu! Znała nawet dokładny rok!

Chciała powiedzieć młodzieńcowi, że jednak pragnie wrócić. Nie, nie miał racji, kiedy mówił, że jej smutek to tylko forma pozbawiona treści! Nie, nic, mąż jest stale żywy w tym smutku, tylko że się zgubił i ona musi go szukać! Szukać po całym świecie! Tak! tak! Dopiero teraz to rozumie! Człowiek, który chce wspominać, nie może siedzieć na jednym miejscu i czekać, aż wspomnienia same przyjdą! Wspomnienia bowiem rozprysły się po całym świecie i człowiek powinien podróżować, by je znaleźć, wypłoszyć z ich kryjówek!

To właśnie chciała powiedzieć młodzieńcowi i poprosić, by odwiózł ją z powrotem. W tej chwili jednak od strony wody rozległ się gwizd.

9

Rafael chwycił Tarninę za rękę. Był to mocny uścisk, z którego nie można się było wyswobodzić. Po stoku prowadziła wąska, kręta i śliska ścieżka. Rafael sprowadził Tarninę w dół.

Na brzegu, na którym przed chwilą nie było żywego ducha, stał obecnie mniej więcej dwunastoletni chłopiec. Trzymał linkę łódki, która lekko kołysała się przy brzegu, i uśmiechał się do Tarniny.

Obejrzała się na młodzieńca. On też się uśmiechał. Patrzyła to na jednego, to na drugiego; po chwili Rafael zaczął się śmiać głośno, a chłopiec przyłączył się do niego. Był to szczególny śmiech, bo przecież nic śmiesznego się nie wydarzyło, lecz jednocześnie zaraźliwy i słodki: apelował do niej, by zapomniała o strachu, i obiecywał coś niejasnego, może radość albo pokój, więc Tarnina, która chciała uciec przed swym przygnębieniem, śmiała się teraz posłusznie wraz z nimi.

– Widzi pani – odezwał się Rafael – nie ma się pani czego obawiać.

Tarnina wsiadła do łódki, która zakołysała się pod jej ciężarem. Usiadła na ławeczce z tyłu. Było tam mokro. Ona miała na sobie lekką sukienkę i poczuła, jak wilgoć dotknęła skóry jej siedzenia. Był to śliski dotyk, który ponownie wzbudził w niej strach.

Chłopiec odepchnął łódkę od brzegu i chwycił wiosła, a Tarnina obejrzała się za siebie: Rafael stał na brzegu i patrzył na nich. Uśmiechał się i Tarninie wydawało się, że w tym uśmiechu jest coś dziwnego. Tak! Uśmiechał się i jednocześnie leciutko kręcił głową! Prawie niedostrzegalnie kręcił głową.

10

Dlaczego Tarnina nie spyta, dokąd jedzie?

Przecież ten, komu nie zależy na celu, nie pyta, dokąd jedzie!

Patrzyła na chłopca, który siedział na wprost niej i wiosłował. Wydawał jej się wąły, a jego wiosła zbyt ciężkie.

– Nie chcesz, żeby cię zmienić? – spytała, a chłopiec ochoczo przytaknął i wstał od wiosła.

Zamienili się miejscami. Siedział teraz z tyłu, patrzył, jak Tarnina wiosłuje, i wyciągnął spod ławeczki mały magnetofon. Rozległa się pop-music, gitary, śpiew: Chłopiec zaczął do taktu lekko kołysać ciałem. Tarnina obserwowała go z niesmakiem: to dziecko kręciło biodrami jak dorosły mężczyzna. Jego ruchy wydawały jej się obsceniczne.

Spuściła wzrok, aby na to nie patrzeć. W tym momencie chłopiec puścił głośniejszą muzykę i sam zaczął cicho śpiewać. Kiedy po chwili Tarnina znów na niego spojrzała, spytał ją: – Dlaczego nie śpiewasz?

– Nie znam tego.

– Jak to nie znasz? Przecież wszyscy to znają.

Kręcił się dalej na swej ławce, Tarnina zaś poczuła się już zmęczona: – Nie chcesz znów trochę powiosłować?

– Wiosłuj, wiosłuj – roześmiał się chłopiec.

Ale Tarnina naprawdę była już zmęczona. Położyła wiosła na łódce i odpoczywała: – Kiedy już tam będziemy?

Pokazał ręką przed siebie. Obejrzała się. Brzeg był już niedaleko. Różnił się od tego, od którego odbili. Był zielony, trawiasty, pełen drzew.

Po chwili łódka osiadła na dnie. Przy brzegu z dziesięcioro dzieci bawiło się piłką i z zaciekawieniem się im przyglądało. Wysiedli. Chłopiec przywiązał łódkę do palika. Za piaszczystym brzegiem ciągnęła się długa aleja platanów. Ruszyli aleją i po dziesięciu minutach doszli do niskiego, przysadzistego budynku. Przed domem znajdowało się wiele dziwnych, dużych, kolorowych przedmiotów, których przeznaczenia nie potrafiła odgadnąć, i kilka siatek do siatkówki. Było w nich jednak coś, co Tarninę zaniepokoiło. Tak, wszystkie były rozciągnięte bardzo nisko nad ziemią.

Chłopiec włożył dwa palce do ust i zagwizdał.

11

Pojawiła się dziewczynka, mniej więcej dziewięcioletnia. Miała miłą buzię i brzusek kokieteryjnie wypięty, jak panny na gotyckich obrazach. Spojrzała na Tarninę bez szczególnego zainteresowania, wzrokiem kobiety, która jest świadoma własnej urody i chce ją podkreślić ostentacyjnym brakiem zainteresowania wszystkim, co nie dotyczy jej samej.

Otworzyła drzwi białego pawilonu. W środku nie było żadnego korytarza ani przedpokoju i weszli wprost do wielkiej sali pełnej łóżek. Rozejrzała się przez chwilę, jakby liczyła posłania, a potem wskazując palcem powiedziała: – Ty będziesz spała tutaj.

– Ja mam spać we wspólnej sali noclegowej? – protestowała Tarnina.

– Dzieciom nie są potrzebne osobne pokoje.

– Jakim dzieciom? Przecież ja nie jestem dzieckiem!

– Tutaj są tylko dzieci!

– Przecież chyba muszą być jacyś dorośli?

– Nic, żadnych dorosłych tu nie ma.

– Więc co ja tu robię? – krzyknęła Tarnina.

Dziewczynka nie przejęła się jej zdenerwowaniem i odwróciła się do drzwi. Na progu dodała: – Dołączam cię do grupy wiewiórek.

Tarnina nie rozumiała.

– Dołączam cię do grupy wiewiórek – powtórzyła dziewczynka tonem niezadowolonej nauczycielki. – Wszystkie dzieci należą do jakichś grup noszących nazwy zwierzątek.

Tarnina nie zamierzała rozmawiać o wiewiórkach. Chciała wracać. Pytała, gdzie jest ten chłopiec, który ją tu przywiózł.

Dziewczynka udawała, że nie słyszy Tarniny, i kontynuowała swoje przemówienie.

– Mnie to nie interesuje! – krzychała Tarnina. – Chcę wracać! Gdzie jest ten chłopiec?

– Nie krzycz! – żaden dorosły nie potrafił być bardziej zarozumiały niż to piękne dziecko. – Nie rozumiem cię – dodała i pokręciła głową, by wyrazić swe zdziwienie. – Po co więc tu przyjechałaś, skoro chcesz wracać.

– Nie chciałam tu przyjeżdżać!

– Tarnino, nie kłam! Przecież nikt nie ruszy w daleką podróż, skoro nie wie, dokąd jedzie. Oducz się kłamać.

Tarnina odwróciła się tyłem do dziecka i wybiegła do alei platanów. Kiedy doszła do brzegu, szukała łódki, którą przed niespełną godziną chłopiec przywiązał do palika. Ale nigdzie nie było ani łódki, ani palika.

Ruszyła przed siebie biegiem, żeby przeszukać cały brzeg. Piaszczysta plaża wkrótce zmieniła się w bagno, które trzeba było z daleka obejść, więc przez chwilę błądziła, nim znowu dotarła do wody. Brzeg zakręcał stale w tę samą stronę i mniej więcej po upływie godziny (nie znalazłszy ani śladu łódki czy

jakiejś przystani) Tarnina dotarła do miejsca, w którym platanowa aleja łączyła się z plażą. Zrozumiała, że jest na wyspie.

Wracała powoli aleją do sali noclegowej. Przed domkiem stała grupka dziesięciorga dzieci od sześciu do dwunastu lat, chłopców i dziewczynek. Zobaczywszy ją wołały: – Tarnino, chodź do nas!

Rozstąpiły się, żeby zrobić jej miejsce.

Wtedy przypomniała sobie Rafaela, jak się uśmiechał i kręcił głową.

Strach ścisnął jej serce. Nieprzypadkiem wymięła dzieci, odeszła do sali i skuliła się na swym łóżku.

12

Jej mąż zmarł w szpitalu. Przychodziła do niego tak często, jak tylko mogła, lecz on zmarł w nocy, sam. Kiedy następnego dnia przyszła z wizytą i zobaczyła jego puste łóżko, starszy mężczyzna, leżący w tym samym pokoju powiedział jej: – Proszę pani, powinna pani złożyć skargę! To straszne, jak oni się obchodzą ze zmarłymi! – W jego oczach czaił się strach; wiedział, że sam też wkrótce umrze. – Chwycili go za nogi i ciągnęli po ziemi. Myśleli, że śpię. Widziałem, jak mu głowa podskoczyła na progu!

Śmierć ma dwie postaci: Po pierwsze, oznacza niebyt. Po drugie zaś, oznacza przerażający materialny byt trupa.

Kiedy Tarnina była bardzo młoda, śmierć ukazywała jej się wyłącznie pod pierwszą postacią – jako nicość, a strach przed śmiercią (wtedy niezbyt konkretny) oznaczał obawę, że kiedyś przestanie się istnieć. Ta obawa w ciągu dalszego życia zmniejszała się i niemal zniknęła (myśl, że pewnego dnia nie zobaczy nieba czy drzew, już jej nie przerażała), za to czym dalej, tym więcej myślała o tej drugiej, materialnej stronie śmierci: bała się zostać trupem.

Bycie trupem wydawało jej się strasznie hańbiące. Jeszcze przed chwilą bronił człowieka wstyd, świętość nagości i życia prywatnego, a potem wystarczy sekunda i oto po śmierci jego ciało wydane zostaje na łaskę kogokolwiek, mogą je obnażać, oglądać jego wnętrze, zatykać z obrzydzenia nos przed jego smrodem, wrzucać do lodówki albo do ognia. Także i dlatego chciała, aby zwłoki męża zostały spalone, a prochy rozsiane; żeby nie być zmuszoną do wyobrażania sobie, co dzieje się dalej z tym drogim ciałem.

A kiedy w kilka miesięcy później pomyślała o samobójstwie, pragnęła utopić się gdzieś daleko w morzu, żeby o hańbie jej martwego ciała wiedziały tylko ryby, które są nieme.

Wspomniałem już o opowiadaniu Tomasza Manna: śmiertelnie chory młodzieniec wsiada do pociągu i zamieszkuje w nieznanym mieście. W jego pokoju jest stara szafa na ubrania i co noc wyłania się z niej piękna aż do bólu, naga dziewczyna, która długo, słodko i smutno coś mu opowiada, i ta dziewczyna, i ta opowieść – to śmierć.

To śmierć słodko-błękitna jak niebyt. Bo niebyt jest nieskończoną pustką, a pusta przestrzeń jest błękitna i nie ma nic piękniejszego czy uspakajającego niż błękit. Nie jest wcale przypadkiem, że Novalis – poeta śmierci, uwielbiał właśnie błękit. Słodycz śmierci ma kolor błękitny.

Lecz jeśli niebyt młodzieńca z opowiadania Manna jest tak piękny, to co dzieło się z jego ciałem? Ciągnęli je za nogi przez próg? Rozpruli mu brzuch? Wrzucili do dołu czy w ogień?

Mann miał wtedy dwadzieścia sześć lat, a Novalis również nie dożył trzydziestki. Ja mam niestety więcej i w odróżnieniu od nich nie mogę nie myśleć o ciele. Śmierć bowiem nie jest błękitna, a Tarnina wie to równie dobrze jak ja. Śmierć to straszna harówka. Mój ojciec umierał przez kilka dni w gorączce, a ja miałem wrażenie, że ciężko pracuje. Był spocony i skoncentrowany tylko na swoim umieraniu, jakby śmierć przerastała jego siły. Nie wiedział już nawet, że siedzę przy jego łóżku, nie był w stanie mnie dostrzec, śmiertelna praca całkowicie go wyczerpywała; był skupiony jak jeździec na koniu, który chce osiągnąć odległy cel, lecz dysponuje zaledwie resztką sił.

Tak, jechał na koniu.

Dokąd?

Jechał gdzieś daleko, by ukryć swe ciało.

Nie, to nie przypadek, że wszystkie wiersze o śmierci przedstawiają sam proces jako podróż. Młodzieniec u Manna wsiada do pociągu, Tarnina do czerwonego sportowego auta. Człowiek ma nieskończone pragnienie, by wyjechać i ukryć swe ciało. Lecz podróż ta jest daremna. Jedzie na koniu, a znajdują go w łóżku i jego głowa uderzy o próg.

13

Dlaczego Tarnina jest na wyspie dzieci? Dlaczego właśnie tam ją sobie wyobrażam.

Nie wiem.

Czy może dlatego, że w dniu kiedy umierał mój ojciec, słyszałem wesołe piosenki śpiewane przez dziecięce głosy?

Wszędzie na wschód od Łaby dzieci zorganizowane są w tzw. związkach pionierów. Noszą wokół szyi czerwone chusty, chodzą na zebrania, jak dorośli, i od czasu do czasu śpiewają *Międzynarodówkę*. Istnieje dobry zwyczaj, że co jakiś czas zawiązują czerwoną chustę któremuś z dorosłych i nadają mu tytuł honorowego pioniera. Dorośli bardzo to lubią, a im są starsi, tym większą sprawia im radość otrzymanie czerwonej chusty do trumny.

Wszyscy już tę chustę dostali: dostał ją Lenin, dostał Stalin, Masturbow i Szołochow, Ulbricht i Breżniew, a tego właśnie dnia dostawał ją Husak w czasie wielkiej uroczystości zorganizowanej z tej okazji na Zamku Praskim.

Tego dnia ojcu spadła trochę gorączka. Był maj i nasze okna otwarte były do ogrodu. Z przeciwległego domu ponad kwitnącymi gałęziami jabłoni dobiegały nas odgłosy telewizyjnej transmisji uroczystości. Słysząc było piosenki śpiewane wysokimi, dziecięcymi głosami.

Akurat był u nas lekarz. Pochylał się nad ojcem, który nie potrafił już wymówić ani jednego słowa. Potem odwrócił się do mnie i powiedział głośno: – Już o niczym nie wie. Jego mózg jest w stanie rozkładu. – Zobaczyłem, jak wielkie, błękitne oczy taty jeszcze bardziej się rozszerzyły.

Kiedy lekarz odszedł, straszliwie zakłopotany chciałem jak najprędzej coś powiedzieć, aby zagłuszyć te zdania. Pokazałem na okno: – Słyszysz? To dopiero heca! Husak zostaje dziś honorowym pionierem!

A tata zaczął się śmiać. Śmiał się, żeby mi pokazać, że jego mózg żyje i że nadal mogę z nim rozmawiać i żartować.

Zza jabłoni odezwał się Husak: – Dzieci! Wy jesteście przyszłością!

A po chwili: – Dzieci, nie oglądajcie się nigdy za siebie!

– Zamknę okno, żebyśmy go nie słyszeli – zerknąłem na tatę, a on odwzajemnił mi się nieskończenie pięknym uśmiechem i przytaknął głową.

W parę godzin później znów gwałtownie podskoczyła mu gorączka. Dosiadł konia i jechał przez kilka dni. Nigdy już mnie nie zobaczył.

14

Ale co mogła robić, kiedy nagle znalazła się wśród dzieci, przewoźnik zniknął, a wraz z nim łódka, wkoło zaś była nieskończoność wody?

Próbowała walczyć.

Ach, to smutne: kiedy była w małym zachodnioeuropejskim mieście, nigdy o nic nie próbowała walczyć, a chce to robić tutaj, wśród dzieci? W świecie rzeczy, które nie posiadają wagi?

A w jaki sposób chce walczyć?

Kiedy w dniu swego przyjazdu uciekła od zabaw i schowała się na swym łóżku jak w niezdobytym zamku, poczuła wiszącą w powietrzu wrogość dzieci i przestraszyła się jej. Chciała temu zapobiec. Dlatego zdecydowała się pozyskać sympatię dzieci. To jednak wymaga utożsamienia się z nimi, przyjęcia ich języka. Uczestniczy więc dobrowolnie we wszystkich zabawach, wnosi do ich przedsięwzięć własne pomysły i siłę fizyczną, więc dzieci szybko znajdują się pod jej urokiem.

Ale jeśli chce się z nimi utożsamiać, musi wyzbyć się sfery prywatnej intymności. Chodzi więc z nimi wspólnie do umywalni, mimo że pierwszego dnia odmówiła, bo wstydziła się myć na ich oczach.

Łazienka, wielkie, wykafelkowane pomieszczenie, stanowi centrum życia dzieci i ich tajnych myśli. Na jednej stronie jest dziesięć muszli klozetowych, a naprzeciw dziesięć umywalk. Zawsze jeden zespół siedzi na muszlach z podciągniętymi koszulami, a drugi stoi nagi przy umywalkach. Ci, co siedzą, patrzą na tych nagich przy umywalkach, tamci natomiast oglądają się na siedzących i całe pomieszczenie pełne jest utajonej zmysłowości, która w Tarninie wywołuje niejasne wspomnienia czegoś dawno zapomnianego.

Tarnina siedzi w nocnej koszuli na klozecie, a nagie tygrysy stojące przy umywalkach nie mogą od niej oderwać wzroku. A potem nagle rozlega się szum splukiwanej wody, wiewiórki wstają z klozetów, zdejmują długie koszule nocne, tygrysy odchodzą do sypialni, skąd przychodzą koty, siadają na

zwolnionych muszlach i wpatrują się w wysoką Tarninę z czarnym podbrzuszem i wielkimi piersiami; Tarninę stojącą wraz z wiewiórkami przy umywalkach.

Nie wstydy się. Czuje, że jej dojrzały seks czyni ją królową, panującą nad tymi, których podbrzusza są gołe.

15

Wydaje się więc, że podróż na wyspę nie była spiskiem przeciwko niej, jak się jej zdawało, gdy po raz pierwszy zobaczyła salę noclegową i swoje łóżko. Przeciwnie, wreszcie znalazła się tam, gdzie pragnęła być: tkwiła w głęboko cofniętym czasie, gdzie nie było męża, gdzie nie istniał ani we wspomnieniach, ani w pragnieniach, gdzie nie było leż ciężaru wyrzutów sumienia.

Ona, która zawsze miała tak silny wstyd (wstyd był wiernym cieniem miłości), teraz pokazywała się naga dziesiątkom obcych oczu. W pierwszej chwili było to szokujące i nieprzyjemne, ale szybko się przyzwyczaiła, ponieważ jej nagość nie była nieskromna, traciła po prostu swoje znaczenie, stawała się (jak sądziła) nieistotna, niema i martwa. To ciało, na którego każdej części zapisana była historia miłości, stawało się nieważne, a w tej nieważności była ulga i spokój.

Lecz o ile dorosła zmysłowość ginęła, to gdzieś z daleka zaczął się wyłaniać świat innych podniet. Przypominało jej się wiele bardzo dawnych wspomnień. Na przykład takie (nic dziwnego, że o tym zapomniała; przecież dla dorosłej Tarniny musiało to być śmiesznym i nieistotnym głupstwem): Kiedy była w pierwszej klasie szkoły podstawowej, uwielbiała piękną i młodą nauczycielkę i przez całe miesiące marzyła o tym, żeby znaleźć się z nią w toalecie.

Siedziała teraz na klozecie, uśmiechała się i przymykała oczy. Wyobrażała sobie, że to ona jest ową nauczycielką, a mała, piegowata dziewczynka zajmująca sąsiedni sedes i z zaciekawieniem na nią spoglądająca jest dawną małą Tarniną. Utożsamiała się ze zmysłowym wzrokiem piegowatej dziewczynki tak bardzo, że nagle poczuła gdzieś w odległych zakamarkach swej pamięci drżenie tego dawnego, na wpół przebudzonego podniecenia.

16

Dzięki Tarninie wiewiórki wygrywały prawie wszystkie gry, więc zdecydowały, że ją uroczyście nagrodzą. Wszystkie ceremonie nagród i kar odbywały się w łazience, a nagroda dla Tarniny polegała na tym, że wszyscy będą jej tam służyć: ona sama nie będzie w ogóle mogła niczego dotknąć, a wszystko będą za nią robiły ofiarne wiewiórki jako oddana służba.

Więc usługiwały jej: najpierw pieczołowicie podtarły ją na sedesie, podniosły ją, spuścili wodę, zdjęły z niej koszulę, podprowadziły do umywalki i wszystkie chciały jej obmywać piersi i brzuch; wszystkie były ciekawe, jak wygląda między nogami i jakie to jest w dotyku. Chwilami chciała je odgonić, ale było to trudne: przecież nie mogła być zła na dzieci, które na dodatek z absolutną konsekwencją trzymały się reguł gry i udawały, że nie chcą robić nic innego niż w nagrodę jej służyć.

Na koniec ułożyły ją do snu w łóżku, a tam znów znalazły tysiące rozkosznych pretekstów, aby przytulić się do niej i głaskać po całym ciele. Było ich wokół niej strasznie dużo i nie wiedziała, do kogo należy jakaś ręka czy usta. Czuła ich dotknięcia na całym ciele, a zwłaszcza w tych miejscach, które miała inne niż oni.

Zamknęła oczy i odnosiła wrażenie, że jej ciało huśta się; wolno, jakby było w kołysce: odczuła łagodną i szczególną błogość.

Czuła, jak z rozkoszy drżą jej kąciki ust. Otworzyła znów oczy i zobaczyła nad sobą dziecinną twarz, jak obserwuje jej drgającą wargę i mówi do innej twarzy: – Zobacz! Zobacz! – Teraz pochylały się nad nią dwa dziecinne oblicza i pożądliwie wpatrywały się w jej usta, jakby patrzyły do wnętrza rozebranego zegarka czy na muchę, której urwały skrzydła.

Wydawało jej się, że oczy widzą coś zupełnie innego, niż czuje jej ciało; że pochylone nad nią dzieci nie mają żadnego związku z tą cichą, kołyszącą błogością, jakiej doświadcza. Więc znów zamknęła oczy i cieszyła się ze swego ciała, bo po raz pierwszy w życiu ciało doznawało przyjemności bez udziału duszy, która niczego sobie nie wyobrażała i niczego nie wspominała, która cicho odeszła z pokoju.

Tak mi opowiadał tata, kiedy miałem pięć lat: gama to mały dwór królewski. Rządzi tam król (pierwszy stopień) i ma dwóch adiutantów (piąty i czwarty stopień). Im podporządkowani są czterej dostojnicy, z których każdy ma jeszcze osobne powiązania z królem i jego adiutantami. Oprócz nich mieszka ponadto na dworze pięć innych dźwięków, które nazywają się chromatycznymi. Mają one wprawdzie ważne funkcje w innych tonacjach, lecz tu są zwykłymi gośćmi.

Ponieważ każda z dwunastu nut ma swoją własną pozycję, tytuł, funkcję, więc kompozycja, którą słyszymy, nie jest zwykłym zbiorem dźwięków, lecz opowiada nam jakąś akcję. Czasem zdarzenia są bardzo poplątane (jak np. u Mahlera czy jeszcze bardziej u Bartoka lub Strawińskiego), mieszają się do nich księżęta z innych dworów, tak że często człowiek traci orientację, któremu dworowi ten właśnie dźwięk służy i czy przypadkiem nie jest na tajnych służbach kilku królów jednocześnie. Ale nawet i w takim przypadku choćby najbardziej naiwny słuchacz może przynajmniej w ogólnych zarysach zorientować się, o co chodzi. Nawet najbardziej skomplikowana muzyka jest stale jeszcze *językiem*.

Tyle opowieść taty, a kontynuacja jest moja: Pewnego dnia jeden wielki człowiek doszedł do wniosku, że przez tysiąc lat język muzyki się wyczerpał i nie potrafi już nic więcej, jak tylko naśladować te same przesłania. Rewolucyjnym dekretem zlikwidował hierarchię dźwięków i uczynił je wszystkie równymi. Narzucił im surową dyscyplinę, aby żaden nie występował w utworze częściej niż inni i by w ten sposób nie uzurpował sobie starych, feudalnych przywilejów. Dwory królewskie zostały raz na zawsze zlikwidowane, a na ich miejscu powstała republika równych zwana dodekafonią.

Muzyka była teraz chyba jeszcze ciekawsza niż przedtem, ale człowiek od tysiąca lat przyzwyczajony do śledzenia intryg królewskich dworów tonacji, słyszał dźwięki i nie rozumiał ich. Zresztą państwo dodekafonii wkrótce przestało istnieć. Po Schönbergu przyszedł Varese i zlikwidował nie tylko tonacje, ale i sam dźwięk (dźwięk ludzkiego głosu i instrumentów muzycznych), zastępując go wyrafinowaną organizacją hałasów, która jest frapująca, lecz rozpoczyna historię czegoś innego, opartego na innych podstawach i innym języku.

Kiedy Milan Hübli przedstawiał w mojej praskiej garsonierze teorię o możliwości zaniku narodu czeskiego w imperium rosyjskim, obaj wiedzieliśmy, że ta myśl, choć uzasadniona, to jednak nas przerasta, że mówimy o czymś *niewyobrażalnym*. Człowiek, mimo że sam jest śmiertelny, nie potrafi sobie wyobrazić ani końca przestrzeni, ani końca czasu, ani końca historii, ani końca narodu; żyje stale w domniemanej nieskończoności.

Ludzie zafascynowani ideą postępu nie przypuszczają, że każda droga naprzód jest jednocześnie drogą ku końcowi i że w radosnych hasłach *dalej* i *naprzód* słychać w sposób zmysłowy głos śmierci, która wabi nas, abyśmy się pospieszyli.

(Jeśli dziś opętanie słowem *naprzód* stało się powszechne, to czy nie dzieje się tak właśnie dlatego, że śmierć przemawia już do nas z bezpośredniej bliskości?)

W czasach gdy Arnold Schönberg zakładał państwo dodekafonii, muzyka była bogatsza niż wcześniej i pijana własną wolnością. Nikomu nawet się nie śniło, że koniec mógłby być tak blisko. Żadnego zmęczenia! Żadnego zmierzchu! Schönberg działał w najbardziej młodzieńczym duchu odwagi. Przepelniała go uzasadniona duma, że jedyny krok prowadzący naprzód jest właśnie tym, który on wybrał. Historia muzyki skończyła się w rozkwicie odwagi i pragnienia.

18

Jeśli to prawda, że historia muzyki skończyła się, to co pozostało z muzyki? Cisza?

Skądże; muzyki jest coraz więcej, wielokrotnie więcej, niż było jej w jej najwspanialszych czasach. Rozlega się z głośników na domach, ze straszliwych aparatów dźwiękowych w mieszkaniach i restauracjach, z małych tranzystorów noszonych przez ludzi na ulicach.

Schönberg zmarł, Ellington zmarł, ale gitara jest wieczna. Stereotypowa harmonia, wytarta melodia i rytm, tym wyraźniejszy, im bardziej monotony, oto co zostało z muzyki, oto jej wieczność. W tych prostych kombinacjach nut wszyscy mogą się zjednoczyć; przecież to sam byt krzyczy w nich swe radosne: *Ja tu jestem!* Żadna zgoda nie jest głośniejsza i bardziej jednomyślna niż prosta zgoda na byt. Pod tym względem porozumiewają się Arabowie z Żydami i Czesi z Rosjanami. Ciały poruszają się w takt dźwięków, pijane świadomością, że istnieją. Dlatego żadna kompozycja Beethovena nie była przeżywana z większą, zbiorową ekstazą jak rytmicznie powtarzające się uderzenia w struny gitar.

Kiedy mniej więcej na rok przed śmiercią ojca szedłem z nim na tradycyjny spacer wokół domów, na każdym rogu słychać było piosenki. Im bardziej ludzie byli smutni, tym głośniejsze ryczały głośniki. Wzywały okupowany kraj, by zapomniał o goryczy historii i oddał się radości życia. Tata zatrzymał się, spojrzął do góry na urządzenie, z którego wydobywał się hałas, a ja czułem, że chce mi powiedzieć coś bardzo ważnego. Długo się koncentrował, aby udało mu się wyrazić, co ma na myśli, a po chwili wolno i z trudem powiedział: – Głupota muzyki.

Co przez to rozumiał? Czy chciał obrazić muzykę, która była miłością jego życia? Nic, myślę, że chciał mi powiedzieć, że istnieje jakiś *pierwotny stan muzyki*, stan poprzedzający jej historię, stan przed pierwszym postawieniem pytania, przed zastanowieniem, przed rozpoczęciem gry z motywem i tematem. W tym początkowym stanie muzyki (muzyki bez myśli) objawia się substancjalna głupota ludzkiego bytu. Tylko niezwykłym wysiłkiem serca i ducha muzyka wzniosła się ponad tę substancjalną głupotę i to był ten wspaniały łuk, który jak sklepienie pojawił się nad stuleciami Europy i zgasł na szczycie lotu, jak wystrzelona rakietka fajerwerku.

Historia muzyki jest śmiertelna, lecz głupota gitar jest wieczna. Muzyka wróciła dziś do swego początkowego stadium. Jest to stan po ostatnim postawieniu pytania, stan po ostatnim zastanowieniu, stan po historii.

Kiedy czeski piosenkarz pop-music Karel Klos w 1972 roku wyjechał za granicę, Husak był przerażony. Natychmiast (było to w sierpniu 1972 roku) osobiście napisał do niego do Frankfurtu prywatny list. Cytuję z tego listu dosłownie i niczego nie zmyślam: „Drogi Karel, my się na pana nie gniewamy. Bardzo proszę, niech pan wraca z powrotem; zrobimy dla pana wszystko, czego tylko będzie pan sobie życzył. My pomożemy panu, pan pomoże nam...”

Proszę, zastanówcie się nad tym przez chwilę: Husak bez mrugnięcia okiem pozwolił wyemigrować lekarzom, naukowcom, astronomom, sportowcom, reżyserom, kamerzystom, robotnikom, inżynierom, architektom, historykom, dziennikarzom, pisarzom, malarzom, lecz nie mógł znieść myśli, że kraj mógłby opuścić Karel Klos. Karel Klos reprezentował bowiem muzykę bez pamięci – tę muzykę, w której na zawsze pogrzebane zostały kości Beethovena i Ellingtona, prochy Palestriny i Schönberga.

Prezydent zapomnienia i idiota muzyki należeli do siebie. Pracowali nad wspólnym dziełem. *My pomożemy panu, pan pomoże nam*. Nie mogli się obejść jeden bez drugiego.

19

Ale w wieży, w której panuje mądrość muzyki, człowiek czasami zatęskni za tym jednostajnym rytmem bezdusznego krzyku, który rozlega się na zewnątrz i w którym wszyscy ludzie są braćmi. Być stale przy Beethovenie to niebezpieczne, tak jak niebezpieczne są wszystkie uprzywilejowane pozycje.

Tarnina zawsze się trochę wstydziła, kiedy miała przyznać, że jest ze swoim mężem szczęśliwa. Bala się, że ludzie będą ją za to nienawidzić.

Dlatego dziś mieszają się w niej dwa uczucia: Miłość jest przywilejem, a wszystkie przywileje są niezasłużone i trzeba za nie płacić. Dziś jest tu wśród dzieci za karę.

Lecz zaraz za tym odczuciem pojawia się inne: Przywilej miłości nie był tylko rajem, ale również piekłem. Życie w miłości toczyło się w nieustannym napięciu, strachu i bez odpoczynku. Jest tutaj wśród dzieci, aby nareszcie w nagrodę znalazła spokój i wytchnienie.

Jej seks był do tej pory okupowany przez miłość (mówię okupowany, ponieważ seks nie jest miłością; stanowi tylko teren, który miłość opanowuje), był więc częścią czegoś dramatycznego, odpowiedzialnego, ważnego i pielęgowanego z trwogą. Tutaj, u dzieci, w państwie pozbawionym znaczeń, jej seks stał się wreszcie tym, czym był pierwotnie: małą zabawką do produkcji fizycznej rozkoszy.

Albo powiem to inaczej: seks uwolniony od *diabelskiego* związku z miłością stał się *anielską* naturalną radością.

20

O ile pierwszy gwałt dokonany na Tarninie przez dzieci był pełen zaskakujących znaczeń, o tyle w dalszych powtórkach ta sama sytuacja traciła szybko charakter misji i zmieniała się w codzienną czynność, coraz mniej treściwą i coraz bardziej brudną.

Wśród dzieci dochodziło do kłótni. Te, które były pochłonięte miłosnymi zabawami, zaczęły nienawidzić tych, które wykazywały wobec owych zabaw obojętność. A wśród tych, które stały się

kochankami Tarniny, powstała zawiść: jedne z nich czuły się faworyzowane, inne zaś – odepchnięte. Powoli cały ten gniew zaczął obracać się przeciw Tarninie i godzić w nią.

Pewnego dnia, gdy dzieci pochylały się nad nagim ciałem Tarniny (stały obok łóżka, klęczały na nim albo siedziały okrakiem na Tarninie, kucały u jej głowy i pomiędzy jej nogami), poczuła nagle palący ból. Jedno z dzieci mocno uszczypnęło ją w brodawkę. Krzyknęła i nie potrafiła się opanować: zrzuciła wszystkie dzieci z łóżka i młóciła rękami wokół siebie.

Wiedziała, że przyczyną bólu nie był przypadek ani zmysłowość; któreś z dzieci nienawidziło jej i chciało ją skrzywdzić. Od tego czasu skończyły się miłosne spotkania z dziećmi.

21

I oto nagle nie ma już spokoju w państwie, gdzie rzeczy są łżejsze niż podmuch wiatru.

Bawiły się w niebo, piekło, raj i skakały z jednego pola na drugie – najpierw na prawej nodze, potem na lewej, a wreszcie na obydwu. Skakała także Tarnina. (Widzę jej wysokie ciało wśród małych postaci dzieci, skacze, włosy wirują jej wokół twarzy, a w sercu ma nieskończoną nudę.) W tej chwili kanarki zaczynają krzyczeć, że skusiła.

Wiewiórki naturalnie protestują, że nie skusiła. Potem obie drużyny pochylają się nad linią i szukają śladu stopy Tarniny. Ale linia nakreślona na piasku ma niewyraźne zarysy, a ślad buta Tarniny także. Przypadek jest sporny, dzieci krzyczą na siebie, trwa to już kwadrans, a im dłużej, tym bardziej wszystkie są zaciętrzewione.

Wreszcie Tarnina wykonuje feralny gest; macha ręką i mówi: – Dobrze, niech wam będzie, że skusiłam.

Wiewiórki zaczynają krzyczeć na Tarninę, że to nieprawda, że zwariowała, że kłamie, że nie skusiła. Ale ich spór jest już przegrany, twierdzenie zdradzone przez Tarninę nie ma już wartości i kanarki wydają okrzyk zwycięstwa.

Wiewiórki wściekają się, krzyczą na Tarninę, że jest zdrajczynią, a jakiś chłopiec popycha ją tak gwałtownie, że niewiele brakowało, by Tarnina upadła. Opędza się przed nimi i to jest sygnał do ataku. Tarnina się broni, jest dorosła i silna (i pełna nienawiści; o tak, przecież ona tłucze dzieci tak, jakby tłukła wszystko, czego nienawidziła w swoim życiu); dzieciom cieknie krew z nosów, ale po chwili lecący kamień uderza Tarninę w czoło; ona chwieje się, chwytając za głowę, krwawi. Dzieci odsuwają się. Robi się nagle cicho i Tarnina powoli odchodzi do sypialni. Kładzie się na łóżku zdecydowana nie brać już nigdy udziału w żadnej grze.

22

Widzę stojącą Tarninę pośrodku sypialni pełnej leżących dzieci. Jest na oczach wszystkich. Z jednego kąta rozlega się nagle: – Cycki, cycki! Dołączają się inne głosy i po chwili słychać już skandowany okrzyk: – Cycki, cycki, cycki...!

To, co jeszcze do niedawna było jej dumą i bronią, czarne włoski na podbrzuszu i piękne piersi, stało się teraz tarczą obelg. Jej dorosłość zmieniła się w oczach dzieci w wynaturzenie: piersi były absurdalne jak guzy, a podbrzusze, nieludzkie w swym owłosieniu, przypominało im zwierzę.

Zaczęły się dni nagonki. Ganiłi ją po całej wyspie, rzucali kijami i kamieniami. Chowwała się, uciekała, ale ze wszystkich stron słyszała swe imię: – Cycki, cycki...

Nie ma nic bardziej hańbiącego, niż kiedy silny ucieka przed słabym. Ale ich było dużo. Uciekała i wstydziała się, że przed nimi ucieka.

Pewnego dnia zaczęła się na nich. Było ich troje; biła je, aż jedno upadło, a dwoje rzuciło się do ucieczki. Ale była szybsza. Już trzyma je za włosy.

W tej chwili opada na nią siatka, a za nią dalsze. Tak, wszystkie siatki od siatkówki, które wcześniej były napięte nisko nad ziemią przed pawilonem. Czekają tu na nią. Trójka dzieci przed chwilą pochwycona, była przygotowaną pułapką. Teraz omotały ją płataniną sznurów, Tarnina wije się, wymachuje rękami, a dzieci z krzykiem wloką ją po ziemi.

23

Czemu te dzieci są takie złe?

Ależ skąd, wcale nie są złe. Przeciwnie, są pełne serdeczności i nie przestają sobie nawzajem okazywać przyjaźni. Nikt z nich nie chce mieć Tarniny dla siebie. Stale słychać krzyki: *zobacz, zobacz*. Tarnina leży spleciona w sieci, sznurki wpijają jej się w skórę, a dzieci pokazują sobie jej krew, łyż, grymasy bólu. Ofiarowują ją szczerze jedno drugiemu. Stała się spoiwem ich braterstwa.

Jej nieszczęście nie polega na tym, że dzieci są złe, lecz na tym, że ona znalazła się poza granicami ich świata. Człowieka nie wzrusza, że w jatkach zabija się cielecia. Cielecia są poza prawem ludzi, podobnie jak Tarnina znalazła się poza prawem dzieci.

Jeśli ktoś pełen jest cierpkiej nienawiści, to raczej Tarnina, a nie dzieci. Ich chęć czynienia zła jest pozytywna, wesoła i można ją z całym spokojem nazwać radością. Chcą czynić zło temu, co jest poza granicami ich świata, by w ten sposób uczcić własny świat i jego prawa.

24

Czas mija i obserwuje Tarninę, a wszystkie radości i zabawy przez powtarzanie tracą swój urok; nawet polowanie na Tarninę. Poza tym dzieci naprawdę nie są złe. Chłopiec, który, kiedy leżała zaplątana w sieci, wysikał się na nią, pewnego dnia uśmiechnął się do niej pięknym, szczerym uśmiechem.

Tarnina milcząco znów brała udział w zabawach. Już znów przeskakuje z jednego pola na drugie, najpierw na jednej nodze, potem na drugiej, a wreszcie na obydwu. Wprawdzie już nigdy nie znajdzie się w ich świecie, ale pilnuje się, by poza niego nie wypaść. Stara się utrzymywać dokładnie na granicy.

Ale właśnie to uspokojenie, ta normalność, kompromisowy *modus vivendi*, krył w sobie całą grozę trwałości. O ile niedawne nagonki pozwalały Tarninie zapomnieć o istnieniu czasu i jego nieskończoności, to teraz, gdy gwałtowność ataków ustała, pustynia czasu wyłoniła się z cienia, przerażająca i druzgocząca, podobna do wieczności.

Jeszcze raz wrycie sobie w pamięć ten obraz: Musi przeskakiwać z pola na pole na jednej nodze, potem na drugiej, a wreszcie na obydwu i uznawać za ważne, czy skusiła, czy też nie. Musi tak skakać dzień po dniu i podczas tych skoków nieść na ramionach ciężar czasu jak krzyż, który z dnia na dzień staje się coraz cięższy.

Czy ogląda się jeszcze za siebie? Myśli o mężu i Pradze?

Nie. Już nie.

25

Wokół podium błdziły widma zburzonych pomników, a na górze stał prezydent zapomnienia z czerwoną chustą na szyi. Dzieci klaskały i skandowały jego nazwisko.

Upłynęło już osiem lat od tej chwili, ale w głowie stale jeszcze brzmia mi jego słowa, płynące ponad kwitnącymi gałęziami jabłoni.

„Dzieci, wy jesteście przyszłością”, mówił, a ja dziś wiem, że miało to inny sens, niż się w pierwszej chwili zdawało. Dzieci nie są przyszłością dlatego, że kiedyś będą dorosłe, lecz dlatego, że ludzkość coraz bardziej będzie zbliżała się do stanu dziecięcości, że dziecięcość jest obrazem przyszłości.

„Dzieci, nie oglądajcie się nigdy za siebie”, wołał i oznaczało to, że nie możemy nigdy pozwolić, by przyszłość ugięła się pod ciężarem pamięci. Przecież dzieci też nie posiadają przeszłości i na tym polega tajemnica ich czarująco niewinnego uśmiechu.

Historia to pasmo przemijających zmian, podczas gdy wartości wieczne istnieją poza historią, są niezmiennie i nie mają potrzeby pamiętania. Husak jest prezydentem wieczności, nie przemijania. On jest po stronie dzieci, a dzieci to życie, żyć zaś to „widzieć, słyszeć, jeść, pić, oddawać mocz, defekować, zanurzać się w wodzie i obserwować niebo, śmiać się i płakać.”

Mówi się, że kiedy Husak skończył swoje przemówienie do dzieci (ja wtedy już zamknąłem okno, a ojciec znów szykował się, by dosiąść konia), na podium wszedł Karel Klos i zaśpiewał. Husakowi ze wzruszenia ściekały po twarzy łyzy, a słoneczny uśmiech, który zewsząd promieniował, połączył się z tymi łzami. Wielki cud tęczy objawił się w tej chwili nad Pragą.

Dzieci podniosły w górę głowy, zobaczyły tęczę, zaczęły się śmiać i klaskać.

Idiota muzyki skończył śpiewać, a prezydent zapomnienia rozłożył ręce i zawołał: „Dzieci, jakie to szczęście żyć!”

26

Na wyspie rozbrzmiewa krzyk śpiewu i łoskot elektrycznych gitar. Przed pawilonem znajduje się na ziemi magnetofon. Nad nim stoi chłopiec, a Tarnina rozpoznaje w nim przewoźnika, z którym dawno temu przyплыnęła na wyspę. Jest podekscytowana.

Skoro pojawił się przewoźnik, musi także być łódka. Wie, że nie może stracić takiej okazji. Serce jej wali, a ona od tej chwili nie myśli o niczym innym jak o ucieczce.

Chłopiec patrzy w dół na magnetofon i kołysze się w biodrach. Dzieci przybiegają na placyk i dołączają do niego: wysuwają do przodu na przemian to jedno, to drugie ramię, głowy uniesione do góry, poruszają rękami z podniesionymi palcami wskazującymi, jakby komuś groziły, i pokrzykują do taktu muzyki.

Tarnina – ukryta za grubym pniem platanu nie chce, żeby ją zobaczyły, ale nie może od nich oderwać wzroku. Zachowują się z taką samą wyzywającą kokieterią jak dorośli i poruszają biodrami do przodu i do tyłu, jakby naśladowały stosunek. Wulgarność ruchów w połączeniu z dziecięcymi ciałami kwestionuje sprzeczność niewinności i obscenizmu, czystości i zepsucia. Zmysłowość i niewinność stają się bezsensownymi, słowa się rozpadają, a Tarninie robi się mdło: jakby miała w żołądku pustą jamę.

A głupota gitar wciąż rozbrzmiewa i dzieci nadal tańczą, kokieteryjnie wypinając brzuszki, a ona czuje mdłości z powodu rzeczy, które straciły wagę. Owa pusta jama w żołądku, to jest właśnie nieznośny brak ciężaru. Jedno ekstremum bowiem jest w stanie natychmiast zmienić się w swoje zaprzeczenie – maksymalna lekkość stała się straszliwym *ciężarem lekkości* i Tarnina zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie udźwignąć tego ciężaru ani przez chwilę dłużej. Odwraca się więc i biegnie.

Biegnie alejką ku wodzie.

Już jest na brzegu. Rozgląda się. Ale łódki tu nie ma.

Tak jak pierwszego dnia okrążyła biegiem całą wyspę. Lecz na próżno; nie znajduje żadnej łódki. Wreszcie wraca do miejsca, gdzie platanowa aleja łączy się z plażą. Widzi tam biegające, zdenerwowane dzieci.

Zatrzymuje się.

Dzieci dostrzegły ją i z krzykiem biegną naprzeciw.

27

Skoczyła do wody.

To nie było ze strachu. Myślała o tym już dawno. Przecież podróż łódką na wyspę nie trwała tak długo. Chociaż nie widzi przeciwległego brzegu, to jednak dopłynięcie tam musi leżeć w ludzkich siłach!

Dzieci z wrzaskiem dobiegły do brzegu i kilka kamieni poleciało w jej stronę. Ale płynęła szybko, więc wkrótce oddaliła się z zasięgu ich słabych ramion.

Płynęła i po raz pierwszy od dłuższego czasu czuła się wspaniale. Czuła swoje ciało, czuła jego dawną siłę. Pływała zawsze doskonale, a wykonywane ruchy sprawiały jej rozkosz. Woda była zimna, lecz ona cieszyła się z tego chłodu. Wydawało jej się, że splukuje on z niej cały dziecinny brud, wszelką ślinę i spojrzenia dzieci.

Płynęła długo, a słońce tymczasem powoli chowało się do wody.

A potem ściemniło się i nastał zupełny mrok; nie było ani Księżycy, ani gwiazd i Tarnina tylko intuicyjnie starała się utrzymać wciąż ten sam kierunek.

28

Dokąd właściwie chciała wrócić? Do Pragi?

Już nawet o niej nie wiedziała.

Do małego miasta w zachodniej Europie?

Nie. Chciała po prostu odejść.

To znaczy, chciała umrzeć?

Nie, nie, wcale nie. Przeciwnie, strasznie pragnęła żyć.

Ale przecież jakoś musiała sobie wyobrazić świat, w którym chciałaby żyć!

W ogóle go sobie nie wyobrażała. Ze wszystkiego pozostało jej tylko wielkie pragnienie życia i własne ciało. Tylko dwie rzeczy, nic więcej. Chciała je zabrać z wyspy i uratować. Swoje ciało i swoje pragnienie życia.

Potem zaczęło świtać. Wyteżała wzrok, czy czegoś przed sobą nie zobaczy.

Ale przed nią nie było niczego, tylko woda. Spojrzała za siebie. Kawałeczek od niej, zaledwie jakieś sto metrów, widniał brzeg zielonej wyspy.

Czyżby pływała przez całą noc w tym samym miejscu. Opanowało ją przerażenie i w chwili, gdy straciła nadzieję, poczuła, że jej członki są słabe, a woda lodowata. Zamknęła oczy i starała się płynąć dalej. Nie wierzyła już, że dopływie na drugą stronę; myślała tylko o swojej śmierci i pragnęła umrzeć gdzieś dalej w wodzie, bez obcych dotknięć, sama, jedynie z rybami. Oczy jej się zamykały i pewnie na chwilę się zdrzemnęła, bo nagle poczuła wodę w płucach; rozkaszała się, dusiła i w czasie tego kaszlu usłyszała w pobliżu dziecięce głosy.

Odgarnęła wodę, kaszlała i rozglądała się wkoło. Niedaleko niej płynęła łódka, a w środku kilkoro dzieci. Krzyczały. Kiedy zobaczyły, że je dostrzegła, ucichły. Podpłynęły do niej i patrzyły bez ruchu. W ich wzroku widać było niezwykle podniecenie.

Przestraszyła się, że będą ją chciały ratować i że znów będzie musiała się z nimi bawić. W tym momencie poczuła mdłości i sztywnienie członków.

Łódka płynęła tuż koło niej i pięć dziecięcych twarzątek łapczywie wpijało w nią wzrok.

Kręciła ze strachem głową, jakby chciała im powiedzieć: pozwólcie mi umrzeć, nie ratujcie mnie.

Jej strach był jednak niepotrzebny. Dzieci nie ruszały się z miejsc; nikt nie podawał jej wiosła czy ręki, nikt nie chciał jej ratować. Patrzyły tylko na nią szeroko otwartymi, pożądliwymi oczami. Jeden z chłopców sterował wiosłem, aby łódka nie oddaliła się od niej.

Znów wciągnęła wodę do płuc, rozkaszała się, młóciła rękami wodę, bo czuła, że nie utrzyma się już na powierzchni. Nogi miała coraz cięższe. Ciągnęły ją w dół jak balast.

Głowa jej opadała pod wodę. Jeszcze kilkakrotnie gwałtownymi ruchami zdołała wypłynąć i za każdym razem widziała łódkę i wpatrujące się w nią dziecięce oczy.

Potem zniknęła pod powierzchnią.

W tym rozdziale znajduje się cytat z: Annie Leclerc, *Parole de femme*, 1976.

Część siódma

Granica

1

Kiedy kochał się z kobietami, zawsze najbardziej interesowały go ich twarze. Ciała swoim ruchem jakby napędzały wielki projektor filmowy, a na twarzy, jak na ekranie telewizora, rozgrywał się pasjonujący film, pełen niepokoju, oczekiwania, wybuchów, krzyku, bólu, wzruszenia i zła. Ale twarz Edwigi była wyłączonym ekranem, a Jan wpatrując się w nią, nie znajdował odpowiedzi na dręczące go pytania. Nudzi się z nim? Jest zmęczona? Nie lubi się kochać? Jest przyzwyczajona do lepszych kochanków? A może pod tą nieruchomą powierzchnią twarzy kryją się przeżycia, których Jan nawet nie podejrzuje?

Oczywiście mógł ją o to zapytać. Ale działo się z nimi coś szczególnego. Oboje zawsze rozmowni i szczerzy wobec siebie, milkli w tym momencie, jak tylko stykały się ich nagie ciała.

Nigdy nie potrafił wytłumaczyć sobie tego zjawiska. Może było ono spowodowane tym, że w ich pozaerotycznym życiu Edwiga przejawiała zawsze więcej inicjatywy niż on. Choć była młodsza, w ciągu swojego życia wypowiedziała co najmniej trzy razy tyle słów i rozdała dziesięciokrotnie więcej pouczeń i rad, więc wydawała mu się być dobrą, mądrą matką, która wzięła go za rękę, by go poprowadzić przez życie.

Wyobrażał sobie często, że w trakcie igraszek miłosnych szepcze jej do ucha kilka obscenicznych słów. Lecz nawet w wyobraźni próba ta kończyła się niepowodzeniem. Był pewny, że na jej twarzy pojawiłby się łagodny uśmiech protestu i pobłażliwego wyrozumienia, uśmiech matki obserwującej synka, który kradnie ze spiżarni łakocie.

Albo wyobrażał sobie, że szepnąłby jej zupełnie banalne zdanie: *podoba ci się to?* Z innymi kobietami nawet tak proste pytanie brzmiało rozpustnie. Nazywał przecież, choć eleganckim słówkiem *to*, akt miłosny i prowokował do dalszych słów, w których miłość fizyczna odbijałaby się jak w szeregu luster. Wydawało mu się jednak, że już z góry zna odpowiedź Edwigi. Naturalnie, że mi się to podoba, tłumaczyłaby niecierpliwie. Sądysz, że robiłabym dobrowolnie coś, co mi się nie podoba? Nie myślisz logicznie, Janie.

Więc nie szeptał jej ani obscenicznych słów, ani nie pytał, czy jej się to podoba, a tylko milczał, podczas gdy ich ciała poruszały się majestatycznie i długo, napędzając pusty projektor, w którym nie było żadnej taśmy filmowej.

Często wprawdzie przychodziło mu do głowy, że on sam ponosi winę za milczenie ich nocy. Stworzył sobie karykaturalny obraz Edwigi-kochanki, który stoi teraz pomiędzy nimi i z jego powodu nie sposób dotrzeć do prawdziwej Edwigi, do jej zmysłów i obscenicznych cieni. Wielokrotnie po każdej milczącej nocy obiecywał sobie, że już nigdy nie będzie się kochał z Edwigą. Uwielbia ją jako mądrą, wierną, wyjątkową przyjaciółkę, a nie jako kochankę. Ale nie sposób było oddzielić przyjaciółkę od kochanki. Za każdym razem, kiedy się spotykali, siedzieli razem długo w nocy; Edwiga piła, mówiła, pouczała, a kiedy już Jan był zupełnie nieprzytomny ze zmęczenia, nagle milkła i na jej twarzy pojawiał się spokojny, błogi uśmiech. W tym momencie Jan, jakby kierowany jakąś tajemniczą siłą, dotykał jej piersi, a ona wstawiała i zaczynała się rozbierać.

Dlaczego chce się ze mną kochać, pytał wielokrotnie sam siebie, ale nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Wiedział tylko, że ich milczące akty miłosne są nieuniknione, tak jak nieuniknione jest, że obywatel przy dźwięku hymnu narodowego staje na baczność, choć nie sprawia to przyjemności ani jemu, ani jego ojczyźnie.

2

W ciągu ostatnich dwustu lat kos opuścił lasy i stał się ptakiem miejskim. Najpierw w Wielkiej Brytanii, już pod koniec osiemnastego wieku, kilkadziesiąt lat później w Paryżu i Zagłębiu Ruhry. W okresie dziewiętnastego wieku zdobywał jedno po drugim europejskie miasta. W Wiedniu i Pradze osiedlił się około 1900 roku, a potem posuwał się dalej na wschód, do Budapesztu, Belgradu, Istambułu.

Z punktu widzenia kuli ziemskiej ta inwazja kosa na świat człowieka jest bezsprzecznie ważniejsza niż inwazja Hiszpanów w Ameryce Południowej czy ponowne zasiedlenie Palestyny przez Żydów. Zmiana stosunków pomiędzy poszczególnymi rodzajami stworzeń (rybami, ptakami, ludźmi, roślinami) jest zmianą wyższego rzędu niż zmiana pomiędzy grupami tegoż rodzaju. Kuli ziemskiej może być zupełnie obojętne, czy Czechy zamieszkują Słowianie czy Celtowie, a nad Besarabią panują Rumuni czy

Rosjanie. Jeśli jednak kos zdradza pierwotne środowisko, aby odejść za człowiekiem do jego sztucznego, nienaturalnego świata, to znaczy, że coś się zmieniło w prawach planety.

Mimo to nikt nie odważy się interpretować ostatnich dwóch wieków jako historii inwazji kosa na ludzkie miasta. Wszystkich nas zniewalają skostniałe poglądy na to, co jest ważne, a co bez znaczenia, ze strachem wpijamy wzrok w to ważne, podczas gdy nieistotne w ukryciu, za naszymi plecami, prowadzi swoją partyzantkę, która ostatecznie w niezauważalny sposób zmieni świat i nieprzyjemnie nas zaskoczy.

Gdyby ktoś znał biografię Jana, okres, o którym mówimy, podsumowałby mniej więcej w taki sposób: Związek z Edwigą oznaczał dla czterdziestopięcioletniego Jana nowy etap. Porzucił wreszcie jałowy, roztargniony tryb życia i zdecydował się na opuszczenie miasta na zachodzie Europy, by za oceanem z nowymi siłami poświęcić się poważnej pracy, w której później osiągnął itd., itd.

Ale niech mi wyjaśni ów wymyślony biograf Jana, czemu właśnie w tym okresie najulubiejszą książką naszego bohatera jest stara, antyczna opowieść o Dafnis i Chloe! Miłość dwojga młodych ludzi, jeszcze niemal dzieci, którzy nie wiedzą, co to jest miłość fizyczna. W szumie morza słychać beczenie barana, a pod drzewami oliwnymi owca szczypie trawą. Tych dwoje leży obok siebie, nadzy i pełni wielkiego, nieznanego pragnienia. Obejmują się, przyciskają do siebie i oplatają się swymi ciałami. Pozostają tak bardzo, bardzo długo, bo nie wiedzą, co więcej mogliby robić. Myślą, że w tym uścisku jest cel ich miłosnych radości. Są podnieceni, łomocze im serce, ale nie wiedzą, co to znaczy kochać się.

Tak, właśnie tym fragmentem Jan jest zafascynowany.

3

Aktorka Hanna siedziała na skrzyżowanych nogach, jak widać to na posązkach Buddy, sprzedawanych we wszystkich antykwariatach świata. Mówiła bez przerwy i obserwowała jednocześnie swój palec, który krążył powoli tam i z powrotem po brzegu okrągłego stolika przy tapczanie.

Nie był to machinalny gest ludzi nerwowych, którzy przyzwyczajeni są do przytupywania nogą czy bawienia się włosami. Był to gest świadomy i przemyślany, powabny i miękki, który miał wokół niej zakreślić magiczny krąg; ona byłaby w tym kręgu skoncentrowana na sobie, pozostali zaś – skoncentrowani na niej.

Patrzyła z zadowoleniem na ruch swego palca – zaledwie od czasu do czasu spoglądała na Jana, siedzącego na wprost niej. Opowiadała o tym, że załamała się nerwowo, ponieważ jej syn, który mieszka w innym mieście z jej byłym mężem, uciekł z domu i przez kilka dni nie dawał znaku życia. Ojciec jej syna był na tyle brutalny, że przekazał jej tę wiadomość telefonicznie, na pół godziny przed spektaklem. Aktorka Hanna dostała gorączki, bólu głowy, a w końcu i kataru. – Nie mogłam nawet smarkać, tak mnie bolał nos! – powiedziała i podniosła na Jana swoje piękne, duże oczy. – Miałam nos jak kalafior!

Uśmiechała się uśmiechem kobiety, która wie, że nawet nos czerwony od kataru jest w niej interesujący. Żyła sama z sobą w godnej pozazdrosczenia harmonii. Kochała swój nos i kochała swą odwagę, która nazywa katar katar, a nos kalafior. Niekonwencjonalne piękno zaczerwienionego nosa uzupełniane było w ten sposób odwagą ducha, a kolisty ruch palca łączył oba wdzięki swym magicznym łukiem w niepodzielną jedność jej osobowości.

Miałam kłopoty z gorączką i wie pan, co mi powiedział mój lekarz? Mam dla pani jedną radę: proszę nie mierzyć gorączki!

Pani Hanna długo i głośno śmiała się z dowcipu swego lekarza, a potem powiedziała: – Wie pan, kogo ostatnio poznałam? Passera!

Passer był starym przyjacielem Jana. Jan widział go po raz ostatni przed kilkoma miesiącami. Passer właśnie miał iść na operację. Wszyscy wiedzieli, że to rak, tylko Passer pełen niewiarygodnej ufności i witalizmu, wierzył w kłamstwa lekarzy. Tak czy inaczej operacja, która go czekała, była niezwykle drastyczna; kiedy zostali sami, Passer powiedział Janowi: – Po tej operacji nie będę już mężczyzną, rozumiesz. Skończysz się moje życie jako mężczyzny.

– Spotkałam go w zeszłym tygodniu w letnim domku Clevisów – ciągnęła dalej Hanna. – To wspaniały, cudowny człowiek! Młodszy niż my wszyscy! Ja tego człowieka kocham!

Jan powinien się cieszyć, że piękna aktorka tak uwielbia jego przyjaciela, ale nie zrobiło to na nim większego wrażenia, bo Passer był uwielbiany przez wszystkich. Na irracjonalnej giełdzie towarzyskich sympatii jego akcje w ciągu ostatnich lat bardzo wysoko wzrosły. Stało się już niemal niezbędnym rytuałem, by podczas bzdurnej paplaniny w czasie kolacji wypowiedzieć kilka komplementów o Passerze.

– Zna pan te piękne lasy wokół domu Clevisów! Pełno tam grzybów, a ja uwielbiam zbieranie grzybów! Spytałam więc, kto się ze mną wybierze na grzyby. Nikomu się nie chciało, tylko jeden Passer powiedział: ja z panią pójdę! Niech pan to sobie wyobrazi: Passer, chory człowiek! Powiadam, że jest najmłodszy z nas wszystkich!

Popatrzyła na swój palec, który ani na chwilę nie przestawał krążyć po brzegu okrągłego stolika i mówiła dalej: – No, więc zbieraliśmy z Passerem grzyby. To było wspaniałe! Błądziliśmy po lesie, a potem znaleźliśmy małą knajpkę. Małą, brudną, wiejską gospodę. Uwielbiam to! W takiej gospodzie trzeba pić tanie, czerwone wino, jakie piją murarze. Passer był cudowny. Ja tego człowieka kocham!

4

W czasach, o których opowiadam, plaże w lecie zapełniały się kobietami bez staników, a obywatele dzielili się na zwolenników gołych piersi i ich przeciwników. Rodzina Clevisów, ojciec, matka i czternastoletnia córka, siedziała przed telewizorem i obserwowała dyskutantów, reprezentujących wszystkie ideowe prądy epoki, którzy przedstawiali argumenty za i przeciw stanikom. Psychoanalityk żarliwie bronił nagich piersi i mówił o liberalizacji obyczajów, która uwalnia nas spod wpływu erotycznych fantazmatów. Marksista nie wypowiedział się na temat stanika (wśród członków partii komunistycznej byli zarówno purytanie, jak też libertyni i z politycznego punktu widzenia nie byłoby rozsądne stawiać jednych przeciwko drugim), sprytnie natomiast sprowadził debatę na bardziej zasadniczy problem obłudnej moralności społeczeństwa burżuazyjnego, którego kres zbliża się coraz bardziej. Przedstawiciel myśli chrześcijańskiej czuł się w obowiązku bronić stanika, lecz nawet on nie pozostał niezłomny wobec wpływu epoki, przeprowadzał więc swoją obronę bardzo nieśmiało; znalazł tylko jeden argument za biustonozem, w niewinności dzieci, którą wszyscy powinni respektować i ochraniać. Natychmiast został zaatakowany przez energiczną kobietę, która oświadczyła, że trzeba skończyć z tabu nagości właśnie już w dzieciństwie, i zalecała, aby rodzice chodzili po domu nago.

Jan przyszedł do Clevisów, kiedy spikerka zapowiadała koniec debaty, ale podniecenie jeszcze długo napełniało mieszkanie.

Wszyscy Clevisowie byli ludźmi postępowymi, więc opowiadali się stanowczo przeciw stanikowi. Majestatyczny ruch, jakim miliony kobiet jak na komendę odrzucają od siebie ten hańbiący fragment stroju, symbolizował Clevisom ludzkość wyzwalającą się ze swego zniewolenia. Kobiety bez staników kroczyły przez mieszkanie Clevisów jako niewidzialna brygada wyzwolicielek.

Jak powiedziałem, Clevisowie byli ludźmi postępowymi i posiadali postępowe poglądy. Istnieje wiele rodzajów postępowych poglądów, ale Clevisowie posiadali zawsze ten najlepszy z możliwych. Najlepszy z możliwych postępowych poglądów to taki, który zawiera w sobie na tyle silną dawkę prowokacyjności, by jego posiadacz mógł być dumny ze swojej odmienności, lecz jednocześnie przyciąga tylu zwolenników, by ryzyko osamotnionej wyjątkowości zostało natychmiast zażegnane przez ogłuszający aplauz zwycięskich tłumów. Gdyby na przykład Clevisowie byli nie przeciwko stanikowi, ale w ogóle przeciwko wszelkim ubiorom i głosiliby, że ludzie powinni chodzić po ulicach miast nago, to wprawdzie też reprezentowaliby postępowy pogląd, ale z pewnością nie najlepszy z możliwych. Pogląd ten bowiem z powodu swej ekscentryczności stałby się uciążliwy, wymagający zbyt wielkiej energii na swą obronę (podczas gdy najlepszy z możliwych postępowych poglądów broni się właściwie sam), a jego zwolennik nigdy nie uzyskałby zadośćuczynienia polegającego na tym, że absolutnie nonkonformistyczne zachowanie staje się nagle zachowaniem powszechnym.

Kiedy Jan usłyszał, jak oburzają się na staniki, przypomniał sobie nagle o małym drewnianym przedmiocie zwanym poziomnicą, ustawianym przez jego dziadka murarza na górnej krawędzi wznoszonej ściany. Poziomnica miała pośrodku ampułkę szklaną wypełnioną cieczą i zawierającą pęcherzyk powietrza, którego położenie wskazywało, czy ściany są równo postawione. Rodziny Clevisów też można było używać jako jakiejś duchowej poziomnicy. W zetknięciu z jakimkolwiek poglądem wykazywali bezbłędnie, czy jest to najlepszy z możliwych postępowych poglądów, czy też nie.

Kiedy jeden przez drugiego powtórzyli Janowi całą debatę, jaka przed chwilą odbyła się w telewizji, ojciec Clevis pochylał się ku gościowi i powiedział żartobliwym tonem: – O ile ktoś ma ładny biust, to może się chyba z tą reformą całkowicie zgodzić, nieprawda?

Dlaczego ojciec Clevis sformułował tę myśl w taki sposób? Był bowiem wzorowym gospodarzem i starał się zawsze znaleźć takie zdanie, które byłoby do przyjęcia dla wszystkich obecnych. Ponieważ Janowi towarzyszyła sława wielbiciela kobiet, dlatego Clevis swoją aprobatę na goły biust wyraził nie w prawdziwym i głębokim znaczeniu w formie *etycznego* zachwyty z powodu uwolnienia się spod

tysiącletniej niewoli, lecz kompromisowo (z uwzględnieniem przypuszczalnych skłonności Jana i wbrew swym własnym przekonaniom) w formie *estetycznego* zadowolenia, jakie sprawia nagi biust.

Starał się przy tym być precyzyjny i dyplomatycznie ostrożny; nie odważył się powiedzieć wprost, że brzydkie piersi powinny pozostać zakryte. Lecz ta absolutnie niedopuszczalna myśl, jakkolwiek nie wypowiedziana, ale w sposób oczywisty wynikająca z kontekstu, stała się łatwym łupem czternastoletniej córki, która wybuchnęła:

– A co z waszymi brzuchami? Co z waszymi tłustymi brzuchami, które od dawna bez najmniejszego wstydu obnosicie po plażach?

Matka Clewisowa roześmiała się i obdarzyła córkę gromkimi oklaskami: – Brawo!

Ojciec Clevis dołączył do owacji swej żony. Zrozumiał natychmiast, że córka ma rację i że znów padł ofiarą swego nieszczęsnego pragnienia kompromisu, z powodu którego żona i córka zawsze czyniły mu wyrzuty. Był jednak człowiekiem tak bardzo pojednawczym, że swoje kompromisowe opinie formułował także w sposób kompromisowy i gotów był natychmiast przyznać rację bardziej radykalnemu dziecku. Zresztą zaatakowane zdanie nie wyrażało jego własnego poglądu, lecz jedynie przypuszczalną opinię Jana, więc z radością, bez wahania i z ojcowską dumą mógł stanąć po stronie córki.

Córka, zachęcona aplauzem ze strony rodziców, ciągnęła dalej:

– Myślicie, że kiedy chodzimy bez staników, robimy to dla waszej przyjemności? Robimy to dla nas samych, bo nam się to podoba, bo tak jest przyjemniej, bo nasze ciało jest w ten sposób bliżej słońca! Wy nie potraficie przestać na nas patrzeć jak na obiekty seksualne!

Matka i ojciec znów przyklasnęli, lecz tym razem do ich: *brawo* wkraść się pewien cień. Zdanie wypowiedziane przez córkę było wprawdzie słuszne, lecz jednocześnie trochę niestosowne do jej wieku. To było tak, jakby siedmioletni chłopiec powiedział: Kiedy przyjdą bandyci, to ja mamę obronię. W takim przypadku rodzice również się cieszą, bo stwierdzenie syna bez wątpienia zasługuje na pochwałę. Ale ponieważ równocześnie świadczy o zbytnej pewności siebie, więc do pochwały dołączają pewien szczególny uśmiech. Dokładnie tym uśmiechem Clewisowie zabarwili swe drugie *brawo*, a córka, która ów uśmiech zauważyła i nie zgadzała się z nim, powtórzyła z uporem:

– Z tym jest raz na zawsze koniec. Ja nie jestem dla nikogo obiektem seksualnym.

Rodzice tym razem już tylko kiwnęli z aprobatą głowami, bez uśmiechu, żeby córki nie prowokować do dalszych oświadczeń.

Jan jednak nie potrafił się powstrzymać, by nie powiedzieć:

– Dziecinko, gdybyś ty wiedziała, jak bardzo łatwo jest nie być obiektem seksualnym.

Wypowiedział to zdanie po cichu, ale z takim szczerym smutkiem, że wydawało się, iż jeszcze długo rezonuje ono w pokoju. Nie było można zbyć go milczeniem, ale tak samo nie sposób było jakoś na nie zareagować. Nie dość, że nie zasługiwało na akceptację, bo nie było postępowe, to na dodatek nawet nie można było z nim polemizować, ponieważ nie było w wyraźny sposób antypostępowe. Było to zdanie najgorsze z możliwych, ponieważ znalazło się poza debatą narzuconą przez ducha epoki; zdanie poza dobrem i złem, zdanie absolutnie nieodpowiednie.

Na chwilę zapanowała cisza; Jan uśmiechał się z zakłopotaniem, jakby chciał przeprosić za to, co powiedział, lecz wkrótce ojciec Clevis, ten mistrz w przrzucaniu mostów od człowieka do człowieka, zaczął mówić o Passerze, który był ich wspólnym przyjacielem. Podziw dla Passera łączył ich w sposób zupełnie bezpieczny. Clevis wychwalał optymizm Passera, jego uporczywą miłość do życia, której nie jest w stanie w nim stłumić żaden reżim kuracji.

Przecież dziś istnienie Passera ograniczone jest do wąskiego wycinka życia bez kobiet, bez jedzenia, bez picia, bez ruchu i bez przyszłości. Niedawno przyjechał do ich domu, akurat wtedy, kiedy była u nich aktorka Hanna.

Jan był bardzo ciekawy, co pokaże poziomnica Clewisów przyłożona do aktorki Hanny, w której on dostrzegał wręcz nieznośny egocentryzm. Lecz poziomnica wskazała, że Jan się myli. Clevis ocenił, iż jej sposób zachowania wobec Passera był bez zarzutu. Zajmowała się tylko nim. To było z jej strony bardzo ludzkie. A przecież wszyscy wiemy, jaką sama przeżywa tragedię.

– Jaką? – zdziwił się zapominalski Jan.

Czyżby Jan nie wiedział? Jej syn uciekł z domu i nie wracał przez kilka dni! Przeżyła z tego powodu załamanie nerwowe! A mimo to twarzą w twarz z Passerem, człowiekiem skazanym na śmierć, zapomniała o sobie. Chciała go oderwać od jego kłopotów, dlatego krzyczała wesoło: *Jak ja lubię zbierać grzyby! Kto ze mną pójdzie na grzyby?* Passer się do niej przyłączył, a wszyscy inni odmówili, bo czuli, że on chce z nią być sam. Przez trzy godziny łazili po lesie, a potem poszli do gospody na czerwone wino.

Passer ma zabronione spacery i alkohol. Wrócił bardzo wyczerpany, ale szczęśliwy. Następnego dnia musieli go odwiedzić do szpitala.

– Myślę, że jego stan jest dość poważny – powiedział Clevis i dodał, jakby napominając Jana. – Powinieneś iść go odwiedzić.

5

Jan wmawia sobie: Na początku erotycznego wieku mężczyzny jest podniecenie bez rozkoszy, a na końcu – rozkosz bez podniecenia.

Podniecenie bez rozkoszy – to Dafnis. Rozkosz bez podniecenia – to dziewczyna z wypożyczalni artykułów sportowych.

Kiedy ją przed rokiem poznał i zaprosił do siebie, powiedziała mu niezapomniane zdanie: „Gdybyśmy się kochali, to z pewnością od strony technicznej byłoby to wspaniałe, ale nie jestem pewna strony uczuciowej.”

Odpowiedział, że jeśli chodzi o niego, to może być zupełnie spokojna o stronę uczuciową, ona zaś przyjęła jego słowa tak, jak przyzwyczajona była przyjmować zastaw za wypożyczone narty i nie mówiła już o uczuciach. Natomiast jeśli chodzi o techniczną stronę, to porządnie go zmęczyła.

Była fanatyczką orgazmu. Orgazm stanowił dla niej religię, cel, najwyższy imperatyw higieny, synonim zdrowia, ale również dumę, bo odróżniał ją od innych, mniej szczęśliwych kobiet tak jak jacht czy sławny kochanek.

Ale nie było łatwo sprawić jej rozkosz. Pokrzykiwała na niego *szybciej, szybciej*, potem *powoli, powoli* albo *mocniej, mocniej* jak trener, który krzyczy komendy wioślarzom na ósemce. Absolutnie skoncentrowana na czułych punktach swej skóry prowadziła jego rękę, aby w odpowiednim momencie przyłożył ją do właściwego miejsca. Był spocony, a przed oczami migało mu jej niecierpliwe spojrzenie i gorliwie wijące się ciało, to ruchome urządzenie do produkcji małego wybuchu, który był celem i sensem wszystkiego.

Kiedy ostatnio od niej wychodził, przypomniał sobie Hertza, reżysera operowego z małego, środkowoeuropejskiego miasta, w którym spędził młodość. Hertz zmuszał śpiewaczki, żeby na specjalnych próbach ruchowych prezentowały mu całą swą rolę nago. Żeby być zupełnie pewnym ułożenia ich ciał, kazał im wsuwać w siedzenie ołówki. Kierunek, w jakim ołówek zwisał na dół, przedłużał linię kręgosłupa, więc pomysłowy reżyser mógł w ten sposób z naukową dokładnością kontrolować kroki, ruch, podskoki i pozycję ciała śpiewaczek.

Kiedy pogniwała się na niego młoda sopranistka i doniosła o tym dyrekcji, Hertz bronił się, że nigdy żadnej śpiewaczki nie napastował i żadnej z nich nawet nie dotknął. Była to prawda, ale cała ta historia z ołówkiem stała się w ten sposób jeszcze bardziej zwyrodniała i po tym skandalu Hertz musiał opuścić rodzinne miasto Jana.

Jego afera zrobiła się jednak słynna i dzięki niej młodzieńki Jan zaczął chodzić na spektakle operowe. Wyobrażał sobie, że wszystkie śpiewaczki z ich patetycznymi gestami, pochylonymi głowami i szeroko otwartymi ustami, są nagie. Orkiestra łkała, śpiewaczki chwyciły się za lewą pierś, a on widział jak z nagich siedzeń wystają im ołówki. Waliło mu serce, był podniecony podnieceniem Hertza! (Do dziś nie potrafi w inny sposób patrzeć na spektakle operowe i do dziś chodzi na nie z nastawieniem młodzieńca, który ukradkiem obserwuje obsceniczny teatr.)

Mówi sobie: Hertz był wyszukany alchemikiem rozpusty, który w ołówku wsadzonym w tyłek odnalazł magiczną formę podniecenia. Wstydi się przed nim: Hertz nigdy nie dałby się zmusić do męczącej pracy, jaką przed chwilą wykonywał na komendę na ciele dziewczyny z wypożyczalni artykułów sportowych.

6

Podobnie jak inwazja kosów rozgrywa się na odwrocie historii Europy, tak moja opowieść rozgrywa się na odwrocie życia Jana. Składałam ją z pojedynczych zdarzeń, którym Jan prawdopodobnie nie poświęcał zbyt wiele uwagi, ponieważ na powierzchni życia absorbowano go wiele innych zmartwień i kłopotów: propozycja kontraktu za oceanem, gorączkowa praca zawodowa, przygotowania do wyjazdu.

Niedawno spotkał na ulicy Barbarę. Pytała z wyrzutem, czemu jej nie odwiedza, kiedy ma gości. Dom Barbary znany był z grupowych zabaw erotycznych. Jan bał się plotek i przez wiele lat odrzucał zaproszenia. Tym razem jednak uśmiechnął się i powiedział: – Dobrze, chętnie wpadnę.

Wie, że do tego miasta już nigdy nie wróci, i nie zależy mu na dyskrecji. Wyobraża sobie wille Barbary pełną wesołych, nagich ludzi i mówi sobie, że właściwie nie byłaby to zła zabawa na pożegnanie.

Bo Jan się żegna. Za kilka miesięcy przekroczy granicę. Ale kiedy tylko o tym pomyśli, słowo *granica*, użyte w normalnym, geograficznym znaczeniu, nasuwa mu na myśl inną granicę, niematerialną i niezrozumiałą, o której ostatnio coraz więcej myśli.

Jaką granicę?

Kobiela, którą kochał najbardziej na świecie (miał wtedy trzydzieści lat), mawiała mu (niemal wariował, kiedy to słyszał), że to, co trzyma ją przy życiu, jest tylko cienkim włoskiem. Tak, chce żyć, życie sprawia jej wielką przyjemność, ale jednocześnie wie, że to *chcę żyć* uplecione jest z włókien pajęczyny. Wystarczy mało, tak bardzo mało, aby człowiek znalazł się po drugiej stronie granicy, gdzie wszystko traci sens: miłość, wiara, światopogląd, historia. Cała tajemnica ludzkiego życia polega na tym, że dzieje się ono w bezpośredniej bliskości, a nawet na styku tej granicy, że jest od niej oddalone nie o kilometry, lecz o jeden milimetr.

7

Każdy mężczyzna ma dwa życiorysy erotyczne. Zwykle mówi się o tym pierwszym: rejestrze miłości i spotkań miłosnych.

Być może ciekawsza jest ta druga biografia: pasmo kobiet, których pragnęliśmy, lecz które nam umykały, dręcząca historia niezrealizowanych możliwości.

Lecz jest również trzecia, tajemnicza i niepokojąca kategoria kobiet. Podobały się nam, my się im podobaliśmy, ale jednocześnie uświadamialiśmy sobie natychmiast, że nie możemy ich mieć, ponieważ znajdowaliśmy się z nimi po drugiej stronie granicy.

Jan jechał pociągiem i czytał książkę. W pewnej chwili wsiadła do przedziału nieznajoma, ładna dziewczyna (jedyne wolne miejsce było na wprost niego) i ukłoniła mu się. Odpowiedział na jej ukłon i zastanawiał się, skąd ją zna. Znów odwrócił oczy ku książce, ale kiepsko mu się czytało. Czuł, że dziewczyna stale na niego patrzy z ciekawością i oczekiwaniem.

Zamknął książkę: – Skąd my się znamy?

Nie było to nic szczególnego. Spotkali się ponoć przed pięciu laty w jakimś mało istotnym towarzystwie. Przypomniał sobie ten okres i zadał jej kilka pytań: co tam wtedy robiła, z kim się spotykała, gdzie teraz pracuje i czy jest zadowolona z pracy.

Był przyzwyczajony do tego, że szybko potrafił wzniecić iskrę między sobą a jakąkolwiek kobietą. Jednak tym razem czuł się jak urzędnik działu personalnego stawiający pytania kobiecie, która przyszła dowiedzieć się o etat.

Zamilkł. Otworzył książkę i starał się czytać, ale miał wrażenie, że jest obserwowany przez niewidzialną komisję egzaminacyjną, która ma plik informacji na jego temat i nie spuszcza z niego wzroku. Z uporem wpatrywał się w książkę nie wiedząc, co czyta i uświadamiał sobie, że komisja cierpliwie liczy minuty jego milczenia, aby wziąć je pod uwagę przy wystawianiu końcowego stopnia.

Zamknął więc znów książkę i ponownie spróbował nawiązać z dziewczyną lekką konwersację, ale jeszcze raz stwierdził, że nic z tego nie wychodzi.

Pomyślał, że niepowodzenie bierze się stąd, iż rozmawiają w przedziale pełnym ludzi. Zaprosił ją więc do wagonu restauracyjnego, gdzie byli sami. Mówił tu wprawdzie nieco swobodniej, lecz tu także nie wykrzesał owej iskry.

Wrócili znów do przedziału. Jeszcze raz otworzył książkę i nadal nie wiedział, co w niej jest.

Dziewczyna przez chwilę siedziała w milczeniu na wprosił go, a potem wstała i wyszła na korytarz patrzeć przez okno.

Miał poczucie strasznego niezadowolenia. Dziewczyna mu się podobała, a jej zachowanie nie było niczym innym niż cichą prowokacją.

Chciał jeszcze w ostatniej chwili wszystko uratować. Wyszedł na korytarz i stanął obok niej. Powiedział, że prawdopodobnie nie poznał jej dziś dlatego, że zmieniła fryzurę. Odgarnął jej włosy z czoła i patrzył na jej zmienioną twarz.

– Tak, teraz już panią poznaję – powiedział. Oczywiście, że jej nie poznawał. Ale leż w ogóle nie o to chodziło. Chciał jej tylko przycisnąć mocno rękę do skroni, odchylić delikatnie jej głowę do tyłu i popatrzeć w ten sposób prosto w oczy.

Ileż to razy kładł różnym kobietom rękę na głowie i pytał: – Proszę pokazać, jak by pani wyglądała w ten sposób?

Ten władczy gest i władcze spojrzenie potrafiły od razu zmienić całą sytuację. Jakby w zarodku zawierały (i przywoływały z przyszłości) tę wielką scenę, kiedy posiadzie całą kobietę.

Ale tym razem był to gest bez efektu. Jego własne spojrzenie było znacznie słabsze, niż spojrzenie, które czuł na sobie, powątpiewający wzrok komisji egzaminacyjnej, która dobrze wiedziała, że się powtarza i dawała mu do zrozumienia, iż każde powtarzanie się jest tylko naśladownictwem, a każde naśladownictwo nie ma wartości. Jan zobaczył się nagle jej oczami. Widział żalną pantomimę swego spojrzenia i gestu, stereotypową mowę na migi, która przez wieloletnie powtarzanie straciła jakąkolwiek treść. Kiedy jego gest utracił spontaniczność, bezpośredni i oczywisty sens, to nagle stał się on nieznośnie ciężki, jakby przywiązano Janowi do rąk pięćdziesięciokilogramowe odważniki. Spojrzenie dziewczyny stworzyło wokół niego szczególną atmosferę *zwielokrotnionego ciężaru*.

Nie można było ciągnąć tego dalej. Puścił jej głowę i patrzył przez okno na mijane ogrody.

Pociąg dojechał do celu. Przy wyjściu z dworca powiedziała, że mieszka niedaleko stąd, i zaprosiła go do siebie.

Odmówił.

Myślał o tym później przez całe tygodnie: jak mógł odmówić dziewczynie, która mu się podobała?

Wraz z nią po prostu znajdował się po drugiej stronie granicy.

8

Spojrzenie mężczyzn było już często opisywane. Ponoć chłodno spoczywa na kobiecie, jakby ją mierzyło, ważyło, szacowało, wybierało, inaczej mówiąc, jakby zmieniało ją w rzecz.

Mniej znane jest, że kobieta nie jest wobec tego spojrzenia tak całkowicie bezbronna. Skoro jest zamieniana w rzecz, to obserwuje mężczyznę wzrokiem rzeczy. To tak, jakby młotek nagle został obdarzony oczami i zaczął bacznie wpatrywać się w murarza, który wbija nim gwóźdź w ścianę. Murarz zauważa złośliwe spojrzenie młotka, traci pewność siebie i uderza się w palec.

Murarz jest panem młotka, lecz młotek ma nad nim przewagę, ponieważ narzędzie dokładnie wie, jak należy z nim postępować, podczas gdy jego użytkownik może to wiedzieć tylko w przybliżeniu.

Zdolność widzenia przekształca młotek w żywą istotę, ale dobry murarz musi wytrzymać jego bezczelny wzrok i mocną ręką znów zmienić go w rzecz. Podobno kobieta przeżywa w ten sposób kosmiczny ruch w górę i na dół: wzlot rzeczy ku żywej istocie i upadek żywej istoty ku rzeczy.

Janowi przytrafiało się jednak coraz częściej, że nie udawała mu się gra w murarza i młotek. Kobiety źle patrzyły. Psuły grę. Czy było tak dlatego, że w tym czasie zaczęły się organizować i zapragnęły zmienić los kobiety? Czy leż może Jan starzał się i inaczej widział kobiety albo ich spojrzenia? Czy zmieniał się świat, czy tylko on się zmieniał?

Trudno powiedzieć. Faktem jest, że dziewczyna z pociągu mierzyła go tak powątpiewającym spojrzeniem, że młotek wypadł mu z rąk wcześniej, niż w ogóle był w stanie go ująć.

Niedawno Jan spotkał Pascala, który skarżył mu się na Barbarę. Zaprosiła go kiedyś do siebie. Były tam dwie dziewczyny, których Pascal nie znał. Przez chwilę rozmawiali, a potem niespodziewanie Barbara przyniosła z kuchni stary, duży, metalowy budzik. Bez gadania zaczęła się rozbierać, a dziewczyny wraz z nią.

– Czy pan to rozumie? – skarżył się Pascal Janowi. – Rozbierały się zupełnie obojętnie i niedbale, jakbym był psem albo doniczką.

Polem Barbara kazała się i jemu rozebrać. Nie chciał stracić okazji kochania się z dwiema nieznanymi dziewczynami i usłuchał. Kiedy był nagi, Barbara wskazała na budzik: – Popatrz uważnie na sekundnik. Jeśli w ciągu minuty ci nie stanie, to się stąd zabieraj!

– Patrzyły mi uparcie między nogi, a w miarę upływu sekund zaczęły się śmiać. Potem mnie wyrzuciły!

To jest przypadek, gdy młotek postanowił wykastrować murarza.

– Wiesz, Pascal to nadęty bufon i właściwie w skrytości ducha czułem sympatię do karnego komanda Barbary – opowiadał Jan Edwidze. – Zresztą Pascal ze swoimi kolegami robił dziewczynom dość podobne zabawy. Dziewczyna przychodziła, chciała się kochać, a oni ją rozbierali i przywiązywali do łóżka. Jej nie przeszkadzał fakt, że jest przywiązana – to tworzyło element gry. Skandaliczne było wszakże to, że nic jej nie robili, nawet nie dotknęli, tylko patrzyli na nią. Dziewczyna czuła się zgniewana.

– I słusznie – odparła Edwiga.

– Potrafię sobie jednak wyobrazić, że te nagie, związane i oglądane dziewczyny były wspaniale podniecone. Pascal w podobnej sytuacji nie był podniecony. Czuł się wykastrowany.

Był późny wieczór, siedzieli oboje w mieszkaniu Edwigi, a na stoliku przed nimi stała na wpół opróżniona butelka whisky.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała.

– Chcę przez to powiedzieć – odparł Jan – że kiedy mężczyzna i kobieta robią to samo, nie jest to to samo. Mężczyzna gwałci, a kobieta kastruje.

– Czy to oznacza, że kastrowanie mężczyzn jest haniebne, podczas gdy gwałcenie kobiet wspaniałe?

– To oznacza, że zgwałcenie jest częścią erotyki, gdy tymczasem kastracja jest jej zaprzeczeniem – bronił się Jan.

Edwiga jednym haustem wypija cały kieliszek i złościła się: – Skoro gwałt jest częścią erotyki, to cała erotyka skierowana jest przeciw kobiecie i powinno się wymyślić inną.

Jan upił whisky, przez chwilę milczał, a potem ciągnął dalej: – Przed wielu laty w moim starym kraju ułożyliśmy z kolegami antologię okrzyków, jakie nasze kochanki wydawały w czasie stosunku. Czy wiesz, jakie słowo występowało najczęściej?

Edwiga nie wiedziała.

– Słowo *nie*. Słowo *nie* powtarzane wielokrotnie po sobie: *nie, nie, nie, nie...* Dziewczyna przychodziła, żeby się kochać, ale kiedy mężczyzna ją obejmował, odpychała go i mówiła *nie*, więc cała zabawa została oświetlona czerwonym światłem tego najpiękniejszego ze wszystkich słów i zamieniona w małą imitację gwałtu. Także w chwili, kiedy zbliżała się rozkosz mówiły *nie, nie, nie, nie*, a wiele z nich powtarzało to również w rozkoszy. Od tej pory *nie* jest dla mnie królową wszystkich słów. Czy ty też zwykłaś mówić *nie*?

Edwiga odpowiedziała, że nigdy tak nie mówiła: – Czemu miałabym mówić coś, czego nie myślę? Kiedy kobieta mówi *nie*, myśli tak. Ten męski *bon mot* zawsze wprawiał mnie we wściekłość. To zdanie jest tak głupie jak historia ludzkości.

– Ale ta historia jest w nas i nie możemy od niej uciec – oponował Jan. – Kobieta ucieka i broni się. Kobieta daje, a mężczyzna bierze. Kobieta się okrywa, mężczyzna zrywa z niej ubranie. Przecież to są odwieczne obrazy, które istnieją w nas.

– Odwieczne i głupie! Głupsze niż święte obrazki! A jeśli kobiety są już zmęczone zachowywaniem się według tych wzorów? A jeśli już je zmęczyło to ciągle powtarzanie? Jeśli chcą wymyślić inne obrazy i inną grę?

– Tak, to są bardzo głupie obrazy i głupio się powtarzają. Masz absolutną rację. Ale co robić, skoro właściwie w te obrazy wpisane jest nasze podniecenie wobec ciała kobiety? Jeśli zniszczy się w nas te stare, głupie obrazy, to czy mężczyzna będzie jeszcze w stanie kochać się z kobietą?

Edwiga roześmiała się: – Myślę, że stwarzasz sobie niepotrzebne problemy!

Potem objęła go macierzyńskim spojrzeniem: – I nie myśl, że wszyscy mężczyźni są tacy jak ty. Co ty możesz wiedzieć, jacy są mężczyźni, kiedy zostają sami z kobietą?

Jan istotnie nie wiedział, jacy są mężczyźni, kiedy zostają sami z kobietą. Zapadła cisza, a na ustach Edwigi pojawił się błogi uśmiech, który oznaczał, że jest już bardzo późny wieczór i zbliża się chwila, gdy Jan na swoim ciele uruchomi pusty projektor filmowy.

Po chwili zastanowienia dodała: – Zresztą kochanie się nie jest w końcu tak ważną rzeczą.

Jan wyostrzył słuch: – Uważasz, że kochanie się nie jest takie ważne?

Edwiga uśmiechnęła się do niego czule: – Nie, kochanie się nie jest takie ważne.

Zapomniał natychmiast o ich dyskusji, bo w tym momencie zrozumiał coś znacznie istotniejszego: miłość fizyczna nie jest dla Edwigi niczym innym, jak znakiem, symbolicznym aktem potwierdzającym przyjaźń.

Tego wieczoru po raz pierwszy odważył się powiedzieć, że jest zmęczony. Położył się koło niej na łóżku jak cnotliwy przyjaciel i nie uruchamiał filmowego projektora. Głaskał ją delikatnie po włosach i widział, jak nad ich wspólną przyszłością wznosi się dodająca otuchy tęcza pokoju.

9

Przed dziesięciu laty odwiedzała Jana pewna mężatka. Znali się już wiele lat, ale spotykali się bardzo rzadko, ponieważ pani ta była bardzo zajęta, więc kiedy znalazła dla niego czas, nie mogli nim szafować. Najpierw siadała w fotelu, przez chwilę konwersowali, ale rzeczywiście tylko przez chwilę. Jan musiał zaraz wstać, podejść do niej, pocałować i unieść z fotela w swoje objęcia.

Potem wypuszczał ją z ramion, oboje od siebie odskakiwali i zaczęli się gorączkowo rozbierać. On wieszał marynarkę na krzesło, ona zaś zdejmowała sweterek i odkładała go na oparcie drugiego krzesła. Pochylała się i zaczynała ściągać rajstopy. On rozpiął rozporek i opuszczał spodnie. Spieszyli się. Stali w głębokim skłonie, na wprost siebie; on wyciągał ze spodni najpierw jedną, potem drugą nogę (unosił je przy tym wysoko, jak na uroczystej paradzie wojskowej), ona zaś schylała się opuszczając do kostek rajstopy, a potem wyciągała z nich nogi, podnosząc je do góry podobnie jak on.

Postępowali tak za każdym razem, ale pewnego dnia zdarzyło się coś, czego nigdy nie zapomni: spojrziała na niego i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Był to uśmiech niemal czuły, pełen zrozumienia i współczucia, uśmiech płochy, który sam za siebie przepraszał, ale przecież bez wątplenia uśmiech, którego przyczynę stanowiło nagle światło śmieszności, jakie oświetliło tę scenę. Musiał się bardzo opanować, żeby nie odwzajemnić tego uśmiechu. Albowiem on także dostrzegł wyłaniającą się z półmroku powszedniości niespodziewaną śmieszność dwojga ludzi, którzy stoją na wprost siebie i z ogromnym pośpiechem unoszą wysoko nogi. Poczuł, że dzieli go tylko włos od lego, by się roześmiać. Ale wiedział także, że później nie mogliby się już kochać. Śmiech czał się tu jak wielka pułapka, cierpliwie oczekująca w pokoju, ukryta za cienką ścianką. Istniało tylko parę milimetrów dzielących akt miłosny od śmiechu, a on bał się, by ich nie przekroczyć. Parę milimetrów dzieliło go od granicy, za którą wszelkie rzeczy przestają mieć sens.

Opanował się. Zdusił śmiech, odrzucił spodnie i szybko podszedł do swej kochanki, aby jak najprędzej dotknąć jej ciała i w ten sposób odpędzić szatana śmiechu.

10

Dowiedział się, że stan zdrowia Passera jest coraz gorszy. Dostaje stale zastrzyki z morfiny i tylko przez kilka godzin dziennie jest w pełnej kondycji. Pojechał do niego pociągiem do odległego sanatorium i czuł wyrzuty sumienia, że tak rzadko go odwiedzał. Kiedy go zobaczył, trochę się przeraził, bo Passer bardzo się postarzał. Kilka srebrnych włosów opisywało na jego czole łuk, jaki wcześniej zakreślała ciemna i gęsta grzywa. Jego twarz była wspomnieniem dawniejszej twarzy.

Przywitał go z takim samym temperamentem. Ujął go pod rękę i energicznie ciągnął do swego pokoju, gdzie usadził gościa na wprost siebie przy stole.

Gdy kiedyś dawno spotkali się po raz pierwszy, Passer opowiadał o wielkich nadziejach ludzkości i walił przy tym pięścią w stół, wyżej zaś płonęły jego stale rozentuzjzmowane oczy. Dziś nie opowiadał o nadziejach ludzkości, ale o nadziejach swego ciała.

Lekarze twierdzą, że jeśli dzięki intensywnej kuracji zastrzykami i mimo bólu uda mu się przetrwać następne dwa tygodnie, to wygra. Kiedy opowiadał o tym Janowi, walił pięścią w stół, a oczy świeciły mu tym samym blaskiem. Entuzjazm opowieści o nadziejach ciała był smutnym wspomnieniem opowieści o nadziejach ludzkości. Oba te entuzjazmy były równie iluzoryczne, a pałający wzrok Passera rzucał na nie równie magiczne światło.

Potem opowiadał o aktorce Hannie. Z młodzieńczym wstydem przyznał się Janowi, że jeszcze na koniec oszalał. Oszalał na punkcie niezwykle pięknej kobiety, choć wiedział, że to szaleństwo jest najbardziej zwariowanym z możliwych. Opowiadał z płonącym wzrokiem o lesie, w którym szukali grzybów, jakby to był skarb, i o knajpcie, w której siedzieli nad czerwonym winem.

– A Hanna była fantastyczna! Rozumiesz? Nie zachowywała się jak troskliwa pielęgniarka, nie przypominała mi współczującymi spojrzeniami mojego kalectwa i mojej zguby, ale śmiała się i piła ze mną. Wypiliśmy litr wina! Czułem się, jakbym miał osiemnaście lat! Siedziałem na krzesło umieszczonym dokładnie na linii śmierci, a mimo to chciało mi się śpiewać!

Passer walił pięścią w stół i patrzył na Jana pałającymi oczami, nad którymi falowało wspomnienie wspaniałej grzywy, nakreślonej przez trzy srebrne włosy.

Jan stwierdził, że wszyscy siedzimy na linii śmierci. Cały świat, opanowany przez gwałt, okrucieństwo i barbarzyństwo, usiadł na tej linii. Powiedział tak, bo kochał Passera i wydawało mu się straszne, że ten człowiek, który tak wspaniale walił pięścią w stół, umrze wcześniej niż świat, który nie zasługiwał na żadną sympatię. Starał się przywołać bliżej zagładę świata, aby w ten sposób śmierć Passera stała się łatwiejsza do zniesienia. Ale Passer nie zgadzał się z zapowiedzią końca świata, uderzył pięścią w stół i znów zaczął mówić o nadziejach ludzkości. Powiedział, że żyjemy w epoce wielkich zmian.

Jan nigdy nie podzielał entuzjazmu Passera z tego powodu, że świat się zmienia, lecz mimo wszystko sam leż odczuwał potrzebę zmiany, bo widział w niej najstarsze pragnienie człowieka, najbardziej

konserwatywny konserwatyzm ludzkości. A mimo że kochał tę myśl, chciał jej zaprzeczyć teraz, kiedy krzesło Passera znalazło się na linii śmierci. Chciał w jego oczach splamić przyszłość, by mu było mniej żal, że ją traci.

Dlatego powiedział: – Stale nam powtarzają, że żyjemy w wielkich czasach. Cleris mówi o końcu ery żydowsko-chrześcijańskiej, inni o końcu Europy, jeszcze inni – o rewolucji światowej i komunizmie, ale to wszystko są bzdury. Przewrót w naszych czasach polega na czymś zupełnie innym.

Passer patrzył na Jana pałającymi oczami, nad którymi falowało wspomnienie wspaniałej grzywy symbolizowane przez trzy srebrne włosy.

Jan ciągnął dalej: – Znasz anegdotę o angielskim lordzie?

Passer walnął pięścią w stół i stwierdził, że tej anegdoty nie zna.

– Lord angielski mówi do swojej żony po nocy poślubnej: Lady, mam nadzieję, że zaszła pani w ciążę. Nie chciałbym bowiem ponawiać tych śmiesznych ruchów.

Passer uśmiechnął się, ale nie uderzył pięścią w stół. Anegdota ta nie była z tego rodzaju historii, które wywołują jego entuzjazm.

A Jan kontynuował: – Żadna rewolucja światowa. Przeżywamy wielką, historyczną epokę, w której miłość fizyczna zmienia się w śmieszne ruchy.

Na twarzy Passera pojawił się delikatnie zarysowany uśmiech. Jan go dobrze znał. Nie był to uśmiech radości ani zgody, lecz uśmiech tolerancji. Byli od siebie zawsze bardzo oddaleni i kiedy nagle w jakichś momentach ich inność przejawiała się w sposób zbyt widoczny, wtedy szybko obdarzali się tym uśmiechem, żeby się zapewnić, że ich przyjaźń w żaden sposób nie jest zagrożona.

11

Dlaczego stale pojawia mu się ta granica?

Mówi sobie, iż pewnie dlatego, że się starzeje: wszystko się powtarza, a w każdym powtórzeniu traci część swojego sensu. Albo lepiej mówiąc, traci kropla po kropli swą siłę witalną, która automatycznie zakłada istnienie sensu, nawet się nad nim nie zastanawiając. Granica oznacza więc dla Jana maksymalną ilość dopuszczalnej powtarzalności.

Kiedyś był na spektaklu, na którym bardzo inteligentny komik w czasie gry ni stąd, ni zowąd zaczął nagle wolno i bardzo poważnie liczyć: jeden, dwa, trzy, cztery... Wymawiał każdą cyfrę z najgłębszym zastanowieniem, jakby mu uciekała, a on szukał jej w przestrzeni wokół siebie: pięć, sześć, siedem, osiem... Przy piętnastu publiczność zaczęła się śmiać, a kiedy powoli i z coraz większym namysłem zbliżał się do setki, widzowie spadali z krzesel.

Na innym przedstawieniu ten sam komik usiadł do pianina i lewą ręką zaczął grać akompaniament walca: m-la-la, m-ta-la. Prawą rękę trzymał opuszczoną, nie odzywała się żadna melodia, tylko stale to samo m-la-la, m-la-la, ale on patrzył z dumą na publiczność, jakby ten akompaniament był wspaniałą muzyką godną aplauzu, zachwytu i wzruszenia. Grał stale to m-la-la, m-la-ta – dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt razy, a publiczność dusiła się ze śmiechu.

Tak, kiedy się przekroczy granicę, rozlega się śmiech. Ale kiedy idzie się jeszcze dalej, *poza* śmiech?

Jan wyobraża sobie, że greccy bogowie najpierw z zapalem uczestniczyli w poczynaniach ludzi. Polem pozostali na Olimpie, patrzyli tylko w dół i zanosili się śmiechem. Dziś już od dawna śpią.

Mimo to myślę, że Jan się myli sądząc, że granica to linia, która w konkretnym miejscu przecina ludzkie życie; że oznacza ona przełom w czasie, konkretny moment na zegarze życia człowieka. Nie. Jestem natomiast pewny, że granica jest z nami stale, niezależnie od czasu i od naszego wieku, że jest wszechobecna i tylko w pewnych okolicznościach widać ją lepiej, a w innych – gorzej.

Kobieta, którą Jan tak bardzo kochał, miała rację mówiąc, że to, co trzyma ją przy życiu, jest tylko włóknem pajęczyny. Wystarczy tak mało, niedostrzegalny powiew wiatru, by sprawy lekko się przesunęły, i to, za co jeszcze przed chwilą człowiek gołów był oddać życie, nagle ukazuje się jako pozbawiony treści bezsens.

Jan miał przyjaciół, którzy opuścili – podobnie jak on – swą starą ojczyznę i cały swój czas poświęcili walce o jej wolność. Wszyscy oni doznali już tego uczucia, że więzy łączące ich z krajem są tylko iluzją i że jedynie przez jakiś bezwład losu gołowi są stale umrzeć za coś, na czym im już zupełnie nie zależy. Wszyscy znali to uczucie, lecz jednocześnie bali się je znać, odwracali głowę, aby nie widzieć granicy i nie obsunąć się (z zawrotem głowy, jak na widok przepaści) na drugą stronę, gdzie język ich dręczonego narodu posiada już tak małą wagę jak ćwierkanie ptaków.

Jeśli Jan sam dla siebie zdefiniował granicę jako maksymalną ilość dopuszczalnej powtarzalności, to muszę go poprawić: granica nie jest produktem powtarzania. Powtarzanie, to tylko jeden ze sposobów uczynienia granicy widzialną. Linia granicy pokryta jest pyłem, a powtarzanie to ruch ręki, która odgarnia ten pył.

Chciałbym przypomnieć Janowi pewne charakterystyczne zdarzenie z jego dzieciństwa: miał chyba wtedy trzynaście lat. Mówiło się o istotach żyjących na innych planetach. On zaś bawił się wyobrażeniem, że te niezemskie stwory są obdarzone większą liczbą erotycznych części ciała, niż ma ich człowiek – obywatel Ziemi. On, trzynastoletnie dziecko, ekscytujące się po kryjomu spojrzeniem na skradzioną fotografię nagiej tancerki, doszedł ostatecznie do wniosku, że ziemską kobietą, obdarzoną łonem i dwiema piersiami, tym zbyt prostym trójkątem, jest właściwie pod względem erotycznym nieciekawa. Marzył o istocie, która zamiast mizernego trójkąta, ma na ciele dziesięć albo dwadzieścia takich miejsc i dostarcza oczom zupełnie niewyczerpywalnej podniety.

Chcę przez to powiedzieć, że już w połowie dalekiej drogi swego dzieciństwa wiedział, co znaczy być znudzonym ciałem kobiety. Jeszcze przed poznaniem rozkoszy osiągnął w wyobraźni koniec podniecenia. Zrozumiał jego wyczerpywalność.

Żył więc już od samego dzieciństwa w zasięgu owej tajemniczej granicy, poza którą kobieca pierś jest tylko miękką kulą zawieszoną na mostku. Granica była jego fatum od samego początku. Trzynastoletni Jan, marzący o wielości miejsc erotycznych na ciele kobiety, wiedział o istnieniu tej granicy tak samo dobrze jak Jan starszy o trzydzieści lat.

12

Było wietrznie i błotniście. Nad otwartym grobem w nieforemnym półkolu stali goście żałobni. Był tam Jan, byli także niemal wszyscy jego znajomi, aktorka Hanna, Clevisowie, Barbara i oczywiście rodzina Passera: żona, płaczący syn i córka.

Dwaj mężczyźni w znoszonych ubraniach podnieśli liny, na których spoczywała trumna. W tej chwili podszedł do grobu zdenerwowany mężczyzna z kartką papieru i zaczął czytać na głos. Grabarze spojrzeli na niego, na moment zawahali się, czy nie powinni znów postawić trumny obok grobu, ale po chwili zaczęli ją wolno opuszczać na dół, jakby podjęli decyzję, że oszczędzą zmarłemu konieczności słuchania czwartego przemówienia.

Nieoczekiwane zniknięcie trumny speszyciło mówcę. Cała jego mowa opracowana była w drugiej osobie liczby pojedynczej. Zwracał się do zmarłego, zapewniał go, zgadzał się z nim, wychwalał, dziękował i odpowiadał na jego rzekome pytania. Trumna osiągnęła dno grobu, grabarze wyciągnęli liny i stali skromnie obok dołu. Kiedy zauważyli, z jaką natarczywością zwraca się do nich mówca, spuścili w zakłopotaniu głowy.

Im bardziej mówca uświadamiał sobie niestosowność sytuacji, tym bardziej przyciągały go obie smutne postacie, więc niemal na siłę musiał od nich oderwać wzrok. Odwrócił się w kierunku gości żałobnych. Ale również i w ten sposób jego mowa w drugiej osobie nie brzmiała lepiej, bo wydawało się, jakby nieboszczyk krył się gdzieś pomiędzy zgromadzonymi.

Gdzie miał patrzeć mówca? W desperacji wbił wzrok w kartkę i mimo, iż znał swe przemówienie na pamięć, nie spuszczał oczu z liter.

Wszystkich obecnych ogarnął jakiś niepokój podkreślany jeszcze przez podmuchy wiatru, które coraz gwałtowniej obijały się o półkole żałobników. Ojciec Clevis miał kapelusz osadzony głęboko na skroniach, ale wiatr był tak mocny, że nagle uniósł mu go z głowy i cisnął pomiędzy otwarty grób a stojącą w pierwszym rzędzie rodzinę Passera.

W pierwszej chwili chciał przepchnąć się do przodu i chwycić kapelusz, ale zaraz uświadomił sobie, że takim postępowaniem dałby do zrozumienia, że kapelusz jest dla niego ważniejszy niż uroczysta ceremonia poświęcona zmarłemu przyjacielowi. Zdecydował się więc nie przeszkadzać i udawać, że nic się nie stało. Ale nie było to dobre rozwiązanie. Od chwili, gdy kapelusz znalazł się samotnie na placu przed grobem, szeregi obecnych zaniepokoiły się jeszcze bardziej i nie były w ogóle w stanie słuchać słów mówcy. Kapelusz – mimo swego skromnego bezruchu – przeszkadzał bardziej, niż gdyby Clevis zrobił kilka kroków i podniósł go. Dlatego właściciel wreszcie zdecydował się, przeprosił człowieka stojącego przed nim i przepchnął się przed zgromadzonych. Znalazł się na pustej przestrzeni (podobnej do małej sceny) pomiędzy grobem a żałobnikami. Schylił się, wyciągnął rękę ku ziemi, ale w tym momencie wiatr znów dmuchnął i przesunął kapelusz trochę dalej – pod nogi mówcy.

W tej chwili już nikt nie myślał o niczym innym niż o ojcu Clevisie i jego kapeluszu. Mówca nie wiedział nic o kapeluszu, ale zorientował się, że coś się dzieje wśród jego słuchaczy. Uniósł głowę znad kartki papieru i ze zdumieniem patrzył na nieznanego człowieka, który stał o dwa kroki od niego i patrzył mu w oczy, jakby się czał do skoku. Spuścił wzrok znów na litery; może miał nadzieję, że kiedy go ponownie podniesie, niewiarygodne przywidzenie zniknie. Ale kiedy go podniósł, mężczyzna wciąż przed nim stał i wciąż patrzył na niego bez ruchu.

Ojciec Clevis nie mógł się ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Rzucenie się pod nogi mówcy wydawało mu się zuchwalstwem, natomiast powrót bez kapelusza ośmieszeniem. Stał więc jak skamieniały, przykuty własnym niezdecydowaniem i daremnie starał się, by przyszło mu do głowy jakieś rozwiązanie.

Pragnął, by mu ktoś pomógł. Spojrzał na grabarzy. Ci jednak stali nieruchomo z drugiej strony grobu i patrzyli z uporem pod nogi mówcy.

W tym momencie wiatr znów dmuchnął i kapelusz wolno przesunął się na skraj grobu. Clevis podjął decyzję. Energicznie ruszył przed siebie, wyciągnął rękę i schylił się po kapelusz. Ten jednak usuwał się coraz dalej, a wreszcie tuż przy palcach Clevisa potoczył się po skraju grobu i opadł w dół.

Clevis wyciągnął jeszcze za nim rękę, jakby chciał go przywołać z powrotem, ale natychmiast zaczął się zachowywać, jakby nigdy nie było żadnego kapelusza, a on znalazł się przy grobie jedynie dzięki zupełnie przypadkowemu zbiegowi okoliczności. Usiłował więc być zupełnie naturalny i niewymuszony, lecz było to trudne, ponieważ wszystkie oczy wpatrywały się właśnie w niego. Miał kurczowo wykrzywioną twarz, starał się nikogo nie dostrzegać i przyłączył się do pierwszego szeregu, gdzie stał zapłakany syn Passera.

Kiedy zniknęło niebezpieczne widmo mężczyzny czającego się do skoku, człowiek z kartką uspokoił się i podniósł wzrok na tłum, który już go w ogóle nie słuchał, żeby wypowiedzieć ostatnie zdanie swojej mowy. Potem odwrócił się ku grabarzom i bardzo uroczystym głosem oświadczył: – Viktorze Passerze, ci, którzy cię kochali, nigdy o tobie nie zapomną. Niech ci ziemia lekką będzie!

Pochylił się nad kupką ziemi koło grobu, by nabrać na małą łopatkę kilka grudek i rzucić je na trumnę. W tym momencie przez tłum zgromadzonych żałobników przebiegła fala powstrzymywanego śmiechu. Wszyscy bowiem wyobrazili sobie, że mówca, który na chwilę skamieniał z łopatką ziemi w rękę i nieruchomo wpatrywał się w otwarty grób, dostrzegł leżący na trumnie kapelusz, jakby zmarły, w próżnym pragnieniu powagi, nie chciał w tak uroczystej chwili pozostać bez nakrycia głowy.

Mówca opanował się, wrzucił ziemię do grobu starając się, by nie upadła na kapelusz, jakby rzeczywiście pod nim ukryta była głowa Passera. Podał następnie łopatkę wdowie. Tak, wszyscy musieli wypić kielich pokusy aż do dna. Wszyscy musieli stoczyć tę przerażającą walkę ze śmiechem. Wszyscy, także żona i łkający syn, musieli nabierać ziemię na łopatkę i pochylać się nad grobem, w którym znajdowała się trumna z nałożonym kapeluszem, tak jakby niezniszczalnie witalny i optymistyczny Passer wystawiał ze środka głowę.

13

W willi Barbary było około dziesięciu osób. Wszyscy siedzieli w dużym salonie na kanapie, w fotelach i na podłodze. Pośrodku, w kręgu obojętnych spojrzeń, kręciła się i uwijała dziewczyna, która podobno przyjechała tu z prowincjonalnego miasta.

Barbara siedziała w szerokim, pluszowym fotelu: – Czy to nie trwa już trochę za długo? – spytała i karcąco spojrzała na dziewczynę.

Dziewczyna popatrzyła na nią i zrobiła ramionami ruch, który jakby wskazywał na wszystkich obecnych, skarżąc się na ich brak zainteresowania i koncentracji. Ale surowość wzroku Barbary nie dopuszczała niemego usprawiedliwienia i dziewczyna, nie przestając wykonywać dziwnych i niezrozumiałych ruchów, zaczęła rozpinąć guziki od bluzki.

Od tej chwili Barbara już na nią nie patrzyła i wodziła wzrokiem po wszystkich obecnych, którzy – dostrzegając jej spojrzenie – przestawali plotkować i posłusznie zwracali oczy ku rozbierającej się dziewczynie. Barbara uniosła spódnicę, włożyła rękę pomiędzy nogi i wyzywająco obserwowała wszystkie kąty salonu jakby podawała komendy ćwiczeń, a jednocześnie czuwała, czy ćwiczenia są przeprowadzane.

Sprawy ostatecznie nabrały własnego, powolnego, lecz zdecydowanego tempa: prowincjuszka, już od dawna naga, leżała w ramionach jakiegoś mężczyzny, a pozostali rozeszli się po innych pokojach. Barbara była jednak wszędzie obecna, wszystkiego doglądała i miała wysokie wymagania. Nie znośła, gdy goście parami kryli się w swoich kątach. Teraz ze złością zwróciła się do dziewczyny, którą Jan

obejmował wokół ramion: – Na randki możesz sobie przychodzić do niego do domu, a tutaj jesteś w towarzystwie – i biorąc ją za rękę, odciągnęła do sąsiedniego pokoju.

Jan pochwycił spojrzenie młodego, sympatycznego mężczyzny z łysiną, który siedział nie opodal i obserwował interwencję Barbary. Uśmiechnęli się do siebie. Łysoń zbliżył się do Jana, a ten powiedział: – Marszałek Barbara!

Mężczyzna roześmiał się i dorzucił: – To trenerka, która przygotowuje nas na wielką Olimpiadę.

Potem wspólnie spojrzeli na Barbarę i obserwowali jej dalsze poczynania.

Przyklękła nad mężczyzną i kobietą, którzy się kochali, wsunęła głowę pomiędzy ich twarze i wpiła się w usta kobiety. Mężczyzna pełen respektu wobec Barbary, odsunął się od swej partnerki przekonany, że gospodyni chce ją mieć dla siebie. Barbara objęła kobietę, pociągnęła ją ku sobie, tak że obie leżały teraz na boku przyciśnięte do siebie, a mężczyzna skromnie stał nad nimi. Barbara nie przestając całować kobiety uniosła rękę i zaczęła w powietrzu opisywać koło. Mężczyzna zrozumiał, że to wezwanie pod jego adresem, ale nie wiedział, czy nakazuje mu, by został, czy leż żeby się oddalił. Obserwował z napięciem rękę, której ruch stawał się coraz bardziej energiczny i niecierpliwy. Wreszcie Barbara oderwała wargi od ust kobiety i wyraziła głośno swoje życzenie. Mężczyzna przytaknął, położył się znów na ziemi i przycisnął się od tyłu do kobiety, która znalazła się teraz w uścisku pomiędzy nim a Barbarą.

– My wszyscy jesteśmy postaciami ze snu Barbary – powiedział Jan.

– Tak – zgodził się Łysoń. – Ale mimo to nie wszystko gra, jak powinno. Barbara jest jak zegarmistrz, który sam musi popychać wskazówki swego zegara.

Kiedy tylko udało jej się przemieścić tam tego mężczyznę, straciła natychmiast zainteresowanie jego partnerką, którą przed chwilą namiętnie całowała, wstała i podeszła do pary bardzo młodych kochanków, tulących się bojaźliwie do siebie w kącie salonu. Oboje byli tylko na wpół rozebrani, a chłopiec starał się okrywać sobą ciało dziewczyny. Tak jak statyści w operze niemo otwierają usta i bezsensownie wymachują rękami, by udawać żywą rozmowę, oni także starali się, jak tylko mogli dać do zrozumienia, że są całkowicie zajęci sobą, aby w ten sposób nie rzucać się w oczy i ukryć się przed zainteresowaniem ze strony innych.

Barbara nie dała się jednak zwieść ich grą; przyklękła przy nich, przez chwilę oboje gładziła po włosach i coś do nich mówiła. Potem wyszła do sąsiedniego pokoju i wróciła w towarzystwie trzech zupełnie nagich mężczyzn. Przyklękła znów przy młodych kochankach, ujęła w dłonie głowę młodzieńca i zaczęła ją całować. Trzej nadzy mężczyźni, kierowani niemymi znakami jej spojrzenia, pochylili się nad dziewczyną i zerwali z niej resztki stroju.

– Jak to się skończy, odbędzie się zebranie – powiedział Łysoń. – Barbara zwoła nas wszystkich, ustawi półkolem wokół siebie, stanie na wprost nas, założy okulary i przeanalizuje, co robiliśmy dobrze, a co źle; pochwali pracowitych i zgani obiboków.

Dwoje nieśmiałych kochanków ostatecznie podzieliło się swoimi ciałami z pozostałymi. Barbara opuściła ich i skierowała się ku obu mężczyznom. Uśmiechnęła się krótko do Jana i podeszła do Łysonia. Niemal w tej samej chwili objęła Jana prowincjuszka, która rozpoczęła wieczorek swoim strip-teasem. Pomyślał, że wielki zegar Barbary nie działa jednak tak źle.

Prowincjuszka zaopiekowała się nim z niezwykłą pilnością, lecz jego wzrok stale kierował się ku przeciwniejszej stronie pokoju, gdzie ręka Barbary znalazła zatrudnienie z przyrodzeniem Łysonia. Obie pary były w identycznej sytuacji. Pochylone kobiety w ten sam sposób zajmowały się tą samą rzeczą i wyglądały jak pracowite ogrodniczki nad grządką. Wydawało się, jakby jedna para stanowiła tylko zwierciadlane odbicie drugiej. Oczy obydwu mężczyzn spotkały się i Jan dostrzegł, jak ciało Łysonia zadrżało ze śmiechu. A ponieważ byli wzajemnie połączeni, tak jak rzecz połączona jest ze swym odbiciem w lustrze, to skoro jeden zadrzał, musiał zadrzeć również drugi. Jan odwrócił głowę, aby pieścąc go dziewczyna nie poczuła się urażona. Ale lustrzane odbicie ciągnęło go w sposób niemożliwy do opanowania. Spojrzał ponownie w tamtą stronę i zobaczył oczy Łysonia wyłazące z orbit od powstrzymanego śmiechu. Byli złączeni co najmniej pięciokrotną linią telepatyczną. Nie tylko wiedzieli, o czym ten drugi myśli, ale również mieli świadomość, że wzajemnie o tym wiedzą. Przez ich głowy przelatywały wszystkie porównania, jakimi przed chwilą obdarzyli Barbarę, a także wiele nowych epitetów. Patrzyli na siebie i jednocześnie unikali swego wzroku, bo mieli świadomość, że śmiejąc się popełniają niemal świętokradztwo, jakby się śmieli w kościele, kiedy ksiądz wznosi hostię. Gdy tylko to porównanie przyszło obojgu do głowy, jeszcze bardziej chciało im się śmiać. Byli zbyt słabi. Śmiech był mocniejszy. Ich ciałami wstrząsały coraz silniejsze konwulsje.

Barbara spojrzała w twarz swojemu partnerowi. Łysoń skapitulował i roześmiał się na głos. Przeczuwając, gdzie tkwi źródło zła, odwróciła się w stronę Jana. Prowincjuszka właśnie szepnęła mu:

– Co ci jest? Dlaczego płaczesz?

Ale w tym momencie Barbara stała już koło niego i syknęła:

– Nie myśl sobie, że zrobisz mi z tego pogrzeb Passera!

– Nie gniewaj się – śmiał się Jan, a łzy ściekały mu po twarzy.

Poprosiła go, żeby wyszedł.

14

Jeszcze przed wyjazdem za ocean Jan wybrał się z Edwigą nad morze. Była to opuszczona wyspa z kilkoma miniaturowymi wioskami, pastwiskami, na których leniwie pały się owce, i jednym hotelem przy ogrodzonej plaży. Każde z nich wynajęło tam dla siebie oddzielny pokój.

Zastukał do jej drzwi. Ze środka apartamentu odezwał się jej głos, zapraszający go do środka. Kiedy wszedł, nie zauważył nikogo. – Siusiam – krzyknęła do niego z toalety przez lekko uchylone drzwi.

Znał to dość dobrze. Mogła gościć u siebie liczne towarzystwo, a mimo to ze spokojem oświadczała, że idzie susiać, i dalej rozmawiała ze wszystkimi przez nie domknięte drzwi łazienki. Nie była to ani kokieteria, ani nieprzyzwoitość. Przeciwnie – było to absolutne zniesienie i kokieterii, i nieprzyzwoitości.

Edwiga nie uznawała tradycji, jak ciężar uciskających każdego człowieka. Odmawiała swej zgody na to, że goła twarz jest przyzwoita, a goły tyłek – nieprzyzwoity. Nie wiedziała, czemu słona ciecz kapiąca nam z oczu miałyby być wzniosła i poetycka, podczas gdy ciecz, którą wydała nasz brzuch, miałyby budzić wstręt i odrazę. Wszystko to wydawało jej się głupie, sztuczne, pozbawione rozsądku i dlatego buntowała się przeciw temu jak niesforne dziecko przeciw regulaminowi katolickiego internatu.

Kiedy wyszła z toalety, uśmiechnęła się do Jana i pozwoliła się pocałować w oba policzki: – Pójdziemy na plażę?

Zgodził się.

– Ubranie możesz zostawić u mnie – powiedziała i zdjęła szlafrok, pod którym była naga.

Jan uważał zawsze za rzecz trochę krępującą rozbieranie się na oczach innych i niemal z zazdrością patrzył na Edwigę, która w swej nagości poruszała się tak swobodnie, jakby była w wygodnym ubraniu domowym. Więcej, poruszała się nawet znacznie naturalniej, jakby odrzucając strój, odrzuciła wraz z nim również ciężki los kobiety i stawała się tylko człowiekiem bez znaków płciowych. Tak jakby płeć pozostawała w ubraniu, a nagość była stanem seksualnej neutralności.

Schodzili potem nago schodami aż na samą plażę, gdzie w grupkach siedzieli, spacerowali i kąpali się inni nadzy ludzie: nagie matki z nagimi dziećmi, nagie babcie i nadzy wnuczki, nadzy młodzieńcy i nadzy starcy. Było tu pełno kobiecych piersi najróżniejszych kształtów: ładnych, mniej ładnych, brzydkich, ogromnych i pomarszczonych. Jan ze smutkiem uświadamiał sobie, że stare piersi nie są porównywalne z młodymi, lecz młode – ze starymi i że wszystkie one razem są tak samo osobliwe i bez znaczenia.

I znów przyszła mu do głowy ta niejasna i tajemnicza myśl o granicy. Wydawało mu się, że znalazł się dokładnie na niej i że ją przekracza. Opanował go dziwny smutek, a z tego smutku – jak z mgły – wyłoniła się jeszcze dziwniejsza myśl: przypomniał sobie, że Żydzi wchodzili do hitlerowskich komór gazowych w grupach i nago. Nie rozumiał dokładnie, czemu to wyobrażenie tak natrętnie do niego powraca i co ono właściwie znaczy. Być może to, że Żydzi w tym momencie byli również *po drugiej stronie granicy* i że mundurem ludzi po drugiej stronie jest nagość. Że nagość jest całunem.

Smutek, jaki opanował Jana na widok tych nagich ciał na plaży, stawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Jan powiedział: – Szczególny i dziwny widok, te nagie ciała wokoło.

Edwiga przytaknęła: – Właśnie. A najdziwniejsze, że wszystkie one są piękne. Zauważ, że nawet stare i chore ciała są piękne, gdy tylko pozbawione zostają stroju. Są piękne jak natura. Stare drzewo przecież wcale nie jest mniej wspaniałe od nowego, a chory lew nadal pozostaje królem zwierząt. Ludzka szpetota jest szpetotą ubrań.

Nigdy się z Edwigą nie rozumieli, a mimo to zawsze się zgadzali. Po swojemu tłumaczyli sobie sens wypowiedzi tego drugiego i panowała między nimi cudowna harmonia. Cudowna solidarność oparta na nieporozumieniu. Wiedział o tym doskonale i już niemal zaczynało mu się to nawet podobać.

Szli wolno plażą, piasek palił ich w stopy, w szumie morza słychać było beczenie barana, a pod drzewkiem oliwnym brudna owca szczypała kępki wypłowiałej trawy. Jan pomyślał o Dafnisie. Leży odurzony nagością ciała Chloe, jest podniecony, lecz nie wie do czego to podniecenie służy, więc jest to podniecenie bez końca i bez ukojenia, ogromne i niezmierzone. Serce ścisnęła mu przeogromna tęsknota i chciał wrócić do tego chłopca. Wrócić do własnych początków, wrócić do początków ludzkości, wrócić

do początków miłości. Pragnął pragnienia. Pragnął łomotania serca. Pragnął leżeć obok Chloe i nie wiedzieć, co to jest miłość fizyczna. Nie wiedzieć, co to rozkosz. Zmienić się tylko w czyste podniecenie, długie i tajemnicze, niezrozumiałe i cudowne podniecenie mężczyzny na widok ciała kobiety. I nagle powiedział na głos: – Dafnisie!

Owca szczypała wypłowiła trawę, a on powtórzył jeszcze raz z westchnieniem: – Dafnisie, Dafnisie...

– Wzywasz Dafnisa?

– Tak – odparł – wzywam Dafnisa.

– To dobrze – stwierdziła Edwiga. Musimy do niego dotrzeć. Dotrzeć tam, gdzie jeszcze chrześcijaństwo nie okaleczyło człowieka. Czy to miałeś na myśli?

– Tak – zgodził się Jan, choć miał na myśli całkiem co innego.

– Tam jeszcze chyba istniał jakiś mały raj naturalności – kontynuowała Edwiga. – Owce i pasterze. Ludzie w zgodzie z natury. Wolność zmysłów. Czy tym jest dla ciebie Dafnis?

Znów jej przyświadczył, że właśnie dokładnie myślał tak, jak ona to teraz mówi, a Edwiga stwierdziła: – Tak, masz rację, to jest rzeczywiście wyspa Dafnisa!

Ponieważ bawiło go kreowanie ich wzajemnej zgody opartej na nieporozumieniu, odparł: – A hotel, w którym mieszkamy, powinien się nazywać „Po drugiej stronie”.

– Tak, tak – ucieszyła się Edwiga. – Po drugiej stronie tego nieludzkiego świata, w którym więzi nas nasza cywilizacja.

Zbliżały się do nich grupki nagich ludzi, a Edwiga przedstawiała im Jana. Ludzie chwyтали go za ręce, kłaniali mu się, wymawiali swoje tytuły i stwierdzali, że bardzo im miło go poznać. Dyskutowali potem na różne tematy: o temperaturze wody, obłudzie społeczeństwa, kaleczącej duszę i ciało, o urokach wyspy.

Przy ostatnim temacie Edwiga oświadczyła: – Jan właśnie wpadł na pomysł, że jest to wyspa Dafnisa. Uważam, że to doskonałe.

Wszyscy byli zachwyceni tym pomysłem, a niezwykle brzuchaty mężczyzna rozwijał tę myśl twierdząc, że cywilizacja zachodnia słońce w obliczu zagłady, a ludzkość nareszcie wyzwoli się spod niewolącego ciężaru żydowsko-chrześcijańskiego myślenia. Wypowiadał zdania, które Jan słyszał już dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, sto, pięćset, tysiąc razy i po chwili zaczęło mu się wydawać, że tych kilka metrów plaży stanowi uniwersyteckie audytorium. Mężczyzna przemawiał, inni słuchali go z zainteresowaniem, a ich obnażone przyrodzenia tępo, smutnie i obojętnie wpatrywały się w żółty piasek.